

STARVENTURE

JOHN BRUNNER



John Brunner

Starventure

More things in heaven

Tłumaczenie: Marcin Idaszak

Rozdział 1

Dziesięć minut później, gdy szedłem do biura Chamborda, ciągle jeszcze się trząsałem. Ramona – ładna, miejscowa dziewczyna, która służyła jako zaporę pomiędzy światem zewnętrznym a Chambordem – niemal włożyła swoje dłonie w otwarte usta, kiedy przeszedłem obok niej.

– *Madre de Dios* – powiedziała z rozszerzonymi oczami i szybko się przeżegnała.

Rzeczywiście wyglądałem, jakbym zobaczył ducha. I to, co mogę wam powiedzieć, to to, że naprawdę go widziałem.

Gdy otwierałem drzwi, Chambord siedział za swoim biurkiem; za sobą, na ścianie, miał gigantyczny krąg Mgławicy Andromedy – jedno ze słynniejszych zdjęć, wykonanych w Obserwatorium Księżycowym – siedział tak, że mgławica otaczała jego głowę jak aureola. Był to oczywiście efekt zamierzony. Obawiałem się trochę, że będzie na mnie zły za to nagłe wtargnięcie bez pukania, ale na szczęście był tak dumny z rozpoznania mnie po dwóch latach, że podczas wygłaszania dwóch pierwszych zdań nawet nie zauważył, jak bardzo byłem wyczerpany.

– Jeżeli ktokolwiek założyłby się ze mną, kto pierwszy tu wpadnie, gdy nadejdzie czas, to odpowiedziałbym: „Oczywiście David Drummond!” – powiedział. – I... Mój

dobry Boże, David, co się stało? Czy to ta wysokość tak na ciebie działa?

– Do cholery z wysokością! – powiedziałem i pozwoliłem ciału opaść na gościnne krzesło.

Zdjąłem okulary przeciwsłoneczne i otarłem spoconą twarz. To, że Quito leży na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, ma tyle wspólnego z moim stanem co fakt, że jesteśmy na równiku z moim poceniem się. Chciałbym posłusznie łyknąć swoją codzienną dawkę pigułek tlenowych i nie wydawać się sobie samemu głupcem, nie czuć własnego serca, walącego w żebra z zamiarem połamania ich.

– Henri! – powiedziałem. – Właśnie widziałem mojego brata, widziałem Leona właśnie tu, w Quito!

Chambord uporczywie wpatrywał się we mnie; będąc Francuzem był zbyt taktowny, by powiedzieć mi, że zwariowałem, ale widać było, że przychodzi mu to z trudnością.

– Spokojnie, David – powiedział z troską. – Szklanek wody? Papierosa? Jesteś wykończony...

– Oczywiście, że jestem – warknąłem; oparłem się o krawędź biurka i jeszcze raz powtórzyłem swoje poprzednie oświadczenie: – Po prostu widziałem Leona tu, w Quito.

– To musiał być ktoś inny, Davidzie.

– Do diabła, to był mój własny brat! Widziałem go właśnie tu, na Calle Gagarin, nie więcej niż dziesięć minut temu!

– Z dużej odległości, bez wątpienia. Być może myślałeś o swoim bracie i dostrzegłeś go, fantazując...

Wzięłem głęboki oddech i powoli, z rozmyślnym spokojem, wypuszczałem powietrze zmuszając moje serce, by powróciło do normalnego tempa.

– Czy masz braci? –: zapytałem.

– Ach... Tak, mam dwóch braci.

– Czy myślisz, że mógłbyś pomylić kogokolwiek innego z którymś z twoich braci, jeżeli byłbyś od niego nie dalej niż szerokość Calle Gagarin?

– Moi bracia są we Francji, nie widziałem ich od wielu lat, więc...

– To tylko dwa lata. odkąd nie widziałem Leona – przerwałem mu. – Przez tyle lat byliśmy razem, więc niemożliwe jest, abym się mylił.

Ale tym razem miałem już trudności z przekonaniem samego siebie. Chambord widocznie przetrwał wszystko i przebił moje blotki asem atutowym.

– To więcej niż możliwe – powiedział. – To pewne, że twój brat przebywa teraz na pokładzie „Starventure”, a „Starventure” przecina właśnie orbitę Júpitra.

W tym momencie moje zawodowe odruchy wzięły górę. Zapomniałem już o tym żalonym przypadku spotkania z Leonem – wiedziałem, że to wszystko musiało być złudzeniem. Moje myśli powróciły do tego, co powiedział Chambord, kiedy tu wszedłem: "Jeżeli ktokolwiek założyłby się ze mną, kto pierwszy tu wpadnie, gdy

nadejdzie czas...” Miałem mój płaski, kryształowy video-dyktafon już poza kieszenią, przygotowany do użycia.

– Od kiedy? – zapytałem. – Jak dawno temu otrzymali sygnał ze statku?

– Trochę ponad godzinę temu. Pracowałem nad oświadczeniem, kiedy tu przyszedłeś.

– Podrzucić mi kilka gołych faktów, a po resztę wpadnę później.

Uśmiechnął się szczerze, przejrząwszy moją grę bardziej niż zwykle. Oczywiście otrzymał standardową wiadomość z ONZ. Nauczyłem się czytać kosmiczny kod nieomal w kołysce – wystarczyło mi jedno spojrzenie. „Starventure” wynurzył się w normalnej przestrzeni piętnaście stopni powyżej płaszczyzny ekliptyki i pięćset milionów mil od Słońca, kierunek od Alfa Centauri, sygnały były silne i czyste, i mówiły: „Załoga w porządku, misja przebiega bez przeszkód”.

– Największa historia od czasów Kolumba powiedziałem, trzymając fason. – Muszę wydostać się z tłumy. Może powinienem odwołać się do uzdolnień psi? Od kiedy widziałem Leona... Myślałem, że widziałem – poprawiłem się szybko, widząc pełne dezaprobaty skrzywienie warg Chamborda. – Naprawdę nie miałem zamiaru przychodzić tu dzisiaj. Kiedy następny kontakt?

Chambord wzruszył ramionami.

– To wszystko zależy od wypadkowej szybkości, z jaką statek powrócił do normalnej przestrzeni. Jeżeli jest

zdolny do zwolnienia własną mocą tak, by dotrzeć na orbitę Ziemi, to może nastąpić to za około czterdzieści godzin, jeżeli jednak trzeba będzie wysłać holowniki, to może się to przeciągnąć do tygodnia.

– Dobra, wróć – wyszedłem i trzasnąłem drzwiami tak, że zatrzęsł się zielony emblemat ONZ.

Ramona wzdrygnęła się na krześle i rozejrzała wokoło; ujrawszy mnie, chciała znów się przeżegnać, posłałem jej więc najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki mnie było stać i ruszyłem w kierunku rozmównic w foyer.

Byłem prawdopodobnie pierwszym człowiekiem, który skorzystał z puszczania w ruch projektu STAR-VENTURE – mam na myśli oczywiście zwykłych ludzi, a nie tych, którzy byli zatrudnieni przy projekcie. Wtedy, dwa lata temu, miałem kolumnę wiadomości naukowych, znaną w trzydziestu krajach dzięki SOLAR PRESS i związanych z nią agencjom. To było czyste szczęście i na mojej pozycji, którą zawdzięczałem Leonowi, robiłem małą fortunę lub – jeżeli fortuna jest zbyt wielkim słowem – było to coś, co wystarczało mi do czucia się wolnym i pozwoliło skoncentrować się na książkach zamiast na dręczącym rozkładzie tygodnia.

Pamiętam, że kiedy czekałem w rozmównicy na połączenie z nowojorskim biurem SOLAR PRESS, myślałem o tym, jak Hank Sandler odebrał moją niedawną decyzję o opuszczeniu zespołu. Żartem powiedziałem mu,

że powinien być zadowolony z mojego odejścia, ponieważ zawsze narzekał z powodu mojej karty videofonicznej. Była to najdroższa karta, jaką kiedykolwiek zagwarantowała agencja, dająca wizję i dźwięk AI, czyli pozwalająca na priorytetowe połączenia z każdego miejsca na Ziemi z Nowym Jorkiem. Raz spróbowałem poszerzyć jej zasięg na Księżyc, ale gdy okazało się, że na wiecznie zajętych łączach satelitarnych jedna sekunda połączenia kosztuje dwadzieścia dolarów, agencja odmówiła; ciekawe, że podróż na Księżyc, z zamiarem której nosiłem się od pewnego czasu, również w ostatniej chwili upadła.

Kiedy włożyłem kartę do czytnika automatu oczekiwałem, że będzie usiłował sprzedać mi kilka gładkich zdań, jakie zostały zapisane w jego pamięci, ale nie, nie zrobił tego, tylko zatrzymał kartę i usłyszałem:

– Pozdrowienia od SOLAR PRESS.

Po raz pierwszy od momentu podjęcia decyzji o odejściu z agencji użyłem karty, ale teraz wydawało mi się to jak najbardziej uzasadnione.

Na ekranie pojawiła się twarz jednego z pracowników nowojorskiego personelu i wyłowilem z pamięci dane: Jimmy Weston.

– Dzięki Bogu, złapaliśmy pana, panie Drummond – rzucił nerwowo. – Pan Sandler zaczyna już trochę wariować.

Mrugnąłem i zapytałem:

– Co masz na myśli mówiąc, że mnie złapaliście? Z tego, co wiem, to wam się nie udało.

– Ścigaliśmy pana po całej Wenezueli. Czy nie stamtąd pan dzwoni?

– Nie ma mnie tam już od wczorajszego popołudnia. Dobra, wszystko, czego chcecie ode mnie, może poczekać. Włączcie recorder, mam wiadomość, która może czekać tylko kilka minut.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli przedtem połączę pana z panem Sandlerem.

I nim zdążyłem powiedzieć cokolwiek więcej, zrobił to.

Twarz Sandlera pojawiła się na ekranie w chwili, gdy wydmuchiwał olbrzymią chmurę dymu z cygara, która otoczyła jego głowę.

– Hank, to wspaniale cię widzieć, ale nie łączę się z agencją, by towarzysko pogadać – powiedziałem. – Usiłowałem powiedzieć to Jimmy’emu Westonowi. Mam niesamowitą wiadomość. Słuchaj, „Starventure” wrócił.

Jego głos był zupełnie spokojny, gdy odpowiedział:

– Może chcesz za to rachunek?

To było tak dalekie od odpowiedzi, jakiej oczekiwałem, że poczułem się kompletnie zaszokowany.

– Rachunek? Za co? – zapytałem głupio, ale zaraz odzyskałem moje wyczucie priorytetów. – Nie, nie marnuj czasu na wyjaśnienia, tylko dopuść mnie do recordera.

– Zamiast rejestrować, powiedz mi to osobiście.

Usłyszałem szelest papieru i na ekranie ponownie pojawił się Hank z notatnikiem i piórem w dłoni; poczułem

się dziwnie, słysząc szcęk jego tuby przesyłowej, bo wiadomość już miała iść do telefaxów. Etap pierwszy był całkowicie bezpieczny. Drugi etap mógłby posłużyć do napisania niezłej historii, ale już poprawiłem go w myślach od momentu pojawienia się statku.

– Dzięki, Davidzie – powiedział Sandler, kiedy skończyłem. – Jak daleko jesteś przed konkurencją?

– Nie więcej niż kwadrans, Henri Chambord jest zbyt dokładny. Ale tak się złożyło, że wpadłem do biura prasowego ONZ tutaj, w Quito, ponieważ... Zawahałem się. Powinienem powiedzieć: „Widziałem mojego brata” albo „Myślę, że widziałem mojego brata”. Opuściłem sobie. Część mnie była w dalszym ciągu pewna, że był to Leon, którego widziałem tak dobrze, był bowiem oświetlony przez promienie Słońca, stojącego w zenicie, jednakże inna część mnie była zupełnie świadoma, iż jest w tej chwili blisko orbity Jowisza.

– Cóż, powód nie ma znaczenia stwierdziłem. – Stało się tak, że gdy przyszedłem, Henri przygotowywał właśnie oświadczenie dla prasy. Zbieg okoliczności. A jeżeli już o tym mówimy, dlaczego usiłowałeś skontaktować się ze mną i po co? Czy wszyscy już dostali fioła?

– Niezupełnie – Sandler był trochę zakłopotany. – David, czy słyszałeś coś o pojawieniu się potwora na południowym niebie w Chile? I o panice w znajdujących się tam wioskach rybackich?

– Nie, nic takiego sobie nie przypominam. Ale jeśli chciałeś mnie złapać, żebym to dla ciebie sprawdził, to powinienem cię ostrzec, iż masowe halucynacje nie mieszczą się w moich zainteresowaniach.

– Znasz mnie chyba dobrze i nie myślisz, że wysyłałbym cię w pogoń za rutynowymi historyjkami sezonu kaczek dziennikarskich, nie sądzisz? – Sandler pozwolił, by w jego głosie pojawiła się słyszalna nutka złośliwości. – Problemem jest, że to nie śmierdzi zwyczajnym oszustwem, jest zbyt dobrze udokumentowane, zbyt wiele różnych relacji z różnych źródeł, zbyt wielka ilość zgodnych, drobnych szczegółów.

Nie usilowałem oponować. Hank Sandler być może nie był w stanie odróżnić nukleotronu od elgolizera, ale miał instynkt do tego, które wiadomości mogą być superważne. Powiedziałem więc tylko:

– Czy w dalszym ciągu chcesz, bym to sprawdził? Henri mówi, że mam przynajmniej czterdzieści godzin, nim nawiążą bezpośredni kontakt ze „Starventure”.

– Na Boga, nie! Zostań tam, gdzie jesteś, a ja oczekuję pierwszego tysiąca słów, nim pójdę na lunch, w porządku?

Zachichotałem, bowiem zabrzmiało to jak stary, dobry Hank Sandler.

– Znajdę kogoś innego, żeby się temu przyjrzał — dodał i moje rozbawienie zaczęło zanikać.

– Nie sądzisz, że to może być w jakiś sposób związane z powrotem „Starventure”? – zasugerowałem.

– Nie zamierzam tworzyć wiadomości opartych jedynie na przypuszczeniach – skontrował mocno. – Swoją drogą, jakiegokolwiek planowanie czegoś jest do kitu, ta rzecz pokazała się ubiegłej nocy, a ty właśnie powiedziałeś mi, że „Starventure” wrócił godzinę temu czy coś takiego. Jeszcze... – zawiesił głos. – Powiem ci, co zrobię: przefaksuję dla ciebie tę historyjkę do biura prasowego ONZ w Quito i dołożę jeden lub dwa szczególiki, co do których mam dziwne przeczucia. Mógłbyś je uznać za wyzywające?..

Ekran pokazywał teraz jego żalowaną minę, co nie pasowało do ciepłego tonu głosu, gdy więc doszedł do wniosku, że może mówić dalej, powiedział:

– Cóż, to, co powinienem zrobić, to oczywiście złożyć podziękowania za pamięć o starej firmie, ale... hmm... nie wydaje mi się, bym potrafił wymyśleć coś odpowiedniego...

– Trzymaj się – powiedziałem. – Mam mnóstwo materiału. Załatw mi tylko nagranie, a podam ci więcej wiadomości niż przez videofon.

Obraz zadrżał i ujrzałem napis: „SOLAR PRESS – rejestracja. Proszę zacząć mówić po usłyszeniu trzeciego sygnału”. Zamknąłem oczy; nie miałem w czym szperać, nie musiałem zaglądać do żadnych notatek – dokładnie

wiedziałem, co powinienem powiedzieć i jak to zrobić najlepiej.

Marzenie stare jak cywilizacja stało się rzeczywistością. Człowiek sprostął wyzwaniu, rzuconemu przez gwiazdy...

Rozdział 2

Ciągle jeszcze mówiłem, gdy drzwi pokoju faxów otworzyły się na zewnątrz i goniec ruszył w stronę biura Chamborda; wrócił po chwili, cholernie się spiesząc, wrzeszcząc i powiewając arkuszem papieru. W dźwiękoszczelnej kabinie nie mogłem usłyszeć, o czym krzyczał, a poza tym mój hiszpański, choć godny zaufania, był jednak trochę niepoważny. Nie musiałem jednak tego słyszeć, by wywnioskować, że w przeciągu pół godziny każdy, od reporterów z agencji prasowych do najgorszych mętów ze slumsów Quito, będzie się przepychać, aby dotrzeć do budynku drogą, której używał dwa lata temu. Dwa lata temu...

Skończyłem dyktować. Na ekranie pojawił się Sandler i powiedział, że materiały, które mi obiecał, są już na faxie i jeszcze raz podziękował.

– Burza już szaleje, Davidzie, więc nie możemy sobie towarzysko porozmawiać.

Zanim się rozłączył, obiecałem porozumieć się z nim wieczorem; skasowałem połączenie i opuściłem kabinę.

Okres wyczekiwania na nawiązanie kontaktu z powracającym statkiem miał być długi i męczący. Zdecydowałem się powłóczyć trochę, dopóki nie nadejdzie obiecany materiał z Nowego Jorku. Nie bacząc, jak się to ma do wiadomości o „Starventure”, mogłoby być interesujące, gdybym mógł nad tym popracować i dowiedzieć się, dlaczego Sandler wziął to tak poważnie. Usiadłem, by zapalić w wygodnym fotelu w foyer i zacząłem ponownie martwić się moją pierwotną przyczyną przybycia tutaj.

A niech to cholera, po dwóch latach nie mógłbym nie poznać własnego brata, nie w słoneczny dzień, nawet gdyby dzieliła nas szerokość ulicy. W dodatku logika mówiła, że muszę się z tym pogodzić. Widziałem Leona na własne oczy tak, jak widziałem go dwa lata temu, gdy zasiadał w wahadłowcu i jak „Starventure”, krążący na orbicie trzy tysiące mil ponad Ziemią, przyjął na swój pokład wahadłowiec wraz z Leonem. Wahadłowiec miał posłużyć jako lądownik, gdyby okazało się, że Alfa Centauri posiada planety, na których astronauty mogliby wylądować. Potem holowniki wyprowadziły gwiazdolot z orbity wokółziemskiej – widziała to cała Ziemia w planetarnej TV, tak jak i ich odlot. Poza orbitą Marsa holowniki zostały odrzucone, a kapitan Rukeyser nerwowo powiedział: „Do widzenia!”. Dla wszystkich komentatorów wiadomości bieżących dnia słowa te wprowadziły cu-

downą nerwowość, ponieważ ukazywały, jak bardzo zwyczajni są ludzie, którzy lecą do gwiazd.

A teraz wrócili!

Gdzie? Jak? Nawet dla mnie, a spędziłem przecież sporo czasu pracując nad tym, by nauka i technika stały się przyswajalne dla faceta z ulicy, była to piekielna robota – przekładać wszystko na codzienny, zrozumiały dla zwykłych ludzi język. Liu Chien, który z ramienia funkcji zarządzał wszystkim, nic nie mówił, a Mandarin, jego rodak, przedstawiał teorie Chiena w taki sposób, że można byłoby otrzymać niejedyną doktorat za przełożenie tego na język bardziej zrozumiały dla wszystkich. Pewnego razu rozmawiałem z ekspertem lingwistycznym, od którego dowiedziałem się, że trudności, z którymi miałem do czynienia, wynikają z narodowości Liu Chiena, bowiem chiński sposób myślenia nawet po stuleciach był bardzo zbliżony do struktury chińskiej mowy. Przedstawię to tak prosto, jak tylko jest to możliwe. Liu Chien rozwinął system identyfikowania poszczególnych cząstek do opisywania ich powiązań z innymi cząstkami. Zaczął od atomów, a w ogólnej teorii, której rozwinięcie zajęło mu następne dziesięć lat, rozszerzył zakres na powłoki fotonowe, mezony i całą skalę cząstek elementarnych, włączając w to neutrino, a potem przebył większość tej drogi z powrotem i opracował tabele statystyczne, zestawiając rzeczywiste powiązania pomiędzy poszczególnymi cząstkami elementarnymi. Otrzymał nagrodę Nobla, nagrodę

ONZ oraz dożywotnią pensję od rządu chińskiego, po czym wycofał się, by pisać komentarze do księgi I Ching.

Następnie Eskimos z plemienia Czukczów, studiujący fizykę teoretyczną w Ljubljana i Meksykanin, studiujący w Kolumbii, niezależnie od siebie dostrzegli to, co pominął Liu Chien: jedna z zaproponowanych przez Chińczyka charakterystyk, służąca do identyfikowania poszczególnych cząstek, może być rozpatrywana oddzielnie od reszty, ponieważ jej zastosowanie zależy od ułożenia innych cząstek, a więc odpowiednia odległość pomiędzy nimi powinna być równa nieskończoności. Jeżeli teoria ta byłaby zgodna z prawdą, wówczas charakterystyka mogłaby być zmieniana przy pomocy określonych nacisków w continuum. Na tej kruchej podstawie skonstruowano bezzałogowy statek, który okrążył cztery razy system słoneczny z prędkością sygnału radiowego, a następnie zbudowano „Starventure”.

Kiedy Rukeyser wcisnął przycisk zapłonu, każdy atom. statku, jego załogi i dodatkowej energii zmienił swoją istotę. Atomy te zostały „przerzucone” w odpowiednie położenie statku, które – jeżeli można to tak określić – umiejscowione było w okolicach Alfa Centauri z tego prostego powodu, że „chciało” przynależeć do naszego, zwykłego Wszechświata i nie mogło do niego przynależeć, dopóki nie znalazło się na właściwym miejscu. Było to proste w ujęciu symboliki matematycznej. Ten sam lingwista, który opowiedział mi o Liu Chenie i

chińskich szablonach myślenia powiedział także, że w następnym wieku moglibyśmy opisywać operacje gwiazdnych ruchów werbalnie. Co więcej, rzekł, będziemy mogli używać do tego słów, których używaliśmy do tej pory – po prostu będziemy rozumieć inne ich znaczenia.

Poprosiłem go o przykład, a on powiedział:

– Weź słowo „maszyna”. Oryginalnie znaczyło ono to samo, co „narzędzie” czy „mechanizm”, teraz znaczy także „silnik” i ciągle poszerza swoje znaczenia.

Kiedy umieściłem jego wypowiedź w swojej cotygodniowej rubryce naukowej, prawie setka ludzi napisała do mnie, że w to nie wierzy.

Byłem pewny: widziałem Leona.

Nie byliśmy braćmi na tej samej zasadzie, jak Henri Chambord i jego bracia. Henri szczęśliwie osiadł w Quito, wracał do Francji co trzy, cztery lata na wakacje, a jego bracia byli zadowoleni z życia w kraju, w którym się urodzili. Leona i mnie, mimo dzielącej nas sześćioletniej różnicy wieku, łączyło bardzo wiele. Odkąd zostaliśmy ' sami (ojciec zniknął, gdy miałem dwanaście lat, a mama zmarła siedem lat później) musiałem oprócz bycia starszym bratem zastąpić mu rodziców. Studiowałem fizykę i chemię, ale kiedy mama zmarła, rzuciłem studia i zacząłem pracować w małomiasteczkowej gazecie, gdzie doszedłem do wniosku, że to, czego nauczyłem się w studenckim laboratorium, może być przydatne, aby stać się pisarzem popularnonaukowym, którym ostatecznie zosta-

łem. W końcu zapracowałem na Nagrodę Kalinga i najlepszą posadę w tym interesie, stanowisko redaktora w SOLAR PRESS i mogłem utrzymywać się na przyzwoitym poziomie z posady redakcyjnej i wydawania dwu książek popularnonaukowych rocznie.

Możliwe, że kult braterstwa sprawił, iż namówiłem Leona, by studiował fizykę, a może to moje własne, niespełnione pragnienie kariery naukowej popchnęło mnie do tego. Cokolwiek to było, rozwijał się szybko i gdy ja odpuściłem sobie, on trzymał się mocno. Został uhonorowany nagrodą za doktorat, w którym wyjaśniał przejrzystość teorii Liu Chena; mocno się starał i dostał pracę w zespole, wyodrębnionym do kierowania projektem STARVENTURE, a potem przyjęto go do załogi statku.

Ponieważ jedynie rodziny mogły odwiedzać członków załogi „Starventure” sądzono, że nie będzie wielkiego tłoku, ale przy sześćdziesięciosobowej załodze był to zupełnie niezły tłumek. Byłem jedynym bliskim Leona i oczywiście byłem dumny jak cholera; z jednej tylko rzeczy byłem bardziej dumny, a mianowicie z historii, którą potem opisałem. Faktycznie, każdy zaproszony opisał swoje osobiste wrażenia jakiejś agencji, aby być wymienianym w publikacjach, ale ja byłem reporterem i sam zobaczyłem to, o czym ludzie mogli opowiadać. Napisałem swoją historię, opuściłem Quito i nastawiłem się na zabawę do końca swojego życia. Teraz, z powrotem w foyer biura prasowego ONZ, mógłbym zamknąć oczy i

odtworzyć scenę sprzed dwóch lat, z tego epokowego dnia. Mógłbym zobaczyć Rukeysera z jego szerokimi, czarnymi brwiami, mógłbym zobaczyć Chandrę Dana, mógłbym zobaczyć jeszcze Hobarta, Efremova i Soo, ale przede wszystkim mogłem widzieć Leona. Obok tych wspomnień potrafiłbym znów przypomnieć sobie faceta, którego widziałem tego szczególnego dnia i punkt po punkcie ułożyć sobie spis wszystkich „ach”.

Przeciw czemu więc złożyły się wszystkie okoliczności? Pobieźnie przeprowadziłem obliczenia, pociągające za sobą ocenę całkowitego zaludnienia i mieszania się pokoleń w genetycznej puli i wyszło mi coś w rodzaju dziesięć do siódmej potęgi, pomnożone przez ilość miast na Ziemi i ilość przeżytych przeze mnie dni, i to, co dziś zaszło w Quito stało się dlatego, że byłem tu, a nie gdzie indziej – cholera, to przecież beznadziejne i zupełnie śmieszne.

Więc do diabła z okolicznościami, nie wnoszą nic za i przeciw. Bardziej racjonalnym byłoby założenie, że to mój umysł splatał mi figla, ale był to szczególny figiel w szczególnym dniu, gdy chciałem czegoś więcej, a tu nagle super wiadomość o powrocie statku. Żartowałem u Chamborda na temat moich uzdolnień psi, ale miałem wiele zrozumienia dla entuzjastów ESP (postrzeganie pozazmysłowe), chociaż wszystkie testy, które przeszedłem w mojej pracy wykazały, że nie posiadam żadnego ponadnaturalnego talentu.

Mocno zapewniałem sobie, że był to tylko zbieg okoliczności. Teza, że ujrzałem Leona, mogłaby być przypisana po prostu zbiorowi pomysłów i mogłoby się to łatwo przydarzyć wczoraj czy jeszcze dzień wcześniej. Ponadto nie przyjeżdżałem do Quito tak często, jak dwa lata wcześniej.

Ekwador, przestrzenna równina Ziemi, wybrano z wielu powodów. Było to cholernie blisko równika, ponad dziewięć tysięcy stóp nad poziomem morza, a więc znacznie rzadsze powietrze i mniejszy opór dla startujących statków (co prawda, spowodowali osunięcie się kilku małych szczytów w stronę sąsiednich dolin, by uzyskać równy poziom dla całego portu kosmicznego) i – co równie ważne – Ekwador był na tyle mały, że nie powstały w nim potężne ugrupowania społeczne, zazdrosne o swój narodowy honor. Każdy mógł się tu czuć opiekunem, a w razie niepowodzenia nikt nie wysłuchiwałby skarg. Cóż, Ekwadorczycy zdawali się temu poddawać. Musiałem to dobrze widzieć dwa lata temu. Po starcie statku wracałem tu dwa lub trzy razy i nie spostrzegłem zbyt wielu zmian, choć – jeżeli misja „Star-venture” zakończy się sukcesem – to miasto może rzeczywiście zmienić się nie do poznania.

Drzwi pokoju faxów otworzyły się ponownie; teraz rozległy się stamtąd wiwaty i wyraźnie usłyszałem szcęk butelek, przemieszany z mrużącymi i warczącymi głosami transponderów i odbiorników. Z pomieszczenia wy-

szła dziewczyna z grubą wstęgą jasnobrązowego papieru, rozejrzała dokoła i podeszła, by dowiedzieć się, czy to ja jestem senor Drummond. Zapewniłem ją, że jak najbardziej jestem nim i otrzymałem to, co trzymała w ręku – było tego o wiele więcej, niż oczekiwałem. Sandler musiał potraktować to niezwykle poważnie, bowiem informacje składały się nie tylko z historii z SOLAR PRESS, ale również z konkurencyjnych agencji i to całe fragmenty gazet, które musiały być pocięte jeszcze przed włożeniem do transmitera, gdyż dostrzegłem jeszcze cienie po ostrzach nożyczek w miejscach, gdzie odeszły od linii prostej. Ściągnąwszy brwi, brnąłem przez materiał; zanim dotarłem do połowy, zacząłem się zastanawiać, czy osławiony nos Hanka Sandlera do nowych historii nie wprowadził go wreszcie w ślepią uliczkę. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to wszystko wywarło na nim takie wrażenie, że aż polecił Jimmy’emu Westonowi ścigać mnie po całej Wenezueli, bym napisał o tej historii. Pierwsze dwa punkty wymienił podczas naszej rozmowy – dotknięte paniką chilijskie rybackie wioski nabrzeżne, skąd donoszono o pojawieniu się na niebie paszczy jakiegoś zwierzęcia z wielkimi kłami. Myślałem, że przesadzili i musiałem to sprawdzić w innych doniesieniach, ale w rzeczy samej – nie przesadzili. Jedna relacja pochodziła z wioski Mochasa, inna z miejscowości zwanej San Felipe i obie były zgodne w poszczególnych punktach, choć podawały je różne agencje. Oczywistym wyjaśnieniem było,

jak wywnioskował Sandler, iż odnosi się to do nadzwyczajnych Północnych Światel. Jeżeli był to optyczny fenomen wokół południowego obszaru Chile, można byłoby się z tym pogodzić bardzo grzecznie. Sam widziałem optyczne fenomeny, tęcze i wiele innych, nie widziałem więc powodów, dla których nadpobudliwa ludzka wyobraźnia nie mogłaby przekształcić jednego ze zjawisk w mordę potwora. Pozostałe relacje można było równie łatwo wyjaśnić: wspólne źródło, gwałtowne burze elektryczne, przerywanie transmisji radiowych nad centralnym i południowym Pacyfikiem, doniesienia o magnetycznych anomaliach, obserwowanych przez różne obserwatoria...

Musiałem skupiać się tylko połową umysłu, ponieważ zanim przeczytałem cały plik po raz drugi, trząsałem się cały na fotelu i wylamywałem palce, doprowadzony do rozpaczki bezmiarem własnej tępoty. Zwykły fenomen, słoneczny sztorm czy migotanie – jasna cholera, przecież wiedziałem, że mamy rok spokojnego Słońca. Do diabła, wiedziałem to bardzo dokładnie, ponieważ zamierzałem umieścić w mojej następnej książce rozdział, oparty o najświeższe badania Słońca i dlatego przyjechałem do Quito – jedno z najbardziej znanych obserwatoriów mieściło się parę ulic dalej, a ja byłem umówiony na spotkanie z jego dyrektorem.

Zaczynałem się już domyślać, dlaczego Sandler wysłał te materiały do mnie, wszystko to zaczęło łączyć się z powrotem „Starventure” – tam były energie analogiczne

do reakcji Czerenkowa, poprzedzających niebezpieczeństwo...

Oczywiście, musiałem to sprawdzić i upewnić się co do tej możliwości, ale nie teraz. Spojrzawszy na zegar na jednej ze ścian foyer, doszedłem do wniosku, że mogę się spóźnić na moje spotkanie przy lunchu. Schowawszy papiery do kieszeni ruszyłem w stronę wyjścia, a człapanie moich stóp przypominało tupot nóg gońca, pędzącego z odpowiedzią do biura Chamborda. Idąc w stronę restauracji zastanawiałem się nad naturą szczęścia.

Rozdział 3

Kiedyś omal się nie ożeniłem, ale obydwójce zmieniliśmy zdanie i później myślałem, że dobrze się stało. Zważywszy na Leona i kłopoty rodzinne dobrze uczyniłem i więcej nie skłaniałem się ku małżeństwu, nadto moje doświadczenia lako starego kawalera nie wskazywały na mnie jako na kogoś, kto mógłby pełnić rolę dobrego ojca. Tak czy owak, małżeństwo i obowiązki rodzinne w szczyście mej wędrownej kariery – pomysł ten wydał mi się bardzo głupi. Ale mimo mej pracy, rzucającej mną po świecie, poznałem kilka kobiet, którym to nie przeszkadzało i które mnie lubiły, a teraz, gdy wreszcie przyjechałem do Quito, powinienem był zadzwonić do Carmen.

Oczywiście, nie wybierałbym się specjalnie do Quito, by odwiedzić Carmen... Ale teraz miałem ochotę ją zobaczyć i pomyślałem, że dlaczego nie.

Jeden z członków załogi „Starventure” był Ekwadorczykiem, geologiem i geofizykiem w jednej osobie. Nazywał się Hermanos Iglesias. Jego żyjąca rodzina składała się z: dziadków, rodziców, czterech wujów z żonami i dziećmi, dwóch zamężnych ciotek i jednej niezamężnej, dwóch żonatyh braci z dziećmi, czterech zamężnych siostr z dziećmi, jednej zamężnej bez dzieci i jednej niezamężnej. Wszyscy oni przybyli na odlot promu jako „najbliżsi krewni”, nie posiadając się ze szczęścia i chwając się wszystkim wokół swoim cudownym chłopcem Hermanosem i opowiadając, jak to Hermanos wygrał eliminacje na statkach szkolnych i zdobył pierwszą lokatę na uniwersytecie, a teraz leci do gwiazd; przerywali tę lawinę słów tylko po to, by wzywać świętego Krzysztofa.

Tą niezamężną siostrą była Carmen, malutka, nie jakaś tam piękność, z ostrym nosem, skrzywionymi ustami, skórą o słabym, żółtawym odcieniu i włosach tak czarnych jak kosmiczny mrok. Starła się trzymać z dala od kłębiącego się tłumu rodziny podczas ceremonii pożegnalnej i udało mi się rozmawiać z nią wystarczająco długo, by umówić się na spotkanie. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego się zgodziła, ale cokolwiek to sprawiło, jestem za to wdzięczny. Powiedziałem jej później, że jej

przodkami musieli być po trosze: Hiszpanie, Irlandczycy, Indianie i pumy.

– Nie, nie pumy – odpowiedziała. – Myślę, że jaguary.

No, więc był to drugi powód, dla którego znajdowałem trochę czasu, gdy coś sprowadzało mnie do Ekwadoru. Czasami życzyłem sobie częstszych przyjazdów, innym razem mówiłem sobie, że powinienem trzymać się z daleko przez pięć lat. Jednakowoż całkowity czas mojego pobytu, który wyniósł półtora miesiąca podczas dwóch lat, nie przyniósł mi monopolu na jej towarzystwo.

Siedziała przy barku w restauracji i, gdy dostałem zimny sok owocowy, na twarzach facetów malował się wyraz zakłopotania, jakby dziwili się, czemu tak uparczywie wpatruję się w dziewczynę, o której nie można powiedzieć, że jest piękna. Oczywiście pierwszą rzeczą, jaką powiedziałem jej po przywitaniu się, było:

– Czy słyszałaś?

Uniosła w górę jedną bardzo czarną brew, a jej czoło przecięły zmarszczki i dała znak kelnerowi, by przyniósł dla mnie drinka.

– „Starventure” wraca.

Przyjęła wiadomość spokojnie, jakbym powiedział:

– Dziś nie świeci Słońce.

Upiła łyk drinka, nim powiedziała:

– Więc to wyjaśnia wszystko.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć, było to podobne do reakcji Hanka Sandlera na najnowsze wiadomości.

– Wyjaśnia co?

– To, że wydawało mi się, iż widzę Hermanosa dziś rano.

Właśnie unosiłem przyniesionego dla mnie drinka; szok, spowodowany jej słowami spowodował, że nieomal wypuściłem z dłoni śliską szklankę.

– Widziałś swego brata? – zapytałem. – Gdzie? Kiedy?

Wykonała nieokreślony gest.

– Och, wyobraź sobie, że widziałam go z okna mojej sypialni. Wiedziałam, że może to być tylko przywidzenie, oczywiście, ale fakt powrotu tłumaczy to. Zawsze mieliśmy wewnętrzny wzrok. Moja babcia twierdzi, że pochodzi to z Irlandii, a poza tym jestem siódmym dzieckiem siódmego dziecka.

Tak spokojnie, jak to tylko możliwe, znów łyknęła swojego drinka; odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

– Nie ma we mnie nic z Irlandczyka i nigdy nie słyszałem, by któryś z moich szkockich przodków był jasnowidzem... Nie jestem nawet siódmym dzieckiem, przez pokolenia nie mieliśmy tak wielkiej rodziny. Ale...
– wahałem się, nie będąc na tyle odważnym, by powiedzieć jej coś, co być może zabrzmia idiotycznie, gdy coś w jej oczach przeniknęło do mnie i zmusiło do złożenia

oświadczenia; słabo wydusiłem z siebie: – Widziałem dziś Leona...

– Ty również widziałeś Leona tak dobrze, jak ja Hermanosa?! Nie, nie, nie – zaśmiała się. – Mam na myśli to, że wydawało ci się, że widzisz swojego brata tak, jak ja swojego? Jakie to dziwne...

Dziwne – zgodziłem się i wypilem jednym haustem swego drinka na wypadek, gdyby chciała jeszcze czymś mnie zaskoczyć i odstawiłem szklankę. – Byłem tak pewny, że to był Leon, że popędziłem do biura prasowego ONZ oskarżyć Chamborda, że po cichu oszukuje ludzi!

– Jak to oszukuje?

– Dlatego, że jeżeli widziałem Leona na własne oczy, to musiałem uznać, iż „Starventure” wrócił i wiadomość o tym utrzymywana jest w tajemnicy albo, co gorsza, nigdzie nie poleciał i cały ten projekt był wielką mistyfikacją – z zakłopotaniem dodałem: – Do tej pory nie myślałem, że ktokolwiek mógłby posunąć się tak daleko i spreprować mistyfikację na tak wielką skalę... Myślę, że miałem nadzieję na wielki łup. Później, kiedy usłyszałem wiadomość, doszedłem do wniosku, że chyba mam halucynację.

– David, ty ciągle w to nie wierzysz? – powiedziała cicho. – Pójdziemy coś zjeść czy raczej powinniśmy znaleźć kogoś z krewnych innych członków załogi, by spytać, czy im też przytrafiło się coś takiego jak nam dziś rano?

To był następny szok – tym razem negatywny – że to Carmen, a nie ja może wpaść na taki pomysł i zabrać się do wcielania go w życie. Mówiła zupełnie poważnie, zaczęła już szukać rękawiczek i torebki, jakie stare, tradycyjne firmy, takie jak ta, w której pracowała, preferowały dla swoich pracowników w czasie godzin pracy, ale to do niej oczywiście nie pasowało. Szybko położyłem dłoń na wierzchu torebki, nim zdążyła jej dotknąć i powiedziałem:

– Do diabła z tym! Tak, jestem bardzo głodny, a poza tym nie widziałem cię przez miesiące i chcę się dowiedzieć, co nowego i jeszcze – nie mam teraz zbyt wiele czasu, dziś po południu muszę spotkać się z profesorem, a mój stary szef z SOLAR PRESS przysłał mi materiał, który muszę przejrzeć, nim spotkam się z tym facetem, ponieważ pozwoli mi to przygotować dla niego pytania.

Wyciągnąłem do połowy z kieszeni plik wiadomości od Sandlera.

– Bardzo dobrze – zebrała swoje rzeczy, po czym zapytała: – No to co, idziemy? Przeszliśmy do restauracji i pokazano nam stolik, który Carmen dla nas zarezerwowała. Wcześniej nigdy tutaj nie byłem. Carmen zaproponowała to miejsce, gdy dziś rano do niej zadzwoniłem; było tu mnóstwo pluszu i złoceń oraz zespół, który według mnie grał irytująco, ale wino i jedzenie były doskonałe.

– Pytałeś mnie, co nowego? – powiedziała Carmen. – Wiesz, że nadal pracuję w tym samym miejscu, ale teraz mam swoje własne mieszkanie. Chciałam ci to powie-

dzieć przez telefon, ale zawsze, kiedy wyjeżdżasz, myślę sobie, że może się zmieniłeś, więc wolałam się z tobą zobaczyć, zanim ci to powiem.

– No i co, zmieniłem się?

– Ty? Nie! – zabawnie zmarszczyła nos. – Czy zjesz ze mną kolację dziś wieczorem? To może oczywiście spowodować skandal, jeśli moja rodzina dowie się o tym, ale czy ty będziesz tu wystarczająco długo, by móc do nich zadzwonić?

Musiałem się uśmiechnąć.

– Ty także się nie zmieniłaś – stwierdziłem. – Pozostałaś dokładnie tak samo zdumiewająca, jak zawsze.

– Ty wcale nie jesteś zdumiewający – odparła. – Zawsze przybywasz tutaj z określonych powodów: wywiad, wizyta w jakimś laboratorium, zawsze w pierwszej kolejności mówisz o tym, a ja jestem druga w kolejce. To jest powód, dla którego cię lubię. Większość mężczyzn mówi w pierwszej kolejności o sobie i nigdy nie przestaje o tym gadać.

– Gdybym nie wiedział pomyślałbym, że nie lubisz mężczyzn – gdy to mówiłem, dziwiłem się samemu sobie, jak mogę przebywać z dala od Quito, miejsca, gdzie jest Carmen; zdecydowałem się zmienić temat. – Jak długo zostanę... Cóż, teraz wrócił „Starventure”... Na pewno będę przez najbliższe trzy dni, a później... Dawno temu. obiecałem Hankowi Sandlerowi, że opiszę dla niego powrót statku. Nawet jeśli oni nie będą mogli zagwaranto-

wać mi dziesięciu tysięcy tygodniowo na czas trwania kwarantanny, lądowania, czegokolwiek, to i tak będę tutaj. Przecież mój brat jest na pokładzie, a nie każdy ma szansę dowiedzieć się z pierwszej ręki, jak wyglądała dziwna podróż do gwiazd.

Głos mi nieco zadrzał, po skórze przebiegł dziwny dreszcz podniecenia i niepokoju. Wraca pierwszy statek międzygwiazdny! Powtórzyłem sobie te słowa, nim odechnąłem, a potem głośno powiedziałem:

– Carmen, czy to cię nie podnieca, cała skala tego przedsięwzięcia? Więcej niż osiem lat świetlnych tam i z powrotem, ludzie na statku, krążącym wokół innego niż nasze słońca... Nieprawdaż?

Zmieszałem się pod jej uważnym spojrzeniem tych dwóch głębokich studni, które służyły jej za oczy; powiedziała równym głosem:

– Dziś rano widziałam Hermanosa. Nigdy dotąd nie doświadczyłam wewnętrznego spojrzenia i ty też nie. Martwię się.

Odwiozłem ją do biura; po upewnieniu się, że odnajdę drogę do jej mieszkania, gdzie o dziewiętnastej trzydzieści miałem stawić się na kolację i to raczej później niż wcześniej, by nie zastać jej w kuchni, pożegnaliśmy się. Chciałem powiedzieć jej przed rozstaniem coś, co odwróciłoby jej uwagę od kłopotów, ale nie wpadłem na nic, co miałoby ręce i nogi.

Zbliżała się pora spotkania w obserwatorium. Zadzwońiłem do Chamborda, gdzie dowiedziałem się, że nie doda nic do tego, co usłyszałem wcześniej poza tym, że zamierzają sprowadzić „Starventure” przy pomocy holowników. Orbita była obliczona dla dziesięciu statków holowniczych i ich załogi czekały w pełnej gotowości. Dowiedziałem się, że zainteresowanie składem załóg holowników zostanie zaspokojone wieczorem, gdy podane zostaną ich nazwiska i pełne biografie, ale do czasu, gdy „Starventure” zacznie krążyć bezpiecznie na orbicie wokół Maiki Ziemi radio kosmiczne będzie zbyt przeciążone, by przeprowadzać osobiste wywiady z pilotami holowników. Strasznie naiwne. Wróciłem do samochodu i ruszyłem w kierunku obserwatorium. Przebyłem już niezły kawałek drogi, gdy doszedłem do wniosku, że powinienem zrobić dokładnie to, o czym mówiłem Carmen, czyli przemyśleć uważnie pytania, które miałem zamiar zadać profesorowi podczas mojej wizyty w obserwatorium. Zaczynało być dla mnie jasne, że książka będzie całkowicie odłożona dzięki „duchowym” reminiscencjom Leona jako pierwszej osoby, która była na Alfa Centauri, ale nie był to jeszcze powód, by zrezygnować z zaaranżowanego spotkania z naukowcem o międzynarodowej sławie. Jutro mogą już tu być całe gromady reporterów, jak pod każdym obserwatorium na świecie. Wdusiłem gaz pozwalając, by wiatr wywiał wszystkie poprzednie pytania, o których myślałem, że chcę je zadać i zastąpić bar-

dziej odpowiednimi do nowego tematu rozmowy. Nie podejrzewałem, że będzie łatwo na nie odpowiedzieć...

Rozdział 4

Oczywiście często słyszałem o profesorze Rodrigo Acosta, ale nigdy przedtem go nie spotkałem, co czyniło z niego wyjątek wśród znanych naukowców, przebywających na Ziemi. Był dyrektorem instytutu od czasu moich ostatnich odwiedzin w Ekwadorze. Przyjął mnie w tym samym gabinecie, w którym rezydował jego poprzednik – zauważyłem te same dekoracje na ścianach, satelitarne zdjęcie tajfunu, kotłującego się na Pacyfiku, które – prawdę mówiąc – wyglądało na impresję artystyczną i doskonałą pod względem jakości fotografię korony słonecznej podczas zaćmienia, o brzegu wyglądającym niczym sznur pereł.

Profesor był małym, zasuszonym człowieczkiem w koszulce z krótkimi rękawami, w okularach o złotej oprawce i doskonale mówił po angielsku. To mnie nie dziwiło, bowiem według „Who is who” pracował na obydwu półkulach, między innymi w Greenwich.

– Przez cały ranek usiłowałem porozumieć się z panem – zaczął, gdy tylko usiadłem. – Odkąd ogłoszono wiadomość o powrocie „Starventure”, jestem oblegany

przez reporterów którzy sądzą, że mam prywatne połączenie z kabiną kapitana Rukeysera, więc chciałem odwołać nasze spotkanie. Ale skoro już pan tu jest... – wzruszył ramionami. – Cóż, chciałbym powiedzieć, że wśród pańskich kolegów nie ma żadnego, dla którego mógłbym zrobić wyjątek...

Gwałtownie zdjął okulary, szyderczo się uśmiechnął, błysnął do mnie oczami i założył je z powrotem. Szczerze mu podziękowałem: zamieniłbym sto komplementów od amatora na jeden z ust pracującego naukowca.

– A teraz, o czym chciałby pan podyskutować? – zapytał. – Wnosząc z pańskiego listu, miały to być najnowsze dane, dotyczące Słońca, ale po wiadomości o powrocie statku międzygwiazdowego wyobrażam sobie, że raczej o tym chciałby pan pomówić. Jednakże muszę pana ostrzec, że nie mam zbyt wiele do opowiedzenia.

Spojrzałem na swój najnowszy dyktafon, który trzymałem na kolanie, jak zwykle podczas moich wywiadów. Odniosłem wrażenie, że Acosta nie pochwalałby nagrywania swoich wypowiedzi, ale póki co, nie mógł mieć podstaw do sprzeciwu.

– Do rzeczy – powiedziałem. – Chcę mówić o pańskich ustaleniach, dotyczących Słońca i statku. Mamy teraz mniej więcej środek roku spokojnego Słońca, prawda? Dlaczego zatem miałyby właśnie teraz objawić się wzmożona aktywność Słońca?

Wyraz jego twarzy powiedział mi – nim cokolwiek odpowiedział – że trafiłem w cel, strzelając w ciemno. W duchu złożyłem podziękowania Sandlerowi, którego nos do super wiadomości jeszcze raz okazał się niezawodny, z wyraźną niechęcią Acosta odpowiedział:

– Tak, to prawda, że przez ostatni dzień Słońce było wyjątkowo aktywne, ale tylko w zakresie plam słonecznych, rozumie pan?

– Aktywność na jakim etapie? Falowanie w koronie? Migotliwe światło, anomalie magnetyczne, o to chodzi?

– Tak, o to wszystko.

– Czy może istnieć jakieś powiązanie pomiędzy tymi – zjawiskami a pojawieniem się statku w normalnej przestrzeni? Przypuszczam, że może tak być – zgodził się ze mną niechętnie. – Jest oczywiście zbyt wcześnie, by wysnuwać coś więcej niż tylko przypuszczenia, proszę więc po wyjściu stąd nie rozgłaszać, że takie związki istnieją. Ale... Cóż, nie możemy wykluczyć zbiegu okoliczności. Musimy pamiętać, że po raz pierwszy tak wielki obiekt powrócił do normalnej przestrzeni po tak długiej podróży. Pomijam oczywiście pierwszy etap, kiedy statek osiągnął Alfa Centauri i znajdował się w odległości czterech lat świetlnych od Ziemi...

– Wydaje mi się, że mógłbym odwołać się do analogii, dotyczących zjawiska zwanego „promieniowaniem Czerenkowa”, które mogłoby poprzedzać ciało, porusza-

jące się z prędkością większą niż prędkość światła. Czy mógłby pan skomentować ten pomysł?

– Nie wykryto żadnego rodzaju promieniowania podczas testów bezzałogowego statku, poprzedzającego lot „Starventure”. Ale z pewnością napływ energii mógłby wywołać wzmożoną aktywność słoneczną, czego właśnie doświadczamy – zawahał się. – Teraz moje kolej, by zadać pytanie, panie Drummond. Od kogo dowiedział się pan o tej niezwyklej aktywności słonecznej? Nie sądzę, by były to wystarczająco ciekawe wiadomości dla prasy czy wiadomości telewizyjnych...

– Nic takiego nie ukazało się w prasie, ale niektóre następstwa wywołały panikę – podałem mu informacje, jakie otrzymałem od Sandlera; podczas gdy profesor wertował materiały, ja zastanawiałem się nad moją połowicznie sformułowaną koncepcją.

Promieniowanie Czerenkowa emitowane jest przez cząstki jonizujące, poruszające się w danym ośrodku z prędkością większą niż prędkość światła. Zjawisko to porównać można do zmarszczek na powierzchni wody podczas przepływania statku z tym, że fale te poprzedzają statek. Teoria mówi, iż statek, poruszający się szybciej niż światło nie może reagować z obiektami fizycznymi w normalnym Kosmosie, ale – zawsze przechodziłem intuicyjnie nad dogmatem tego twierdzenia jeżeli statek mógł znaleźć „tę drogę”, by zdefiniować pozycję w rzeczywistej przestrzeni kosmicznej, to musi istnieć jeżeli nie po-

wiązanie, to chociaż połączenie z normalnym Wszechświatem. Szczególnie, kiedy zwałniał i przekraczał niezdefiniowany próg pomiędzy dwoma możliwymi stanami istnienia, to musiał... Otrząsnąłem się z zamyślenia i stwierdziłem, że Acosta oddaje mi papiery.

– Dobrze udokumentowane przypuszczenie, co? – westchnął. – Zebrał pan fakty: zakłócenia w łączności radiowej, panika z powodu dziwnych światel na niebie, lśniąca zorza i prawidłowo odgadł pan, że stare Słońce ma czkawkę. Szczególnie duże wrażenie wywiera na mnie szybkość, z jaką zebrano te dane, pochodzące z różnych źródeł.

– O, to nie moja zasługa – przyznałem się. – To mój były szef z biura w Nowym Jorku, gdzie kiedyś pracowałem, poskładał to wszystko do kupy. Początkowo sądziłem, że to stek bzdur, ale szybko doszedłem do wniosku, że jednak miał rację.

Miałem właśnie rozpocząć serię daleko idących pytań, gdy uprzedził mnie przeraźliwy dzwonek telefonu na biurku Acosty. Wymamrotawszy przeprosiny, sięgnął po słuchawkę; wykręcił głowę tak, że pochwyliłem tylko kilka słów, ale wagę wiadomości można było wyczytać z jego twarzy, na której pojawiło się najpierw zaniepokojenie, następnie zaskoczenie, a wreszcie nie dająca się wytłumaczyć powaga. Zakończył rozmowę oschłym: „Pronto” i odwrócił się do mnie.

– Bardzo mi przykro, panie Drummond powiedział niechętnie. – Nie mogę, niestety, poświęcić panu więcej czasu. Telefonował jeden z moich asystentów... Pojawił się nowy, bardzo gwałtowny rozbłysk Słońca i niezbędna jest moja obecność przy głównym teleskopie.

Wstał i podał mi dłoń ponad biurkiem, posłusznie nią potrząsnąłem i wyszedłem z pokoju. Całą drogę powrotną do Quito zastanawiałem się, dlaczego mnie okłamał – ze słów, które udało mi się pochwycić, mogłem ustalić z całą pewnością, że telefonowano do profesora nie z obserwatorium, lecz z portu kosmicznego.

Głowa mi pękała od sprzecznych pomysłów. Usiłowałem wcisnąć je w jakieś logiczne ramy, ale przypominało to układanie trzech różnych mozaik, przemieszanych razem. Po powrocie do hotelu usiadłem na długą chwilę przy barze mając nadzieję, że kilka drinków mi pomoże, ale nie pomogły. Nie posunąłem się dalej niż przed udaniem się do Acosty: przypuszczenie, że promieniowanie poprzedza „Starventure”, mogło zostać zapisane na konto Słońca i to również mogło wyjaśniać rozmaite zjawiska, o których powiadał mi Sandler, zwłaszcza zakłócenia radiowe i zorze, a wśród nich pozwalał sobie istnieć tak zwany „potwór” na niebie. A więc dalej: jaką postać może przybrać taka energia? Czy może to być widzialne światło? Możliwe. Ale w takim razie istniała szansa, że choć jedno z obserwatoriów na Ziemi czy na Księżycu może mieć teleskop ustawiony w odpowiednim kierunku i

uda mu się to zaobserwować. Może to być krótka ulewa promieniowania kosmicznego, którą mogłyby wykryć detektory w Kosmosie lub jednej ze stacji pomiarowych na Ziemi, jeśli oczywiście Ziemia znalazłaby się na drodze strumienia promieniowania. Pomyślałem o tym, by zadzwonić do stacji w wysokich Andach, ale przypomniałem sobie, że dane pomiarowe zbierane są w trzytygodniowych odstępach i dziś nie mogliby udzielić mi odpowiedzi.

Kontynuując rozważania doszedłem do wniosku, że jeżeli istniało jakiegokolwiek promieniowanie, to były to bez wątpienia cząstki neutrino. Hmm... Jaki mógłby być efekt uderzenia neutrino o odpowiednio wysokiej energii w Słońce? Można było tylko snuć przypuszczenia, ale było raczej pewne, że mogłoby to być niebezpieczne dla powracającego statku, a nawet dla samej Ziemi.

Czy to mógł być powód, który wytrącił z równowagi Acostę? Obawa, że wynurzenie się statku do normalnej przestrzeni wywołało zaburzenia we wnętrzu Słońca? Rozważyłem tę możliwość i odrzuciłem ją po chwili. Jeśli zaistniałoby coś takiego, to Acosta wiedziałby o tym pierwszy i nie powiadamiano by go o tym z portu kosmicznego...

Myśl o porcie kosmicznym spowodowała, że spróbowałem skontaktować się telefonicznie z jednym z moich znajomych spośród personelu, ale po bezowocnych minutach próżnych prób znajdowałem się nadal w tym

samym miejscu. Wszystkie łącza telefoniczne były zajęte i brakowało mi już sił, by klócić się z obsługą centrali.

Zbliżała się już pora, by jechać do Carmen. Dojechałem tam siedem minut później i zgodnie z jej wskazówkami trafiłem dokładnie we właściwe miejsce. Carmen powitała mnie ubrana w karmazynową suknię; kolor, którego nie znoszę u kobiet, nie potrafiących zadbać o siebie jak ona. Podziwiałem ją, podziwiałem jej nowe mieszkanie, jej kuchnię i wybór win – wszystko było perfekcyjne. Zdawało się, że zapomniała o niepokoju, jaki odczuwała wcześniej z powodu ujrzenia Hermanosa.

Skończyliśmy na kawie i ognistym, miejscowym koniaku, myśląc o przygaszeniu światła i włączeniu muzyki, gdy dobiegł do nas krzyk z ulicy. Początkowo zignorowaliśmy to, ale wznosił się niby przypyływ morza. Kiedy krzyk nie ustawał, przestaliśmy rozmawiać i zaczęliśmy słuchać; zaczynało to brzmieć, jakby całe miasto zaczynało krzyczeć. Popatrzyliśmy na siebie i jednocześnie zdecydowaliśmy się wyjść na balkon. Natychmiast po otwarciu drzwi ujrzeliśmy dziwne, nieziemskie, niebieskozielone światło, w jakiś dziwny sposób wywołujące mdłości. Rozejrzeliśmy się dokoła i nagle poczułem dłoń Carmen, boleśnie zaciskającą się na moim przegubie.

Na niebie był potwór.

Gapilem się na niego z kompletną niewiarą przez dobre pół minuty, zanim pomyślałem o nagraniu. Musiałem uwolnić swój nadgarstek od uścisku Carmen, która

stała jak wryta, uporczywie patrząc w górę z lekko otwartymi ustami i niewiarygodnie rozszerzonymi oczami. Wyciągnąłem z kieszeni dyktafon i przełączyłem z fonii na nagrywanie wizji, choć ręce trzęsły mi się do tego stopnia, że nie byłem pewny, czy warto to robić; swoją drogą to cholerstwo wypełniało tyle nieba, że ledwo mogłem je objąć, nawet po nastawieniu obiektywu na najszerszy zasięg.

Może rzecz dostrzeżona nad chilijskimi wioskami była fenomenem zorzy, ale to tutaj nie było nim na pewno. Znajdowaliśmy się na najwyższej kondygnacji osiemdziesięciopiętrowego budynku, naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, stał podobny budynek, różniący się tylko wysokością: miał o trzy piętra więcej i duży ogród na dachu, w którym rosły bujne palmy. Za palmami widniało ciało potwora, jego nogi mogłyby znajdować się poniżej linii horyzontu, o ile w ogóle miał nogi. Rozciągnięty, odpychający urwistymi krawędziami niezdrowego błękitu nieba jaśniał matowym blaskiem zdechłej ryby, a otwarta paszcza była zielono-czarna, zwisając czterdzieści pięć stopni nad horyzontem i wydawała się tak wielka, że mogłaby połknąć naszą ładną planetę na jeden kęs. Wewnątrz paszczy skręcały się i kipiały sploty, podobne do grubych, okrętowych lin, a po jednej stronie przepastnego otworu widniały oczy.

Powiedziałem oczy nie wiedząc, jak je nazwać. Były jak kleksy niebiesko-zielonej rtęci, poruszającej się w

czarnych, orbitujących studniach, ruch kolorowego światła nad ich powierzchnią sprawiał wrażenie, że toczą się i wirują wewnątrz krzywizny kuli. Jeżeli jeden z kleksów przesuwał się do górnej połowy swojej studni, to pozostawał w doskonałej zgodzie z drugim i to przekonało mnie, że są to oczy.

Nawet przez wizjer dyktafonu czułem, że było to naprawdę potworne zwierzę, które przyglądało się Ziemi jakby zastanawiając się, gdzie zatopić swoje kły.

A potem zaczęło znikać.

Krzyki i wrzaski w mieście zaczęły cichnąć wraz z odejściem tego „czegoś”, a ja po raz pierwszy dostrzegłem innych ludzi, stojących na balkonach wzdłuż całej ulicy. Ludzie w dachowym ogrodzie budynku naprzeciw nas nadal wpatrywali się w niebo, modląc się głośno. Ruch na jedni, jak okiem sięgnąć, zatrzymany był w obydwie strony, kierowcy i pasażerowie wspięli się na dachy pojazdów, by lepiej widzieć. Bez przerwy filmowałem, dopóki nie zniknęła ostatnia niebiesko-zielona plama, a znajome gwiazdy, które przesłaniał potwór, nie zaczęły znowu świecić. Opuściłem dyktafon i w tym samym momencie poczułem, że chwycił mnie skurcz uniesionych ramion. Byłem także, po raz pierwszy w życiu, całkowicie skąpany w pocie – często byłem spocony na skutek upału czy napięcia nerwowego, ale teraz byłem mokry tak, jak gdybym spacerował bez parasola podczas obierwania chmury. Poruszyłem ramionami w górę i w dół,

czując ból ustępującego kurczu i powracającego krążenia krwi. Byłem pewny, że Carmen ma wciąż ten osłupiały wyraz twarzy, więc zażartowałem: .

– Znaki i przepowiednie, co? Kometa Halleya nie umywa się do tego!

Odwróciła się do mnie nieomal oślepla z przerażenia, wtuliła mi się w ramiona i zalała łzami; uspokajałem ją przez minutę czy dłużej, zanim wreszcie opanowała się i odsunęła ode mnie.

– Przepraszam... – wymruczała, ocierając mokre od łez oczy szybkimi ruchami dłoni. – Ale, David... Nie powiedziałam ci całej prawdy, gdy byliśmy na lunchu. Ja się nie boję, jestem przerażona, a to, co widzieliśmy, kompletnie mnie dobiło...

– To zalamaloby każdego – przyznałem. – Ale jak myślisz, co to, u diabła, jest?

Rozejrzała się z przestrachem po niebie i zobaczywszy, że jest czyste, gwiazdziste i normalne, wyciągnęła z pudełka papierosa. Podając jej ogień dostrzegłem, jak silnie drżą jej dłonie.

Kiedy zobaczyłam Hermanosa dziś rano myślałam, że wiem, co się dzieje – zaczęła. –: Byłam przekonana, że jest to ta moc, ten dar, o którym mówiła moja babka...

Odprężylem się widząc, że w trakcie wypowiedzianych słów Carmen uspokaja się coraz bardziej.

– Gdy opowiedziałeś mi o swoim bracie pomyślałam, że i ty miałeś podobną wizję, ale teraz wygląda na to, że

wszyscy w Quito ją mieli. Bo to musiało być przywidzenie, prawda? To nie mogło istnieć naprawdę...

Dla mnie wizja, dostrzeżona przez tysiące ludzi musi ipso facto być prawdziwa, ale ograniczyłem się do wzruszenia ramionami, czując mokrą od potu koszulę, przylepioną do moich pleców.

– Co to może znaczyć?! — krzyknęła nagle. — Co to może być?

Nie wiem – odpowiedziałem. — Ale wiem, że cokolwiek to było, to albo była to masowa super–halucynacja, albo coś nader realnego.

Mocno ściskając w dłoni dyktafon podszedłem do telefonu, stojącego w rogu pokoju; nie byłem pewny, czy aparaty w Quito mają zainstalowany system wizyjny, ale – jak się okazało – był to nowy model z pełnym wyposażeniem. Odciałem fonię od wizji i podłączyłem dyktafon. Przez pół sekundy miałem desperacką nadzieję, że była to masowa halucynacja, że sfilmowałem tylko budynki i niebo, ale tam był potwór, paszcza, oczy, wszystko – trzy pełne minuty tego zjawiska utrwaliło się na kryształach dyktafonu.

Spojrzałem na Carmen: wpatrywała się w ekran tak, jak przedtem w niebo, aż do końca zapisu. Zaśmiała się i sięgnęła po zapomnianego papierosa, potem spojrzała na mnie i powiedziała:

– Och, David, nic mi już nie jest. Ale... Ale czy to znaczy, że to było prawdziwe?

– Tak, to właśnie znaczy, że to było prawdziwe – odpowiedziałem, ostrożnie dobierając słowa. – Można stwierdzić, że na niebie utworzył się pewien wzór światła, ale jak ten wzór ma się do rzeczywistego potwora – na to brak sensownej odpowiedzi.

– Tak jak nie ma odpowiedzi na to, że dziś zobaczyłam Hermanosa, a ty Leona? – Carmen powiedziała to takim tonem, że lepiej było nie zaprzeczać, więc po prostu sceptycznie westchnąłem.

Przez chwilę milczeliśmy, wreszcie Carmen zapytała: David, czy myślisz, że wiele osób zachowało na tyle przytomność umysłu, by to sfotografować? Prawdopodobnie tak.

Chociaż, prawdę mówiąc, myślałem dokładnie odwrotnie: ta cała rzecz istniała tylko sześć lub siedem minut i choć ja sam miałem dyktafon w kieszeni, też na chwilę zapomniałem o filmowaniu.

– Czy... – zaczęła niepewnie. – Czy byłoby to dla ciebie dużo warte, gdybyś wysłał ten film do swojej agencji?

Skinąłem twierdząco głową.

– To dlaczego tego nie zrobisz?

Zawahałem się.

Byłoby to bardzo kosztowne dla twojego rachunku telefonicznego. Powinienem pójść do najbliższego automatu, w którym mógłbym skorzystać z mojej karty kredytowej.

– Nie! – powiedziała z nagłą gwałtownością i podeszła do mnie, kładąc swą małą dłoń na mojej, jakby chciała upewnić się, czy istnieję realnie. – Nie, Davidzie, nie wolno ci zostawić mnie samej nawet na sekundę. Dziś nocy zbyt się boję, by zostać sama.

Rozdział 5

W nocy trzy lub cztery razy zaczynała płakać przez sen i budziła się, a wtedy obejmowałem ją i przytulałem ją mocno, bym tworzył pancerz dla jej gładkiego, giętkiego ciała. Ja również spałem niespokojnie, a mój sen ubarwiał się koszmary. Trochę po szóstej, niedługo potem, jak niebo pojaśniało, obudziliśmy się jednocześnie i stwierdziliśmy, że już na pewno nie zaśniemy. Leżeliśmy przez chwilę w ciszy i każde z nas czuło, że drugie zastanawia się, czy wczorajszy potwór na niebie nie mógł być jedynie wymysłem złego snu. Ale świat był prawdziwy, nasze dłonie połączone były w uścisku, nasze ciała się stykały, czuliśmy zmięte prześcieradła na materacu, a każda zmiana pozycji w poszukiwaniu wygody czyniła je coraz bardziej niewygodnymi. Wreszcie, jakby czytając w moich myślach, Carmen powiedziała nie patrząc na mnie:

– David, czuję, że chcesz odejść.

– Kilka razy tak bywało, ale nie dziś; najbardziej ze wszystkiego pragnąłem zostać. Ta kobieta z ognia i lodu była źródłem spokoju i bezpieczeństwa w świecie, który przez nagły przypadek przekształcał się w coś nieznanego. Ale musiałem wyjść i dowiedzieć się, dlaczego Wszechświat był inny od wczorajszego, jeśli istniał ktośkolwiek, kto mógłby mnie o tym poinformować. Powiedziałem tylko: Nie chcę, ale myślę, że muszę.

Wyszła z łóżka i ziewając powiedziała:

– Zatem muszę ci pozwolić, ale tylko pod warunkiem, że opowiesz mi wszystko, czego dowiesz się o ostatniej nocy.

Przyrzekłem i niedługo potem wyszedłem w jasny, ciepły poranek. Potwór nie był koszmarem sennym – w każdej porannej gazecie było go pełno, krzyczały o nim wielkie nagłówki. Wielu mieszkańców Quito spędziło noc w kościołach na modlitwie i teraz wylęgali na ulice, setki w tym samym czasie, przy każdym kroku nerwowo spoglądając w niebo. Kupując gazety lub słysząc bloki nowych wiadomości, w barach i kawiarniach, ludzie ci życzyli sobie nie wierzyć własnej pamięci i uznać to, co się wydarzyło za niemożliwe. Ciągle myślałem o chilijskiej wiosce rybackiej widzącej to, co ja wcześniej beztrąsko uznałem za zorzę.

Wczorajszego wieczora przyjechałem do Carmen hotelową taksówką i teraz jej kierowca czekał na mnie; był bardzo przestraszony, a mnie z kolei przerażał fakt, iż

prowadził ze wzrokiem bardziej utkwionym w niebo niż w ulicę przed sobą. Prawie wszyscy kierowcy robili to samo i święty Krzysztof, którego medalik wisiał na desce rozdzielczej, miał chyba w niebiosach pełne ręce roboty. Jeszcze zanim ruszyliśmy, kierowca zapytał:

– Czy pan to widział?

Odpowiedziałem, że tak.

– Ja także – wymamrotał i nie odezwał się więcej aż do chwili, gdy dotarliśmy do hotelu.

Było zbyt wcześnie na poranną pocztę, a poza tym niczego się nie spodziewałem – wyjąwszy SOLAR PRESS, nikt nie znał mego nowego adresu po wyjeździe z Caracas. Ale była dla mnie wiadomość w recepcji: miałem zadzwonić do niejakiego kapitana Brandta, który usiłował skontaktować się ze mną przez cały wczorajszy wieczór; jego numer miał takie same cyfry kierunkowe, jak port kosmiczny.

Nie zamierzałem rozmawiać z nieznanym bez śniadania. Włożyłem wiadomość do kieszeni i poszedłem coś zjeść w towarzystwie gazety i materiałów, które przysłał mi Sandler. Wysiłałem swój mózg zdecydowany sprawdzić, czy naprawdę mogą istnieć powiązania pomiędzy tymi wycinkami a powrotem statku międzygwiazdowego, jak sam to zasugerowałem profesorowi Acosta. Mój mózg pracował ciężko i stało się oczywiste, że kilka filiżanek mocnej, kolumbijskiej kawy ustawi go z powrotem na najwyższych obrotach. Nagle, podczas spo-

zywiania kawałka tostu doszedłem do wniosku, iż mam przecież być może w kieszeni nagrodę. Przelknąłem wszystko, co miałem w ustach i wstałem od stolika w poszukiwaniu telefonu. O tak wczesnej porze nie byłem pewny, czy złapię kogoś w miejscowym biurze PRENSAM – agencji związanej z SOLAR PRESS w wielu krajach Ameryki Łacińskiej – ale miałem szczęście. Mój stary przyjaciel Manuel Segura był tam i gdy tylko skończył marnować czas na wylewne powitania, zaczął się żalić, że wczoraj widział na niebie kolorowego potwora, a dziś nie ma nawet jednej kolorowej fotografii i musi wybierać z grupy czarno-białych, rozmazanych zdjęć, wykonanych przez jednego z mieszkańców miasta. Kiedy powiedziałem, że mam trzy minuty nadającego się do użytku kolorowego filmu z potworem w roli głównej, nieomal przegryzł kabel i dopiero po chwili uspokoił się na tyle, by nagrać moją słowną zgodę na wykorzystanie trzydziestu sekund tego filmu z wyłącznością dla PRENSAM. Wyłączność na rynku północnoamerykańskim i euroazjatyckim miało SOLAR PRESS, ale wydawało mi się słuszne, by mieć jeszcze dodatkowe prawa, gdy pojawię się tam z określoną propozycją. Potem przeszliśmy do innych aspektów tego, co działo się ostatniej nocy. Manuel miał dostęp do większej ilości informacji niż to, co ukazało się w gazetach tego ranka – miał wszystko, co nadeszło do biura PRENSAM tej nocy i miał także wiele relacji nocznych świadków, które teraz dla mnie wyciągnął. Żad-

na z nich nie różniła się zbyt od tego, co sam widziałem; potwór został zauważony nie tylko w Quito, ale i daleko poza Limą, a Manuel podejrzewał, że nie wszystkie doniesienia zostały już dostarczone.

Obydwa rządy i kościoły w Ekwadorze i Peru apelowały o spokój, ale ludzie nadal byli rozhisteryzowani i przerażeni. Opowiedziałem Manuelowi o przedwczorajszym wydarzeniu w Chile, on zaś natychmiast to sprawdził – okazało się, że PRENSAM miało tę informację już w kilka godzin po wydarzeniu, ale pozostała ona w cieniu strajku w Bogocie i obsunięcia się ziemi w granicach Rio. Przeklinając osoby odpowiedzialne za dobór pierwszeństwa materiału Manuel powiedział, że wskrzesi tę informację.

Gdy skończyłem interesy z Manuelem, zadzwoniłem pod numer otrzymany od recepcjonisty. Jak oczekiwałem, połączono mnie z centralą bazy kosmicznej, a przedłużenie numeru doprowadziło do młodego, gładkoliczego oficera Sił Kosmicznych ONZ.

– Ach, pan Drummond! – wykrzyknął. – Bardzo się cieszę z kontaktu z panem! Od lat jestem wiernym czytelnikiem pańskich książek! Nazywam się Brandt, asystent szefa personelu.

Skinąłem głową i oczekiwałem na wyjaśnienie, dlaczego tak bardzo nalegał na skontaktowanie się ze mną.

– Częścią mej pracy jest zawiadamianie krewnych członków załogi „Starventure” o przygotowaniach do łą-

dowania – zaczął. – Nie jest to łatwe, ponieważ teraz wszystko jest takie niejasne, nie znamy nawet konkretnej daty ich przybycia na Ziemię, nie wiemy, jak długo potrwa kwarantanna i do tego dochodzi całe to zamieszanie... Ale kiedy departament prasowy podał, że jest pan w Quito, pomyślałem sobie, że tak czy owak zadzwonię do pana, ponieważ – jak mówiłem – podobają mi się efekty pańskiej pracy. Ale do rzeczy, słyszałem, że znów pan był pierwszy w opublikowaniu najświeższych wiadomości?

– Czysty przypadek – zrzędliwie przytaknałem.

Konspiracyjnie syknął, jakby był pewny, że zauważył moją skromność przy wypieraniu się reporterskiego szóstego zmysłu.

– Cóż, możliwe, że i tak jest. Ale chciałem powiedzieć, że... Ach, oczywiście, posiadanie brata w składzie załogi uprawnia pana do wszelkiego rodzaju ułatwień przy kontaktach rodzinnych, które możemy zaoferować przy całej operacji i może być pan pewny, że pański zawód nie czyni tu żadnej różnicy. Dla nas, oczywiście... Wyobrażam sobie, że pańscy koledzy nie podzielą mego zdania.

Nagle doszedłem do wniosku, że nie lubię Brandta. Nie przypominałem sobie, by podczas startu ktoś miał mi za złe, że jestem bratem Leona, a także żaden z moich kolegów–reporterów nie uważał, że dzięki Leonowi odnoszę nieuczciwie korzyści. Krótco przerwałem, gdy zaczął

mówić coś o spotkaniu w barze, kiedy wszystko się uspokoi. Ekran wygasł, ale byłem zły – być może chciał dobrze, ale obraził mnie formą, choć oczywiście miałem zamiar uzyskać tyle informacji, ile tylko się da od osób na stanowiskach. Westchnąłem, zastanawiając się, czy nie powinienem jeszcze . do kogoś zadzwonić i doszedłem do wniosku, że Acosta powinien być uchwytny w obserwatorium. Dopóki „Star-venture” nie wróci, Quito nie dawało zbyt wiele zajęć dla kogoś z takim talentem naukowym, ale teraz Acosta był na fali w samym centrum wydarzeń. Numer był zajęty – nie byłem tym zdziwiony i czekałem cierpliwie przez dobrych pięć minut, wreszcie znecierpliwiony walnąłem pięścią w automat i w tym właśnie momencie usłyszałem niespokojny głos operatorki centrali w obserwatorium. Ciekawe, że działała tylko fonia, ekran wizyjny był ślepy. Podałem swoje nazwisko i poprosiłem o rozmowę z Acostą, po czym usłyszałem, że profesor jest zbyt zajęty, by z kimkolwiek rozmawiać; zanim przerwała połączenie powołałem się na to, co Acosta powiedział wczorajszego popołudnia o tym, jak jest szczęśliwy z powodu możliwości zrobienia dla mnie wyjątku i tak dalej. Ostatecznie przekonałem ją, by przypomniiała profesorowi jego własne słowa i czekałem. Udało się, razem z głosem Acosty zadziałała również wizja i na ekranie ukazała się jego twarz, na której widniał grymas złości, choć muszę przyznać, że jego głos był umiarkowanie spokojny.

– Dzień dobry, panie Drummond. Jestem pewien, że dzwoni pan, by dowiedzieć się, co sędzę o wczorajszych wydarzeniach?

– Oczywiście — zacząłem. – Czy może pan?..

Trafiłem w czuły punkt, przerwał mi z pasją.

– Nie, panie Drummond! Wszystkie moje poprzednie koncepcje, cały mój zdrowy rozsądek mówi mi „to niemożliwe”! Jednak widziałem to, były zdjęcia w całej porannej prasie, którą mi dostarczono i wiem, że to nie była halucynacja. Wczoraj byłem trzeźwym naukowcem, dzisiaj czuję się jak zupełny ignorant. W nauce nie ma miejsca na potwory w niebiosach! Wczoraj mogłem się zgodzić, że rybacy w Chile byli naiwnymi prostaczkami i pomylili zorzę Australis z ogromną morda, ale dziś, pan rozumie, będę trzymał gębę na kłódkę. Przykro mi, panie Drummond. ale do widzenia!

Ekran opustoszał. Gapiłem się w niego, czując pierwsze igielki strachu, gdy operator hotelowej centrali dał mi znać, że jest do mnie telefon z miasta. Zgodziłem się go odebrać i pojawiła się Carmen; wyglądała na jeszcze bardziej zakłopotaną i zdenerwowaną niż Acosta.

– David, jesteś najbliższym krewnym Leona? – zapytała.

– Tak, oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Zadzwoiłam do domu i wiesz, każdy tam jest radosny jak koliber – cieszą się z powrotu statku. Ale mój ojciec powiedział, że mój siostrzeniec Hermanos – ten, który ma sześć lat i imię po moim bracie, ponieważ uro-

dził się tego samego dnia roku, co i mój brat – więc mały Hermanos wrócił wczoraj do domu ze szkoły i powiedział, że widział rano swego wuja–imiennika. Wszyscy wzięli to za dobry znak i że znaczy to, iż jest on bezpieczny – wszyscy z wyjątkiem mojej babci, która twierdzi, że wskazuje to na niebezpieczeństwo. David, co mam o tym myśleć?

– Właśnie rozmawiałem z profesorem Acostą – powiedziałem po krótkiej przerwie. On sądzi, że chyba najlepiej nie myśleć o tym teraz. Skłaniam się do tego, by się z nim zgodzić.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Niczego o jakimkolwiek znaczeniu. Rozmawiałem z moim przyjacielem Manuelem Segurą z PRESAM i kimś z portu kosmicznego, ale niczego to nie wniosło. Mogę się spokojnie przespać w oczekiwaniu na nowe pytania. Zamierzam jeszcze zadzwonić do Nowego Jorku i być może uda mi się dopaść Henri Chamborda w biurze prasowym ONZ. Ale... Zakładam, że spotkamy się na lunchu znów w tym samym miejscu, co wczoraj?

– Och, tak, proszę, Davidzie, ale o pół godziny wcześniej niż wczoraj, dobrze?

Zgodziłem się i pożegnałem Carmen. Połączenie z Nowym Jorkiem uzyskałem niemal natychmiast. Sandler wyglądał kiepsko, był zupełnie nieobecny duchem, gdy sprzedawał mi komplement o doskonałej jakości filmu z potworem w roli głównej, a potem zapytał, czy wycią-

gnąłem wnioski z materiału, który mi przesłał. Odparłem, że nie, co nie było więcej niż półkłamstwem; powiedziałem dalej, że ciągle nie zgłębiłem powiązań, które on dostrzega pomiędzy szczegółami.

– To trudno opisać – stwierdził. – Nie biorę tego w kategoriach rozumowych, to raczej sprawa intuicji. Nadchodzi czas, kiedy następuje zbieg okoliczności... Powiedz mi, czy gotujesz?

Wiedziałem, że gotowanie to jego hobby, dla mnie zaś jest to coś, co robią inni.

– Mój udział to raczej duchowa pomoc – powiedziałem. – Dlaczego pytasz?

– Nigdy nie robiłeś białego sosu? To składa się głównie z mleka, masła i mąki, mieszasz to razem nad płomieniem i w pewnym momencie, kiedy jest już wystarczająco zagotowany, zamiast trzech składników masz gotowy sos. Nagle to czujesz, mieszając łyżką... Cóż, mam to samo odczucie co do materiałów, które ci podrzuciłem. Pracowałem z kilkoma osobami z mojego personelu i prawie zamęczyłem ich na śmierć po to, aby wpaść na doskonały pomysł: poprosić ciebie, byś podrapał dla mnie to swędzące miejsce.

– Czy mi się wydaje, czy nadal to wszystko wprawia cię w zakłopotanie? – zapytałem.

– Obawiam się, że tak właśnie jest. Nie przypuszczam, że miałeś czas tym się zająć.

Podalem mu zwięzłe podsumowanie mojej wczorajszej rozmowy z Acostą, a on aż zakwicział z radości.

– Bardzo ładne to wszystko, co mówią naukowcy – ta wiara, że coś się stało jako nieoczekiwany efekt powrotu statku. Wielu ludzi, z którymi usiłowałem porozmawiać, zbywało mnie, że „Starventure” wraca, a oni są zajęci – dziwił się. – Cóż, czy jest coś jeszcze?

– Tylko jedno: czy przysyłasz kogoś z SOLAR PRESS, by obstawiał lądowanie?

– No, nie! – parsknął. – Daruj, ty jesteś asem i wart jesteś w całości swojej wagi w uranie, ale czy powinniśmy ryzykować twój upadek z gór? Kaye Green, Brian Watchett i Don Hapgood będą w Quito dziś po południu, mają twój hotelowy adres i natychmiast po przyjeździe skontaktują się z tobą. Jeżeli masz okazję przejść przez coś – cokolwiek by to było, a nie ma na to czasu – daj im to zrobić, w porządku? Nie zapomnij, że płacimy ci dziesięć tysięcy tygodniowo i chcielibyśmy coś za tę inwestycję dostać.

– Dostaniesz to – powiedziałem i przerwaliśmy połączenie.

Kaye, Brian i Don, wszyscy moi starzy, dobrzy przyjaciele, byli na szczycie personelu SOLAR PRESS. Poza moim naukowym kącikiem miałem być piątym kołem u wozu, gdy oni się pojawią – oczywiście nie licząc faktu posiadania brata w załodze, co niezbyt delikatnie wytknął mi Brandt. W zasadzie moje położenie powinno mnie za-

dowalać, nie byłem przyzwyczajony do natykania się dwa razy dziennie na krzyżące nagłówki z moim podpisem.

Podskoczyłem do biura prasowego ONZ po drodze na lunch i zobaczyłem tam – tak, jak oczekiwałem – że całe foyer jest pełne młodzieży, obozującej na ławkach: jedni śpiący, inni usiłujący zasnąć, a jeszcze inni właśnie starający się nie zasnąć. Prawdopodobnie byli tu całą noc. Cóż, chcieliby dowiadywać się o wszystkim jako pierwsi. Henri Chambord był dobrym Prowansalczykiem i był skrupulatnie uczciwy, jeżeli chodziło o przekazywanie wiadomości. Mogłem wpaść do jego biura wczoraj, ale jeśli dzisiaj upadłbym na kolana i żebrał u niego, by odwlekał przygotowania do podania pełnych wiadomości, oplułby mnie i wycofał moją prasową przepustkę.

Jednakże tego ranka nie dostałem się do niego. Ramona powiedziała, że jest zajęty przygotowaniem do konferencji prasowej i planuje wywiady z załogą, gdy tylko przejdą kwarantannę. To miało sens: przygotować wszystko teraz, nawet jeżeli spotkanie nie mogło być zgrane z końcem ich kwarantanny. Co prawda, każdy mógł powołać się na ekspertów, którzy twierdzili, że ryzyko przeżycia w ludzkim ciele bakterii, pochodzących z Centaura było jak jeden do miliona, a szanse, że jakakolwiek mogłaby przetrwać kompleksowe odkażanie tu, na Ziemi, była zerowa, to jednak... No, cóż, każdy reporter na Ziemi chciałby się do nich dostać bez względu na ryzyko. Jak na razie byłem zadowolony tylko z tego, że ra-

no wstałem z łóżka. Póki co, wyszarpałem wiadomość o tym, że holowniki dostosowały swoją prędkość do „Starventure”, statek ciągle nadaje kod grupowy i że kiedy tylko odległość zmaleje wystarczająco, zorganizuje się ogólnoplanetarną transmisję radiową oraz przekaz prywatnych wiadomości od rodzin. Uśmiechnąłem się do Ramony i przeprosiłem za przestraszenie, jaki spowodowałem swoim wczorajszym wtargnięciem – uśmiechnęła się czarująco i zachichotała. Pożegnałem się i udałem na lunch z Carmen.

Rozdział 6

Gdy usiedliśmy przy stoliku, miałem jej wiele do powiedzenia, ale nieoczekiwanie poprzedziła to długa chwila ciszy. Była jakby zaabsorbowana sobą, ja natomiast patrzyłem na nią i czułem się, jakbym widział ją pierwszy raz w życiu; gdy wreszcie znalazłem odpowiednie słowa, współbrzmiały one z moim nowym wyobrażeniem Carmen.

– Myślałem, że znam cię dosyć dobrze... Wydawało mi się tak dwa lata temu, gdy częściej się spotykaliśmy – stwierdziłem. – I właśnie doszedłem do wniosku, że wcale cię nie znam, bowiem nigdy jeszcze nie widziałem cię tak poważnej.

Nie odpowiedziała.

– Jest ci z tym do twarzy – ciągnąłem dalej zastanawiając się, dlaczego akurat te słowa przychodzą mi do głowy. – To cię wywyższa – oto właściwe słowo. Można by ujrzeć wulkan osobowości, ukryty pod twoją twarzą, płomień, który zawsze tam migocze i powoduje, że mężczyzna musi spojrzeć na ciebie po raz drugi, zupełnie nie wiedząc, dlaczego. Ale dzisiaj to chyba szczyt i... Mój Boże, jesteś zupełnie przerażona!

Złączyła dłonie, by powstrzymać je od drżenia; wyglądała jak chmura gradowa. Potem uśmiech rozjaśnił tę chmurę i jakby cały świat pojaśniał – było to tak, jak gdyby błyskawicznie rozwiął się mrok, odsłaniając słoneczny obraz. – Drogi Davidzie powiedziała. Czy wiesz, dlaczego jestem taka poważna? Ponieważ boję się zwariować. Gdyby nie fakt, że przytrafiło się to nam obojgu, a ty jesteś pełen zdrowego rozsądku i zachowujesz równowagę psychiczną, to ja nie byłabym w stanie normalnie myśleć.

– Czy to, co przytrafiło się twojemu siostrzeńcowi, tak cię przeraża?

– Jego opowieść o tym, jak zobaczył mojego brata? Nie, ja zgadzam się z możliwością „wewnętrznego” widzenia.

– Ale on jest tylko małym chłopcem – zaproponowałem. – Powiedziałaś, że ma sześć lat. To chyba wyobrażenia, a nie wewnętrzny wzrok...

– Wiele dzieci mówiło, że posiada moc. Były to dzieci, które kierowały się uczciwością, to niewinność tych dzieci przekształciło je z okrutnych, kapryśnych potworków w istoty tak nieszkodliwe i piękne jak motyle...

– Dzieci nie są wcale takie niewinne! – zaprotestowałem. – Mogą mieć nieco barbarzyńskie serca...

– Dzieci, które są szczerze kochane, są niewinne – nie ustępowała Carmen. – Jeżeli są okrutne, to przez zemstę słabszych stworzeń, źle traktowanych przez silniejszych. Ale ja nie chcę rozmawiać o dzieciach – szeroko otworzyła oczy, uporczywie patrząc przed siebie i nie dostrzegając białego blatu przed sobą. – Chcę, a raczej potrzebuję, pomówić o moich własnych lękach.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią, w końcu powiedziałem:

– Nie sądzę, abyś miała jakikolwiek powód, by obawiać się załamania nerwowego. Świat jako taki zaczyna dostawać fioła, ale nigdy nie spotkałem nikogo twardszego od ciebie. Ty się tylko lekko załamujesz i z powrotem jesteś sobą w sytuacjach, w których przeciętna osoba rozpadłaby się na części.

– Ale potwór na niebie...

– Całe Quito to widziało – przerwałem. – Był nawet widziany w Limie. Acosta go widział, trzeźwo myślący naukowiec o międzynarodowej sławie. Facet, który wiozł mnie rano do hotelu, widział go także... Każdy go widział, po prostu rozejrzyj się dokoła i zapytaj!

– Nie, ty nie rozumiesz! – wykrzyknęła. – To, czego się obawiam, to to, by się okazało, iż wyobraziłam sobie, że całe Quito go widziało – i ty także. Czasami Moc, jak gotująca się woda, nalewana do szklanki, może roztrząskać umysł.

Pochyliła się do przodu i błagalnie położyła swoją dłoń na moją.

– Co się dzieje, Davidzie? Rozumiesz naukę... Czy jest jakieś proste wyjaśnienie?

– Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z powrotem „Starventure” – powiedziałem wolno.

– To mi nic nie mówi. czy można przyjąć, że ten potwór już się nie pojawi? Jednego widziano na niebie nad Chile przed powrotem statku. Twój były szef w Nowym Jorku ułożył spis dziwnych wypadków zanim się dowiedział, że statek wraca i – gdybyś przypadkiem nie przyjechał do Quito – usłyszałbyś to od niego, zanim dotarłbyś do centrum prasowego. Czy wtedy mówiłbyś to samo?

Zupełnie zakłopotany własną niemożnością zaoferowania jej spokoju, którego tak gwałtownie potrzebowała, wzruszyłem ramionami.

– Właśnie teraz nie mam żadnych pomysłów – wyznałem. – Mogę tylko czekać i próbować skontaktować się z ludźmi, którzy wiedzą więcej niż ja.

– Zatem zrób mi przysługę, Davidzie. Mówiłam ci, że chciałabym sprawdzić, czy ktokolwiek z krewnych załogi „Starventure” miał taką wizję jak ty czy ja. Dowiedz

się i powiedz mi. Co to będzie znaczyło, tego nie wiem, ale będzie to kolejny fakt, a tych mamy rozpaczliwie mało.

Zespół z SOLAR PRESS, jak obiecał Sandler, przybył po południu; zadzwonili do mojego hotelu z lotniska i umówiłem się na spotkanie z nimi w biurze prasowym ONZ. Chambord znowu był na konferencji, ale obiecał następną relację o szóstej, więc – aby maksymalnie wykorzystać czas – zabrałem ich do pobliskiego baru i przedstawiłem rozwój wypadków.

Don Hapgood wyspecjalizował się w odczytywaniu nagranych materiałów, a to znaczyło, że mógł włożyć na drukowaną stronę wszystko, włączając w to nawet ton głosu. Koścista Kaye Green, zapaleniec chodzący jak koń, była obecnie zatrudniona przy opracowywaniu relacji, w której jej talent do zamieniania ludzkich emocji w prozaiczne fakty przynosił najlepszy pożytek; tylko największe historie trafiały na jej biurko, a ta była gigantyczna. Co do Briana Watchetta, to on znał każdego, miał kontakty na wszystkich kontynentach, a w końcu mogło okazać się, że ktoś z innego kraju mógłby wiedzieć, o co chodzi w tej historii; z powodu jego przyjazdu do Quito Sandler może mieć trudności z utrzymaniem SOLAR PRESS na silnej pozycji finansowej.

Przy piwie przedstawiłem im moją własną koncepcję wydarzeń. Kiedy doszedłem do potwora na niebie, zażądali obejrzenia kompletnego nagrania – ciągle miałem przy sobie mój kryształowy dyktafon, więc przeszliśmy

do rozmównicy, by to obejrzeć. Mogliśmy ledwie oddychać, ale nie była to wielka przeszkoda, bowiem przez trzy minuty tak nas pochłonęło, że nie oddychaliśmy, bo po prostu zapomnieliśmy o oddychaniu. Nagranie było gorsze od oryginału, widzianego na niebie; choć było ono wykonane w pełnym blasku Słońca, z jakiegoś powodu chcieliśmy uważać je za coś na kształt nocnego koszmaru. Po obejrzeniu materiału w ciszy wróciliśmy do naszego stolika. Upłynęła długa chwila, nim Brian przerwał milczenie, taksując mnie ostrym spojrzeniem oczu do połowy skrytych w fałdach tłuszczu, co świadczyło o jego skłonnościach do życia sybaryty.

– Davidzie, krąży pogłoska mówiąca, że to ma związek z powrotem do normalnej przestrzeni „Starventure”.

Czy to ma jakiś naukowy sens, czy to tylko kolejny dziki wymysł Hanka Sandlera?

– Myślę, że upłynie jeszcze kilka dni, zanim dam wam wiążącą odpowiedź – spojrzałem na Briana. – Teraz, kiedy przybył największy talent i ma możliwość wgryźć się w to, będę w stanie zapytać ludzi, do których zdania powinienem najbardziej się skłaniać. Do momentu, kiedy statek znajdzie się na orbicie Ziemi, każdy będzie zbyt zajęty lub zbyt podekscytowany.

– Twój brat pracował nad napędem kosmicznym – powiedział Don. – Część energii musiała się rozładować. O co, twoim własnym zdaniem, tu chodzi?

– W porządku – westchnąłem. – Według mnie – oczywiście prawdopodobnie – ma to związek z powrotem statku. Jak wiecie, podczas przemieszczania się „Starventure” do naszego normalnego Wszechświata załoga pozostaje świadoma, ich serca biją, ich zegary odmierzają czas. Jakkolwiek względne są zjawiska, obserwowane podczas włączania silników... Do diabła, w tym momencie robi się to skomplikowane, a poza tym nie ma nic wspólnego ze .sprawą. Niektóre z tych czynników są potencjalnie potrzebne w naszym wymiarze dla przemieszczania się „Starventure” w naszym Wszechświecie i umożliwiają przeniesienie punktu blisko Alfa Centauri do naszego systemu słonecznego, gdzie zaniknięcie tych czynników sprowadza statek i załogę do normalnej przestrzeni.

Problem w tym, gdzie zanikają owe czynniki? – łagodnie zasugerował Brian.

– Właśnie. Dla wygody, ponieważ w czasie przemieszczania się statek musi znajdować się w pewnym rodzaju przestrzeni, w której może istnieć realnie, wynaleziono nazwę „hiperprzestrzeń” i zdefiniowano ją jako nie-einsteinowską, ale to tylko naklejanie etykiety. Przypuszcza się, że etykieta „hiperprzestrzeni” ma swój rzeczywisty odnośnik i że nadświatlna prędkość jest także realna, więc kiedy statek zwalnia, by przejść do normalnej przestrzeni, może powstać czoło fali w continuum z towarzyszącymi energiami, jak na przykład promieniowanie Czerenkowa.

Zawsze cieszyłem się, że zabrałem się za dziennikarstwo popularnonaukowe, kiedy w szkołach uczono raczej Einsteina niż zasad Newtona. Nawet Kaye wydawała się mnie rozumieć, choć nie była zupełnie związana z nauką, bowiem zajmowała się interesem, który nie wymagał górnolotnego myślenia i jej racjonalna logika bywała niekiedy przeszkodą. Dlatego starałem się niczego nie gmatwać i mówić prosto, by zostać w pełni zrozumianym.

– Czy „Starventure” przywiezie coś z innego świata, w którym podróżował? – zapytała.

Automatyczna, pogardliwa odpowiedź zamarła mi na ustach, kiedy uświadomiłem sobie, iż podświadomie sam nad tym się zastanawiałem. Ciągłe nie odpowiadałem Kaye, gdy Brian kichnął i zaczął:

– Najpierw puścili statek dookoła systemu i nie przypominam sobie, bym słyszał, że coś takiego mu się przytrafiło...

– Te przypadki trudno porównywać – odparłem. – Przede wszystkim dlatego, że statek-robot był bardzo mały w porównaniu ze „Starventure”, ledwie by wystarczył na pomieszczenie jednej osoby. Statystycznie wątpliwe jest zapobieganie ruchom dużych mas na krótkich dystansach. W istocie Alfa Centauri znajduje się wystarczająco daleko, by umożliwić podróż statkowi o rozmiarach „Starventure”. Paradoksalne, ale łatwiej byłoby poruszać się na odległość dwudziestu pięciu lat świetlnych.

– Pewien rodzaj powiązań potęgowych – Don ściągnął brwi, dzielnie się trzymając.

– Gdzieś mam tu notkę na ten temat – pochyliłem się.

– Wszystkie wskazówki są irracjonalne, a jest ich mnóstwo.

Nagle Kaye uświadomiła nam, że nie słucha nas od czasu, gdy zadała swoje pytanie.

– Rzeczy z innego Wszechświata! O, Boże, co za historia!

– Nie pisz o tym – powiedziałem z przerażeniem. – Na niebiosa, jeden Wszechświat ci nie wystarczy?

Żeby krótko odpowiedzieć: nie. Quito wrzało, lotnisko, ulice, dworzec kolejowy, hotele – wszystko zapchane do niemożliwości. Reporterzy, poszukiwacze sensacji, rodziny członków załogi, naukowcy stanowili dla Dona masę pełną przydatnych szczegółików, które nagrywał, a Kaye redagowała to wszystko i przesyłała do Nowego Jorku. Władze miasta, pełne optymizmu, kazały wywiesić sztandary municypalne i państwowe tak, jak zrobiono to podczas odlotu „Starventure”. Ceny podskoczyły dwukrotnie. W samym środku tego wszystkiego Carmen musiała zachować swój codzienny rytm pracy i pokazywać spokojną twarz rodzinie i przyjaciołom. To, co się teraz działo, nie było dla mnie takie straszne i mogłem znaleźć chwile, by móc zamknąć oczy i ujrzeć Leona oraz przemyśleć palące pytanie: „Leon, czy zmieniłeś się przez swoją podróż do gwiazd? Czy ciągle jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi, jak dobrymi byliśmy braćmi?”

Ale twarz Carmen wyrażała ból. Przepelniała mnie poczuciem winy i strachu za każdym razem, gdy błagała mnie o informacje. Musiałem mówić, że niczego się nie dowiedziałem. Nie miałem wyboru, po prostu musiałem tak mówić, gdyż taka była brzydka prawda. Gdzieś ktoś wybudował mur.

Chyba każdy korespondent naukowych i popularno-naukowych pism, każdy, kto prowadził naukową kolumnę w czasopiśmie znalazł się w Quito, co spowodowało, że przez cały dzień byłem witany przez starych znajomych w dwudziestu różnych wersjach mocno akcentowanego angielskiego. Kiedy rozmawiałem z moimi kolegami wystarczająco długo, by porównać notatki, nasze spostrzeżenia potwierdzały się. Od czasu starożytnych Aten nie było tak wielkiego zgromadzenia wybitnych umysłów w jednym mieście. Każdy zdobywca nagrody Nobla z ostatniej dekady przybył do Quito. Ale czy mogłem się z nimi porozumieć?

Cóż, wyglądało to tak, jakby zamieszkali na dnie Pacyfiku. Spotykałem ludzi, niespokojnie wędrowałem po ulicach, czekałem na taksówki, usiłując przeprowadzić wywiad; czekałem na połączenie i gdy ekran się rozjaśniał, mówiłem: „Profesorze, nazywam się David Drummond. Czy mógłby pan...” i w tym momencie dostawałem zawrotu głowy. Odpowiedź była stereotypowa: nie ma, wyszedł, jest na konferencji, jest w bazie statków kosmicznych, niech pan spróbuje jutro.

Nie było nadziei na przedostanie się do portu kosmicznego. Próbowałem, ale ich ochrona była nie do pokonania. Och, może gdybym spróbował trochę mocniej... Niestety, nie mogłem tego zrobić, nie tylko dlatego, że miałem na uwadze wystawienie na ryzyko całej mojej przyszłej kariery, gdybym przedarł się przez ogrodzenie, ale także dlatego, że ludzie w porcie kosmicznym byli naprawdę cholernie zajęci. Raz lub dwa razy dziennie robili sobie przerwę i schodzili z orbity; wiedząc, jak trudne jest manewrowanie statkiem na orbicie musiałem przyznać, że pracowali w ogromnym napięciu i potrafili trzymać się rozkładu. Widziałem parę startów i lądowań przez moją specjalną lornetkę, siedząc na pobliskiej górze i zastanawiając się, co tak wiele wysoko postawionych naukowych osobistości robi w porcie i na orbicie. Bez względu na to, ile tam siedziałem, nie mogłem znaleźć odpowiedzi.



Tego samego wieczora po raz pierwszy od dwóch lat widzieliśmy „Starventure” gołym okiem, połyskujący w świetle ognia wylotowego, wyrzucanego przez silniki holowników, które wolno wprowadzały go na orbitę od nocnej strony Ziemi. Tymczasem nad wyspą na południowym Pacyfiku, zwaną Santadonna, pojawił się potwór, ociekający błękitem i z wielkimi pazurami. Na wy-

spie znajdowała się satelitarna stacja naprowadzania i personel nagrał tyle materiału, że opis potwora stał się standardowy. Rozciągał się na czterdzieści stopni, od jednego krańca horyzontu do drugiego i przesuwał się nieregularnie jak krab; jego jasność nie przewyższała jasności Drogi Mlecznej, widocznej z Ziemi, a czarne plamy na jego grzbiecie emitowały – jak się to okazało – ultrafiolet. Masa potwora była prawdopodobnie zerowa. Przy obliczeniach ktoś przyjął, że „to” miało gęstość protoplazmy (co tak czy inaczej było bzdurą, gdyż protoplazma w tej skali przypominałaby amebę z cienkiego papieru) i wypracował koncepcję, że przy atmosferycznych ograniczeniach to coś powinno wywoływać dające się zauważyć efekty grawitacyjne – żaden nie został zarejestrowany, co więcej, „to” nie miało wykrywalnej prędkości orbitalnej, co w konsekwencji powinno doprowadzić do upadku potwora na kształt meteorytu arizońskiego. Ale potwór był tam, gdzie był, dopóki nie zaczął znikać. Podczas moich obserwacji zobaczyłem sławnych naukowców, wracających do portu kosmicznego – wszyscy wyglądali na jednakowo przygnębionych. Ponuro zastanawiałem się, czy wazyli i mierzyli potwora z Santadonna, który całkowicie zaprzątnął ich uwagę, ponieważ ważenie i mierzenie w powietrzu potwierdziłoby autentyczność obserwacji. A tymczasem coś działo się ze „Starventure” i coś działo się z Leonem.

Do jasnej cholery, dlaczego trzymali gęby na kłódkę?

Rozdział 7

Szanowałem Henri Chamborda, więcej – ufałem mu. Byłem pewien, że pracuje jak najlepiej i... Cóż, tak uprzejmie, jak się da, ale cedził informacje kropla po kropli i po kilku dniach zrobiło się z tego coś na kształt chińskiej tortury wodnej.

Kapnęło: Alfa Centauri posiada planety, ale żadna nie jest odpowiednia dla ludzi.

Następnego dnia kapnięcie: eksperci polecili na orbitę „Starventure”, by przebadać załogę pod kątem możliwości zarażenia ich przez obce ciała. Astronauci lądowali na dwóch planetach i czternastu księżycach oraz asteroidach.

Dzień później kapnięcie: osobiste wiadomości od członków załogi dla ich rodzin. Dla mnie była bardzo krótka, ale było to typowe dla Leona i dlatego było uspokajające. Kiedy Leon miał około czternastu lat lub niewiele więcej, oskarżał mnie o to, że jestem Wielkim Bratem w orwellowskim sensie – przeczytał wtedy „1984”. Teraz jego wiadomość miała odpowiedni wygląd i sens: „Nie oglądaj się, myślę, że Wielki Brat nas obserwuje”. Przez godzinę czy dwie po przeczytaniu wiadomości zastanawiałem się, czy Wielki Brat nie oznacza przypadkiem stwora na niebie, ale nie było sposobu, aby spraw-

dzić, czy to absurdalnie brzmiące podejrzenie było usprawiedliwione.

Kolejne kapniecia: nie wolno fotografować załogi, zakaz filmowania, nie wolno filmować materiałów o planetach Centaura, żadnych wywiadów przez radio ani nawet oświadczeń. Po trochu zacząłem uświadamiać sobie, że zaczynam się strasznie bać.

Siódmego dnia po powrocie „Starventure” Brian Wachtett przyszedł do restauracji, gdzie siedziałem wraz z Carmen. Nie widziałem go przez dwa dni, ale nie byłem tym zdziwiony – byli jeszcze w Quito inni ludzie poza naukowcami i prawdopodobnie łatwiej było wycisnąć coś z polityka niż z naukowca. Brian wyglądał na bardzo zdenerwowanego i bezceremonialnie podszedł do naszego stolika.

– David, muszę zamienić z tobą parę słów! – nieomal wybelkotał, mierząc Carmen długim spojrzeniem.

Przedstawiłem go, a Carmen skinęła głową.

– Czy coś się dzieje? – zapytała.

– Tak – odpowiedział Brian.

– Zatem prawdopodobnie chcielibyście, bym została was samych, Davidzie?

Chciała się podnieść, ale dałem jej znak ręką, by się powstrzymała i powiedziałem do Briana:

– Carmen ma także brata w załodze „Starventure”. Cokolwiek mi powiesz, to myślę, że jest uprawniona, by to usłyszeć, ale jeśli uważasz, że powinniśmy pozostać sami, to powiedz.

Zawahał się, ale po chwili wyraził zgodę. Powiedziałem kelnerowi, żeby zaprowadził nas do większego i bardziej oddalonego stolika; chwilę zajęło przenoszenie tego, co zamówiliśmy. Gdy usiedliśmy, Brian zaczął bez żadnych wstępów:

– David, dzieje się coś bardzo złego. Coś musiało się przytrafić „Starventure”.

Carmen zasłoniła usta dłonią; trąciłem jej kolano swoim i odpowiedziałem spokojnie:

– Podejrzewałem wiele, ale skąd ty masz tę pewność?

– Czy wiesz, że Przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego jest w Quito? Że Sekretarz Generalny był tutaj wczoraj i dziś wyjechał?! Oczywiście, że nie. Nikt tego nie ujawnił. Czy możesz wyobrazić sobie jakiegokolwiek inne powody, dla których ruchy całej góry ONZ są utrzymywane w tajemnicy poza położeniem strasz niekrytycznym? I czy możesz wymyśleć jakiś logiczny powód, dla którego moi starzy przyjaciele muszą odwoływać spotkania ze mną na podstawie poleceń dla personelu ONZ?

– Polecenia? Jesteś pewny?

– Niestety, tak. Wierzyłem im na słowo, że muszą odwoływać spotkania ze mną ze względu na niespodziewane zobowiązania, ale w końcu udało mi się przekupić kilku pracowników hotelowych i nie ma najmniejszych wątpliwości. Oni kłamią. Zostali poinformowani o zakazie rozmów z prasą.

– Mam ten sam kłopot – spojrzałem na Briana. – Wielu najwybitniejszych naukowców, którzy tu przybyli, to moi przyjaciele. Z reguły nie unikali rozmów ze mną, choć czasami nalegali, by ich nie nagrywać, a teraz nie mogę z nich wydusić nawet zwykłego „Cześć!”...

Rozległ się stłumiony loskot i ludzie ucichli na moment, nasłuchując. Zrobiłem to samo, a kiedy hałas ucichł, skinąłem głową w stronę portu kosmicznego.

– Jeszcze jedno: liczyłem starty i lądowania w porcie kosmicznym. Wykonali wystarczająco dużo lotów, by sprowadzić na Ziemię całą załogę i wszystko, co przywieziono w ładowniach. To było dziesiąte lądowanie, odkąd „Starventure” znalazł się na orbicie. Brian, coś powinniśmy zrobić...

– Powinniśmy rozpieprzyć to wszystko – powiedział rzeczowo. – Czy słyszałeś, jakie krążą pogłoski? Rozmawiałem z Hankiem Sandlerem parę minut temu i zmroził mi krew. Ludzie się niecierpliwią, a potwory szarpią im nerwy. Mówi się, że to anioły zemsty, które przybyły, by ukarać ludzkość za wtargnięcie do niebios, a bardziej naukowo, że potwory z Centaura obserwują Ziemię, przygotowując inwazję. Hank powiedział, że kontaktował się w biurze z paroma wybitnymi naukowcami i dowiedział się, że nie ma żadnych powiązań pomiędzy potworami a powrotem statku...

To ostatnie zostało powiedziane takim tonem, jakby Brian został osobiście obrażony.

– Przypuszczam, że powiedział im, co mogą zrobić z tymi pomysłami?

– Oczywiście, prawie wyrzucił ich ze swojego biura. Ciągłe był wściekły, gdy z nim rozmawiałem i powiedział, że choć nie wyglądali na najemnych kłamców, to on jest uczciwym dziennikarzem i ostrzegł, że jeżeli nie dostarczy się paru solidnych faktów, które będą satysfakcjonujące po całej tej wielkiej reklamie, mogą powstać poważne kłopoty. W istocie powiedział mi, byśmy razem rozejrzeli się i zobaczyli, co można zrobić, by poprawić sytuację.

– Na przykład co?

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz – skrzywił się Brian. – Na początek moglibyśmy pójść i nawsadzać Czamborowi.

– Henri nigdy by nie poszedł na coś takiego. Znam go zbyt długo i jestem go pewny.

– A co z tym Brandtem, asystentem szefa personelu? Z tego, co mówileś, to może być ich słaby punkt. A może pójdziemy do generała Cassiano lub do kogoś, kto nas potraktuje poważnie – Briana zaczynało ponosić. – Hank twierdzi, a ja się z nim zgadzam, że musimy wydać oświadczenie. Powinniśmy powiedzieć, że jeśli nie otrzymamy niezwłocznie przekonujących dowodów, tłumaczących tę blokadę informacji, to jutro rano opublikujemy oświadczenie, w którym stwierdzimy, iż ważne fakty są ukrywane przed opinią publiczną. Musimy prze-

forsować prawdę, Davidzie. Jeżeli naprawdę zdarzyło się jakieś nieszczęście, to odkładanie wiadomości o tym tylko pogorszy sprawę, pozwalając plotkom zająć miejsce prawdy.

Cofnąłem krzesło rozumiejąc, że zbyt się martwię o Leona, by zajmować się sprawami tak trywialnymi jak jedzenie.



Carmen poszła z nami; ani Brian ani ja nie mówiliśmy jej, by została, ona i tak by się na to nie zgodziła. Ruszyliśmy najpierw do Chamborda, ponieważ doszedłem do wniosku, że Henri powinien dowiedzieć się o naszej decyzji. Jego reakcją na nasze ultimatum było westchnienie ulgi.

– Wierzcie mi, przyjaciele – powiedział. – Przykro mi, że się na to zdecydowaliście. Sam chciałbym więcej przekazywać, ale zabroniono mi podawać szczegóły. Podaję wszystko, co otrzymuję. Wy musicie przedrzeć się przez Linie Maginota, która otacza bazę. Musicie skontaktować się z kimś takim jak kapitan Brandt. To głupek i mięczak, on się złamie przed autorytetem, podczas gdy kto inny mógłby wpuścić was na maliny – zawahał się i skinął głową w naszą stronę. – I czy mogę was prosić o małą przysługę? Czegokolwiek się dowiecie, to pamiętajcie o mnie. Co za ironia, że ja was muszę prosić o informacje...

Zadowolony, że jego ocena Brandta jest zgodna z moją i Briana, podziękowałem mu za radę i życzyłem wszystkiego najlepszego. Pożegnaliśmy Henriego i ruszyliśmy w stronę kadr portu kosmicznego – położone były w grupie funkcjonalnych, brzydkich i niskich budynków, w których mieściły się główne biura administracji portu. Stały tam baraki dla personelu technicznego, położone daleko od bazy w obawie przed wypadkami. Trochę czasu zajęło nam ściągnięcie kogoś, kto mógłby skontaktować nas z Brandtem, ale nasz upór został wynagrodzony.

Brandt pojawił się w wymiętej, rozpiętej pod szyją koszuli, spodniach i kapciach, a zareagował tak, jak przewidywał Chambord: najpierw udał wielką radość z powodu przybycia tak wybitnych gości, która szybko ustąpiła awanturze o nadużycie przywilejów prasowych. Nie przejęliśmy się tym, a i on zrezygnował z rzucania gróźb o wyrzuceniu nas z budynku kadr i cofnięciu zgody na udział w konferencjach, organizowanych przez ONZ. Brian, który lepiej niż ja umiał ubijać interesy z opornymi biurokratami, jedwabistym głosem przypomniał mi, że jeśli nawet odmówi nam przywilejów prasowych, to nie może odmówić ich naszym przelożonym, a potem zapytał go, czy chce zobaczyć swoje imię i nazwisko rozbryzgane na pierwszych stronach gazet i ekranach TV jako odpowiedzialnego za ukrywanie istotnych informacji o załodze statku z dala od ich rodzin. W tym momencie zaczął na nas wrzeszczeć i to upewniło nas, że wygraliśmy. Zapro-

wadził nas do biura na parterze budynku, w którym znajdowały się także kawalerskie kwatery dla starszego personelu, nie mieszkającego w Quito z żonami. Ściany były cienkie i absolutnie nie dźwiękochłonne, więc kiedy Brandt rozdarł się na nas, mógł być słyszany trzy lub cztery pokoje dalej. Naraz drzwi biura otworzyły się gwałtownie i wkroczył przez nie wściekły facet.

– Brandt! – wrzasnął. – Usiłuję wypocząć przez godzinę, zanim wrócę do portu. Jak mogę to zrobić, gdy tak rozdierasz mordę?

Przybyły był wysoki, mocno zbudowany i miał brązowe włosy; na bluzie swego oliwkowo-zielonego uniformu ONZ widniały generalskie gwiazdki. Wyglądał znajomo, ale gdy starałem się umiejscowić go w pamięci, Brandt poderwał się na równe nogi.

– Bardzo mi przykro, że panu przeszkodziłem, generale Suworow powiedział i zaczął tłumaczyć, dlaczego tu przyszedł.

Źle go słyszałem, gdyż byłem wściekły na siebie za to, że nie rozpoznałem pierwszego zastępcy generała Casiano.

Spojrzałem na Carmen – była absolutnie spokojna i bardzo blada. Nagle Brian wymówił moje imię i trącił mnie łokciem, by zwrócić moją uwagę, więc odchyliłem się z krzesłem pod baczny spojrzeniem Suworowa.

– Tak się składa, że jestem dziennikarzem i bratem członka załogi – powiedziałem. – „Starventure” jest już

przez tydzień na orbicie wokółziemskiej i wszystko, co otrzymałem od mego brata, to krótka wiadomość, że ma się dobrze. Nie wierzę, że ma się dobrze, w ogóle w nic nie wierzę i jeśli nie otrzymam dzisiaj żadnych wieści, to mam zamiar powiedzieć całemu światu, o tym myślę.

Suworow z niemym pytaniem w oczach wskazał Carmen.

– Panna Iglesias – przedstawiłem ją. – Powinien pan znać to nazwisko, bowiem także ma brata w załodze.

Obserwowałem uważnie, jak zmienia się jego nastawienie do nas: od złości do ponurej determinacji.

– Bardzo dobrze, może pan poznać fakty – powiedział ciężko. – Ostrzegam pana, że nie pozwolimy na ich opublikowanie... choć sądzę, że sam dojdzie pan do wniosku, że lepiej tego nie publikować. Brandt, załatw mi samochód – zwrócił się do kapitana. – Do diabła z moim odpoczynkiem, jak ktoś może w obecnych czasach myśleć o odpoczynku?

Brandt zwijał się jak w ukropie; był zupełnie inną osobą, gdy generał był w pokoju. Suworow popatrzył krótko na Carmen.

– Przykro mi, panno Iglesias – powiedział po chwili. – Przykro nam z powodu wszystkich...

Zmieszani, wahający się i – mówiąc między nami – obawiający się tego, czego możemy się dowiedzieć, wyruszyliśmy, gdy tylko podjechał samochód generała. Suworow kazał kierowcy przesiąść się na miejsce pasażera i sam usiadł za kierownicą; Brian, Carmen i ja usiedliśmy z

tyłu. Czulem, jak Carmen drży, gdy położyłem dłoń na jej ramieniu.

Suworow włączył wszystkie cztery reflektory i – rozcinając ciemności sztychami biało–żółtego światła ruszyliśmy szybko w kierunku gór. General był kierowcą), którego styl jazdy przyprawiał o drżenie serca. Port kosmiczny był odległy tylko o piętnaście mil w linii prostej od Quito, ale droga miała dwadzieścia pięć mil i wariacko trzymała się krawędzi przepaści, zakręcając i wijąc się. Poprzednio jechałem nią w świetle dnia i nawet wtedy wydawało mi się, że lepiej byłoby nią nie podróżować, teraz zaś jazda z kimś, kto traktował tę drogę jak przestronny parking powodowała, że miałem ochotę zwymiotować tę resztkę obiadu, którą zjadłem, nim Brian mnie od niego oderwał. Zbliżały się inne pojazdy i Suworow wcisnął przycisk, który spowodował włączenie się świateł, migających w kodowanym rytmie, a wówczas wyprzedzani kierowcy zjeżdżali na bok i mogliśmy mijać ich bez zmniejszania prędkości. Nikt z nas się nie odzywał. Naraz droga zaczęła opadać w dół, ku bazie statków kosmicznych. Mocne, łukowe reflektory oświetlały szeroki na trzy mile sztuczny płaskowyż portu, ukazując dwa wahadłowce, stojące na płycie: jeden był rozładowywany, drugi czekał na powrotny lot na orbitę. Przy blokującej drogę barierze posterunki zasygnalizowały coś światłem i Suworow przyhamował tak, że aż zapiszczały opony, wyjrzał przez opuszczoną szybę i krzyknął coś, czego nie

zrozumiałem; strażnicy zasalutowali i przepuścili nas. Za barierą, samochód się zatrzymał i generał zwięźle powiedział:

– Wysiadać!

Posłusznie wyszliśmy z wozu i poszliśmy za nim wąską, betonową ścieżką do drzwi, zainstalowanych bezpośrednio w skalnej ścianie. Potężne, hermetyczne i dźwiękochłonne odrzwia rozsunęły się, umożliwiając nam wejście; powietrze było naelektryzowane, słychać było cichy szum różnych urządzeń, pod stopami drżała solidna, kamienna podłoga. Suworow prowadził nas przez jakieś pięć minut długim korytarzem, często odbierając honory od mijającego nas, młodszego personelu, dopóki nie zatrzymaliśmy się przed przeszklonymi drzwiami; wcisnął klawisz i drzwi odsunęły się. Za nimi znajdował się pokój o niskim stropie, gdzie mężczyźni i kobiety z napiętymi twarzami siedzieli wokół stołu, zasypanego kolorowymi fotografiami. W rogu pokoju umieszczono komputer. Jedna z kobiet stała, zwrócona do pozostałych ludzi przy stole; teraz ona i reszta grupy patrzyli na nas zdumieni i wyraźnie lekko źli.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział szorstko Suworow. – Chcę pokazać tym ludziom kopię numer czterdzieści dziewięć.

Kobieta westchnęła i sięgnęła do pliku fotografii, leżących przed nią, wybrała jedną i podała generałowi, który przekazał mi ją bez słowa. Spojrzałem: widziałem już

te oczy, podobne do wielkich, błękitnych studni, kloco-
waty tułów, otoczony dokoła jakby doczepionymi mac-
kami. Zimne podejrzenie zaczęło miażdżyć mój umysł,
chłodno obracając go w kamień.

– Co fotografia jednego z tych stworów z nieba ma
do...

Brązowe oczy Suworowa stały się nieoczekiwanie
pełne żalu, a jego głos brzmiał niezwykle delikatnie:

– Nie, panie Drummond, to nie jest bynajmniej po-
twór z nieba. To, jak udało się nam ustalić, jest obecna
postać pańskiego brata, Leona Drummonda...

Rozdział 8

– Mój... Mój brat? – dokończyłem pytanie w my-
ślach, nie mogłem znieść swoich słów, wypowiedzianych
głośno. – Mój brat przekształcił się w potwora o wielu
mackach? Jak? Na

Boga, jak?!

Przez długą chwilę – wydawała się wiecznością –
dźwięk zawisł w spokojnym powietrzu, nikt się nie poru-
szył i nikt nie powiedział ani słowa. W jakiś straszliwy
sposób byłem zafascynowany zdjęciem, które trzymałem
w dłoni. Nieoczekiwanie Carmen przerwała czar, wyrwa-
ła mi fotografię i spojrzała na nią. Jej oczy rozszerzyły
się, a usta drgnęły, a potem wrzasnęła i był to najstrasz-
niejszy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałem – surowy,
rozdzierający gardło, nie kontrolowany skowyt. W poko-
ju o skalnych ścianach i nisko zawieszonym suficie ude-
rzyło w nas gwałtowne echo. Chciałem podejść do niej i

objąć ramieniem, powiedzieć kilka łagodnych słów, ale byłem zbyt oszołomiony.

– Suworow, dla którego ten horror trwał już od powrotu „Starventure”, zareagował błyskawicznie: swoją wielką jak łopata dłonią wymierzył jej policzek z precyzją chirurga. Uderzenie jak przełącznik zakończyło jej wrzask, a oczy zamknęły się, gdy zakolysała się na obcasach. Fragment policzka, w który uderzył Suworow, zaczął czerwienić, kontrastując z bladością reszty twarzy. Przepraszam – powiedział generał. Ale histeria to ostatnia rzecz, której tu potrzebujemy.

– Jeżeli pan skończył, generale... – odważyła się powiedzieć jedna ze stojących przy stole kobiet.

– Tak, oczywiście. Teraz gdzieś pójdziemy, aby wam nie przeszkadzać – odwrócił się do nas. – Chodźmy, zostawmy tych ludzi w spokoju, oni mają mnóstwo spraw na głowie.

Brian trzymał w lekko drżącej dłoni fotografię, którą zabrał Carmen i w oczach miał pytanie o pozwolenie zabrania jej ze sobą. Stojąca przy stole kobieta niecierpliwie wzruszyła ramionami, udzielając zgody i Brian ruszył za Suworowem, jakby nie chcąc wyjść ostatni. Szedłem z Carmen u boku, trzymając dłoń na jej ramieniu i delikatnie ponagłając; była posłuszna jak marionetka, chwiejnie stawiała stopy jedna przed drugą nie patrząc, gdzie idzie.

Suworow poprowadził nas kamiennym korytarzem, tym razem zabierając nas do tego, co zapewne było sek-

cją techniczną, gdzie przez pancerne okna mogliśmy zobaczyć port. Przelotnie spojrziałem przez okno i w powodzi światel zobaczyłem postępujące prace przy przygotowywaniu wahadłowca do lotu. Suworow zaprosił nas gestem do małego, oświetlonego biura; była tu wystarczająca ilość krzesel. Generał usiadł za pustym biurkiem i pchnął w naszym kierunku paczkę papierosów, przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i powiedział:

– Uwierzcie mi, nie jesteście tak zaszokowani w tej chwili, jak my byliśmy tydzień temu...

Zabrzmiało to dla mnie jak kłamstwo, ale nadal poruszałem się we własnej, białej mgle przerażenia —jak ktoś mógł być bardziej zaszokowany od Carmen czy mnie. Carmen wciąż drżała, a jej zęby szczękały tak głośno, że wyraźnie je słyszałem.’ Mój umysł był jeszcze zbyt oszłamiony, bym mógł mówić to, co myślę. Spojrzałem na Briana zazdroszcząc mu, że nie ma brata wśród członków załogi. Pochylił się do przodu z łokciami opartymi na kolanach, gapiąc się na zdjęcie, które trzymał w obu dłoniach. Był bardzo spocony, ale jego głos brzmiał spokojnie, kiedy zaczął mówić; nie podnosząc oczu zapytał:

– Czy oni wszyscy są tacy?

Carmen drgnęła, ofiara daremnej nadziei, ale Suworow rozwiął jej złudzenia:

– Różnią się tylko szczegółami, to wszystko. Nikt nie uchronił się przed przemianą.

– Dlaczego? – nalegał Brian. – Jak?

– A jak pan myśli, że my nie chcemy tego wiedzieć?
– odpowiedział pytaniem Suworow.

Wyjął papierosa nie z paczki, którą nam zaofiarował, ale z własnej kieszeni: długiego, rosyjskiego papierosa z tekturowym ustnikiem. Zgiął tekturową rurkę pod właściwym kątem, zapalił i kontynuował w chmurce dymu:

– Oczywiście rozumie pan, że podawanie panu faktów nie oznacza udzielenia zgody na ich opublikowanie. Pański argument, że oszukańcza cisza daje szansę na rozprzestrzenienie się plotki jest prawdopodobny, ale czy plotki nie są lepsze od prawdy tego typu?..

Brian gniewnym gestem rzucił zdjęcie na biurko i powiedział:

– Nie wierzę kłamstwom, generale, obojętne, jakiego są koloru, czarne czy białe. Powinien pan zrobić to lepiej, nim zamknę usta. Powinien pan podać więcej szczegółów...

– Gdybym wiedział więcej, powiedziałbym panu – ton Suworowa był zgryźliwy. – Czy pan myśli, że my tutaj jesteśmy cudotwórcami? Proszę mi zadać pytanie lub dwa, a ja będę szczerze odpowiadał. Zadowolą to pana?

Zauważywszy, że Suworow jest bliski wybuchu, Brian zaczął mówić mniej napastliwym tonem:

– Czy nie ma pan pojęcia o tym, czy ta zmiana jest naturalną konsekwencją gwiazdowego lotu? Czy wyposażenie wewnętrzne statku zmieniło się wraz z załogą?

To było ważne pytanie i zasługiwało na odpowiedź, ale w tym momencie odzyskałem głos i wybuchnąłem:

– Jak ta rzecz może być moim bratem?! Jakie ma pan podstawy, by tak twierdzić?!

Suworow zamknął oczy, rosyjski papieros sterczał z kącika jego ust.

– Oni nie są wyposażeni w normalne struny głosowe, a poza tym są ‘jeszcze kłopoty natury psychologicznej, o których nie mogę zbyt wiele powiedzieć, gdyż nie jestem ekspertem. Chociaż, kto teraz może uważać się za eksperta?! – dodał z nagłą gwałtownością, po czym zakończył bez patrzenia na fotografię: – Ale większość z nich może dobrze pisać. Jest tym, kim może być...

– Przepraszam... – powiedziała słabo Carmen. – Dlaczego pan mówi, że te rzeczy są ludźmi w innej postaci? Dlaczego jest pan pewien, że nie są to obce stwory, które zajęły miejsce załogi?

Suworow odpowiedział zmęczonym głosem:

– Czy otrzymała pani wiadomość od brata, panno Iglesias? Niektóre wiadomości były dopuszczone do przesłania...

Carmen skinęła głową.

– Czy to upewnia panią co do charakterystyki osoby?

– Tak...

– Może ja – przerwałem. – Mnie to nie zadowala. Wiadomość mogła zostać sfalszowana przez kogoś, kto studiował psychikę członków załogi przed odlotem.

Nawet dla mnie to, co mówiłem, brzmiało niezbyt wiarygodnie?– Czy ktoś taki mógłby wybrać z wielu możliwych wariantów ten jeden, o którym wiedziałem, że jest najbardziej zbliżony do tego, który wybrałby Leon. Prawie mogłem sobie wyobrazić mojego brata i jego głos nieznacznie znudzony, nieznacznie żartobliwy i cierpliwie akceptujący potrzeby szczegółowych badań po powrocie... i wymyślającego niepostrzeżenie podwójne znaczenie wiadomości dla mnie: odniesienie nie tylko do badań, którym był poddawany, ale i do gigantycznej twarzy na niebie!

Ale nim mogłem sformułować dalej idące wnioski, Suworow otworzył oczy i ciężko westchnął:

– Dlaczego jest pan gotowy, by twierdzić, że jesteśmy przeciwko panu, panie Drummond? Jesteśmy po pańskiej stronie, niech to szlag! My także pragniemy dotrzeć do sedna problemu, tak samo, jak i pan. Jak dotąd, nie osiągnęliśmy zbyt wiele, ponieważ to, co się zdarzyło, nie figurowało na liście niebezpieczeństw, z jakimi byliśmy gotowi walczyć po powrocie statku. Zakładam, że podaruje mi pan pięć minut, a wtedy podam panu to, co mogę.

Suworow nie czekając rozpoczął swoje opowiadanie. Pierwsze przeczucie, że dzieje się coś dziwnego, miało miejsce w chwili, gdy „Starventure” znalazł się w zasięgu komunikacji radiowej holowników, wysłanych w celu wprowadzenia statku na orbitę. Statek nie przerwał emi-

towania kodu i nie porozumiał się z holownikami, ale w tym ekscytującym momencie nikt o tym nie myślał poważnie i przyjmowano, że sprzęt nawalił z powodu anomalii. Holowniki wprowadziły statek na orbitę i... dalej cisza.

Zaalarmowany ciszą dowódca eskadry holowników poprosił o pozwolenie przerwania zarządzenia o kwarantannie i zgodę na wysłanie ekipy cumującej. Ze względu na znikomo małe, ale zawsze ryzyko, jakim mogłoby być zarażenie się czymś obcym ustalono, że nie będzie bezpośrednich kontaktów. Członkowie załogi zobowiązani byli do wysterylizowania swoich kombinezonów i trzymania się z daleka od holowników do momentu zakończenia podstawowych testów medycznych. Udzielono im zezwolenia i ochotnicy wyruszyli na „Starventure” i znaleźli główną śluzę statku zablokowaną przez dwa monstra w stanie zupełnej katalepsji. Ci ludzie byli odważni: chociaż nie byli uzbrojeni, odmówili powrotu, zameldowali o pierwszym znalezisku i ruszyli dalej do wnętrza statku. Wszystko było normalne z wyjątkiem załogi; kiedy ich spotkali, to pierwsze zetknięcie z nimi musiało być szokujące.

Oczywiście – jak poinformował nas Suworow na podstawie tego, co ustalili psychologowie nikt z załogi nie miał pojęcia, że są fizycznie różni od ludzi, dopóki nie zetknięto ich z niezbitym materiałem dowodowym. Para, znaleziona w stanie comy w śluzie powietrznej, była tego przykładem. Weszli tam, by założyć skafandry ko-

smiczne i polecieć do holowników, ale okazało się, że kształty ich ciał nie są w porządku. Szok ich sparaliżował i musieli zmusić się do zachowania spokoju, by przezwyciężyć przerażenie. Inni członkowie załogi, gdy napotkali grupę cumującą, zareagowali tak, jak normalne istoty ludzkie. Astronauci byli szczęśliwi, mogąc powitać swoich ludzkich kolegów i byli zaskoczeni ich alarmującym zachowaniem; kilku z nich połapało się na podstawie porównania wyglądu przybyłych i ich samych, co się stało i w efekcie nastąpiło jeszcze kilka szoków kataleptycznych.

– Oczywiście pierwszym wyjaśnieniem, jakie przyszło wszystkim do głowy, było to, co powiedziała panna Carmen: że załoga została w jakiś sposób podmieniona podczas podróży – powiedział Suworow z ironią. – W pewnym sensie rzeczywiście tak było... Ludzkie ciała załogi zostały zamienione, zmienione lub... nastąpiło cokolwiek innego. Ale – żeby to szybko wyjaśnić, osobowości członków załogi są wciąż te same w ich dziwacznych, nowych ciałach. Nie wszyscy z nich mogą mówić – ci, którzy mówią, robią to w nieco innym zakresie. Wszyscy mogą komunikować się ze sobą, pamiętają umiejętność pisania. To jest tak, jakby pewne obszary wspólnego, ludzkiego doświadczenia pozostały dla nich nie zapisane, podczas gdy inne obszary, nie będące ludzkimi, zostały im udostępnione.

– Właśnie dlatego psychologowie mają takie trudności – mówił Suworow. – Na przykład między ciałami, w których przebywają teraz członkowie załogi, występują różnice: mają różne typy i liczby kończyn czy też macek, różny rozkład organów wewnętrznych, a poza tym oni posiadają zmysł postrzegania energii promieniowania w ultrafiolecie. Ciągłe przeprowadzamy testy i okazuje się, że niektórzy z nich widzą promieniowanie rentgenowskie. I jeszcze jedno: niektórzy z nich inaczej niż my oceniają upływ czasu. Musieliśmy posłać komputer do porozumiewania się z osobnikiem, który został zidentyfikowany jako Chandra Dan. Początkowo myśleliśmy, że jest to jeden z tych, którzy nie mogą mówić, ale okazuje się, że zagęszczał całe zdania w drobny ułamek sekundy. Proszę nie pytać mnie o szczegóły, ja po prostu powtarzam to, co sam wiem.

– Co się stało z tymi, którzy znajdowali się w stanie katalepsji? – zapytał Brian.

– Och, początkowy szok minął niespodziewanie szybko, po dniu czy coś koło tego byli już w stanie doskonale się dostosować, a teraz wszyscy poruszają się pomiędzy ludźmi, którzy zostali wysłani do badań i żyją z nimi w zupełnej zgodzie.

– Czy te nowe ciała oddychają tlenem? – indagował dalej Brian.

– Tak, w atmosferze ziemskiej nie mają żadnych kłopotów. Mogą także przyswajać ziemską żywność, choć

potrzebują dużych ilości elementów śladowych, szczególnie kobaltu i manganu.

Brian ściągnął brwi.

– David mówił mi, że w porcie było więcej startów niż lądowań.. Co wy robicie, posyłacie grupy badawcze?

– Tak, oczywiście i dużo sprzętu, a poza tym musieliśmy pozostawić na orbicie cztery promy, przycumowane do „Starventure”, aby pomieścić sprzęt i ludzi.

– Kiedy oni... – zaczęła Carmen szeptem pełnym przerażenia; po chwili udało jej się wyrzucić z siebie: – Kiedy oni się zmienili?

Podczas podróży powrotnej, prawdopodobnie tuż przed wynurzeniem się w normalnej przestrzeni. Mamy filmy z Alfa Centauri i niektóre z nich ukazują normalnie wyglądających członków załogi, co oczywiście byłoby niemożliwe, gdyby to tam nastąpiła transformacja. I mamy kilka nagrań z ich powrotu do domu, gdzie są zarejestrowane przelotnie ich dłonie i palce.

– Czy oni nie przypominają sobie tego procesu?

– Wcale.

Brian patrzył na fotografię tego, co miało być moim bratem. Ciągle nie mogłem się z tym oswoić. Watchett ponownie zwrócił się do generała:

– David myślał, że to fotografia potwora z nieba, kiedy pokazał mu ją pan po raz pierwszy. Jakie jest powiązanie pomiędzy tymi ciałami, a tym czymś, co widzieli-

śmy na niebie? Podobieństwo jest godne uwagi, nieprawdaż?

Cicho przekląłem go za ten chłód, podczas gdy ja byłem na krawędzi przepaści szaleńczej grozy. Suworow pokręcił głową z niewypowiedzianym znużeniem.

– Skąd możemy wiedzieć? Mamy tylko jedną hipotezę, ja tego nie rozumiem, ale co to jest warte... Cóż, możliwe, że są w hiperprzestrzeni stwory inteligentne, posiadające obszerną wiedzę, dla których ciało jest niczym innym, jak tylko nosicielem umysłu. Nie możemy być tego pewni, ale może zwróciliśmy ich uwagę, kiedy posłaliśmy „Starventure” poprzez ich Wszechświat do Alfa Centauri. Podczas lotu do Alfy zostali zaskoczeni, ale gdy „Starventure” wracał, zamienili ciała załogi, aby je przebadać, a w zamian dali im substytuty, z których powinni być zadowoleni. Następnie śledzili statek aż do Ziemi, a teraz obserwują nas z góry. Ponieważ ich Wszechświat ma inne własności fizyczne, widzimy ich wyświetlonych na naszym niebie.

Brian zamrugał oczami i zwrócił się do mnie o opinię.

– Davidzie, jak ci się to podoba? To strasznie powikłane, ale mnie przeraża.

– Słowem, z którym się zgadzam, jest „powikłany” – powiedziałem, ocierając twarz ręką. – Mógłbym wymyśleć całkiem nową kosmologią, aby dostosować się do

tego pomysłu. Teraz jednak nie potrafię myśleć wystarczająco jasno.

Brian odwrócił się z powrotem do Suworowa i powiedział:

– Nienawidzę tego zakazu, ale cóż, może to i lepiej nie publikować faktów, zanim nie dowiemy się czegoś więcej. Ale nie można podawać tylko czczych zaprzeczeń. Musi pan przygotować jakąś historię dla prasy, preferowałbym półprawdę wystarczającą, by wyciszyć plotki.

Wzięłem głęboki oddech – nigdy w swoim życiu nie oczekiwałem, że będę musiał ukrywać jakąś prawdę, ale tym razem musiałem zgodzić się z Brianem. To byłoby jak wystrzał, który wszystkich mógłby oszołomić i zaszkokować, gdybyśmy opublikowali wszystko od razu. trzeba było przygotować grunt.

– Tak, Brian – powiedziałem. – Obawiam się, że masz rację. I myślę, że mógłbym ci pomóc napisać odpowiedni rodzaj kłamstw. Zgadzam się na to, ale pod pewnym warunkiem...

Suworow spojrział na mnie bez wyrazu.

– Chciałbym zobaczyć się z bratem.

Słowa zawisły w powietrzu jak dym. W końcu generał wolno skinął głową.

– Myślę, że mógłbym to załatwić. To dobrze, panie Drummond, że będzie pan firmował swoim nazwiskiem i

autorytetem tę wprowadzającą w błąd wiadomość. Czy panna Iglesias też chce zobaczyć swojego brata?

Wszyscy popatrzyliśmy na Carmen – po chwili potrząsnęła swoimi gładkimi, ciemnymi włosami i buntowniczo podbródek.

– Zobaczyć mojego brata? – powiedziała. – Oczywiście, że nie... To, co pan mówi, jest bez znaczenia. Wiem, że tamto na górze to nie jest mój brat. Widziałam go osobiście w Quito – nie potwora – ale jego samego, żywego i w doskonałej formie.

Suworowa poderwało na równe nogi.

– Na litość boską! – wrzasnął. – Dlaczego nie powiedzieliście nam tego wcześniej?!

Rozdział 9

Miałem zamiar przeprosić za głupotę Carmen, ale reakcja Suworowa zdziwiła mnie i chwilę później byłem zadowolony, że nic nie powiedziałem. Zanim zaczęło to wyglądać śmiesznie, zacząłem myśleć, że może naprawdę widziałem Leona – ciało Leona w Quito – lub że Carmen i jej siostrzeniec mogli widzieć Hermanosa. Rzeczywiście, mimo jej próśb nie pytałem krewnych członków załogi statku, kto mógł mieć jeszcze podobne wizje. Udałem, że się zgadzam myśląc, że jest wiele innych ścieżek

śledztwa, które zaprzętały moją uwagę. Nawet nie wspomniałem o tym Brianowi, Kaye czy Donowi, którzy byli moimi kolegami i mogli z pewnością znaleźć czas, by sprawdzić rodziny członków załogi, które przebywały teraz w Quito.

– Proszę to przejrzyscie wyjaśnić, panno Iglesias :– zażądał Suworow. – Gdzie i w jakich okolicznościach zobaczyła pani osobę, którą wzięła pani za swojego brata?

Ciągle blada, zaplatające palce, by ukryć ich nerwowe drżenie, zaczęła spokojnie mówić.

– Nie tylko ja, ale i mój sześciolatekni siostrzeniec...

– To bardzo interesujące. Proszę kontynuować.

Opowiedziała swoją historię i, gdy skończyła, zwróciła się do mnie:

– To samo przytrafiło się i Tobie, prawda, Davidzie?

Potwierdziłem to.

– Dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej? – wyrzucił z siebie Suworow.

– Cóż... Henri Chambord wiedział... – wymamrotałem, czując się winny ukrycia tego przypadku teraz, gdy życie Leona znajdowało się w niebezpieczeństwie.

Suworow wcisnął przycisk na biurku i opadł na krzesło.

– Nie mam pojęcia, czy to jest ważne, ale to z pewnością nowość dla mnie, a każdy nowy fakt może być przydatny.

Carmen spojrzała na mnie, jej głowa przechyliła się lekko, a jedna brew uniosła. Zastanawiałem się, o czym teraz myśli – powiedziała to samo, gdy prosiła mnie o podjęcie poszukiwań wśród rodzin członków załogi.

– Do rzeczy – powiedział Suworow. – Wszystko, co powiedzieliście podczas tej rozmowy, zostało nagrane. Wszystko jest tu nagrywane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, odkąd statek powrócił do normalnej przestrzeni. Chcę was oficjalnie ostrzec, że wszystko, co wam powiedziałem, jest uznane przez ONZ za tajne i wyjawienie czegokolwiek spowoduje wycofanie wszystkich waszych przywilejów. Potwierdźcie, że zrozumieliście ostrzeżenie.

Wymamrotaliście potwierdzenie. Ciężko było przejść się z reporterskiego, uprzywilejowanego stołka na miejsce amatora, lecz zbyt łatwo mogłem dostrzec grozę, która mogła pojawić się w wyniku nieodpowiedzialnych relacji i zatrważających wiadomości. Ani ja, ani Brian nie sprzeciwialiśmy się temu zakazowi.

Na biurku zadzwonił telefon; Suworow wduśił przełącznik i powiedział:

– Czy jest doktor Leinster?

Nie usłyszeliśmy odpowiedzi, ale musiała być twierdząca, gdyż generał kontynuował:

– Poproś go, aby tu wstąpił, dobrze? Wydaje mi się, że mam dla niego coś nowego.

Brian spojrzał na mnie pytająco.

– Herb Leinster – powiedziałem. Cornell i Sorbona. Cybernetyka psychologiczna. Jeden z około setki naukowców, z którymi usiłowałem porozumieć się w zeszłym tygodniu.

Teraz, kiedy już wiem to, co i oni, nie będę ich niepokoił.

Leinster przybył prawie od razu: szczupły, nadzwyczaj dobrze ubrany, w okularach w cienkich, złotych oprawkach i ze złotym zębem; wyglądał na zamożnego, co nie było dla mnie zaskoczeniem. Przysiadł na rogu biurka i zapytał:

– W porządku, co to za nagła nowość?

– Panna Iglesias, siostra jednego z członków załogi „Starventure”, Hermana Iglesiasa twierdzi, że widziała swojego brata w Quito pierwszego dnia, gdy pojawił się statek...

Leinster westchnął.

– Tak, wiem – stwierdził. – A także jej siostrzeniec dzień później. Drummond powiedział również coś podobnego rzecznikowi prasowemu, Chambordowi.

– Powiedział? – zapytał Brian. – Jak? Skąd?

Leinster zdjął okulary i przetarł je ostrożnie.

– Och, w takim mieście jak Quito takie historie rozchodzą się błyskawicznie. A my zbieramy każdy strzęp informacji, jaki mogliśmy zdobyć, nie dbając o to, czy jest to fakt, czy plotka.

– Ale co pan zrobił, by prześledzić te historie? – upierał się Brian.

– Prześledzić? Jezu Chryste wszechpotężny, panie Watchett, a jak pan sobie wyobraża, że kiedy mieliśmy znaleźć na to czas? – Leinster założył ponownie okulary. – Mamy cały wydział, zajmujący się dziwnymi zbiegami okoliczności, rzekomymi proroczymi snami, historiami z sezonu kaczek dziennikarskich i temu podobnymi sprawami przy małej szansie na to, że może dokopujemy się do jakiegoś powiązania pomiędzy tym wszystkim. Ale proszę zrozumieć, że również musimy zмагаć się ze sprawami bardziej rzeczywistymi: zakłócenia słoneczne, fenomen zorzy, anomalie magnetyczne, ulewa promieniowania kosmicznego! Powrót „Starventure” cholernie namieszał w trzech czwartych continuum Systemu Słonecznego! Z całym szacunkiem, panno Iglesias, mamy zbyt wiele rzeczy na głowie, by zajmować się poszukiwaniem sobowtóra pani brata.

– Ale nie ma nic ważniejszego – rzucił Brian.

Wstający z biurka Leinster spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Wydaje mi się, że nie rozumiem – powiedział po chwili.

Spojrzałem na Briana, który zgarbił się i mówił do Lenistera:

– Dotychczas nie słyszałem o bracie panny Iglesias czy o Leonie Drummond, ale słyszałem o ludziach, którzy sądzili, że widzieli innych członków załogi w Quito. Otrzymałem podobne informacje z pięciu czy sześciu źródeł i sprawdziłem to. Dowiedziałem się, że żadne z

tych źródeł nie znalazło osobiście członka załogi „Starventure”, o którym twierdzili, że go widzieli, więc przypisałem to zbyt wybujałej wyobraźni. Teraz nie jestem już tego taki pewny...

Carmen zaczęła szybko mówić:

– W dniu, w którym wrócił statek, David i ja byliśmy jedynymi ludźmi w Quito – nie licząc mojej rodziny – spokrewnionymi z członkami załogi.

– Przyznaję, że ciągle nie wiem, dlaczego pan Watchett uważa, że jest to tak okropnie ważne – powiedział Leinster.

– Ani ja – dodałem, nim Brian zdążył odpowiedzieć.

– Zastanów się, Brian! Czy twierdzisz, że prawdziwe ciała członków załogi, które być może widzieliśmy, są pod kontrolą obcych umysłów?

Rozdrażniony, jakby oczekiwał, że będę go popierał bez zastrzeżeń, odpowiedział:

– Cóż, jest chyba od cholery zaginionych ciał, nieprawdaż?

– Brian, ale jak mogły zostać sprowadzone na Ziemię? A na statek? Przerzucone przez atmosferę jak meteoryty?

– A niech to cholera! – podniósł się i wściekle usiadł z powrotem. – Z nas dwóch to ty przecież masz przygotowanie naukowe! Może zostały przerzucone na Ziemię poprzez hiperprzestrzeń?

Otworzyłem usta, ale nic nie powiedziałem. Właściwie dlaczego nie? Uchyliłiśmy tylko rąbka tej tajemnicy.

– Panowie, wierzcie mi, jestem z wami – powiedział Leinster. — Powinniście tylko naświetlić problem. Przez cały tydzień uczymy się odrzucać tradycyjne sposoby rozumowania. Pan Watchett może mieć absolutną rację, a zaginione ciała załogi mogą być na

Ziemi, być może nawet przeniesione poprzez hiperprzestrzeń. Ale, kurwa, mamy załogę „Starventure” w nowych kształtach i musimy dowiedzieć się o nich milion i jednej rzeczy! Czy mamy zrezygnować z naszych wysiłków w tym kierunku z tego powodu, że sobowtóry członków załogi były widziane przez jedną kobietę czy mężczyznę lub przez sześciolatnie dziecko?

– A ja myślę, że to warte śledztwa, jak to zasugerował pan Watchett włączył się Suworow. – Z tego, co wiemy, jeden z tych potworów mógł spłynąć z nieba i zostawić ciała całej załogi na Ziemi jak dzieciak, bawiący się ołowianymi żołnierzami!

Leinster jeszcze raz przetarł okulary, tym razem bardzo wolno.

– Tak, tak, oczywiście – mruknął. – Ale nie mam w tej chwili nikogo wolnego, by oderwać go od tego, co teraz robimy.

– Ja się tym zajmę – powiedział Brian. – Jeżeli skończymy tę akcję dezinformacyjną, o której mówiliśmy, to nie będzie żadnych uczciwych wiadomości, którymi mógłbym się zajmować.

– Wiadomości dezinformacyjne? – pytająco stwierdził Leinster, a ja podsumowałem to, na co zgodziliśmy się wspólnie z Brianem.

– Dobry pomysł – zaaprobował. Chociaż ja nie mam najmniejszego pojęcia, co zamierzacie powiedzieć. Ale im wcześniej to zrobicie, tym lepiej. Wracam do pracy. Proszę mi wybaczyć, jeżeli byłem zbyt ostry, ale jestem pewny, że widzicie, pod jaką presją pracujemy.

Potwierdziliśmy i wyszedł. Suworow odchrząknął i powiedział:

– Coś przychodzi mi na myśl, panie Drummond. Wyzначył pan cenę za współpracę – szansę spotkania z bratem. Mogę to załatwić na jutro lub pojutrze, ale musi pan mieć niezbite wytłumaczenie swojej nieobecności. Nikt nie może się dowiedzieć, że pozwolono panu odwiedzić „Starventure”, podczas gdy inni krewni członków załogi nie otrzymali zezwolenia nawet na dostanie się na teren portu kosmicznego.

– Mogę to załatwić bardzo szybko, mogę polegać na Brianie, że załatwi jakieś fałszywe usprawiedliwienie, prawda? – powiedziałem i spojrzałem na Briana. – I są jeszcze ludzie w biurze PRENSAM, którzy powiedzą cokolwiek, kiedy ich poproszę. Zawsze mogę powiedzieć, że zostałem wysłany przez Hanka Sandlera, by zbadać z pierwszej ręki doniesienia o potworze na niebie w Chile.

– Proszę mnie nie kłopotać szczegółami, po prostu proszę się upewnić, że ta historia jest nieprzemakalna

powiedział Suworow i popatrzył na zegarek. – Będzie lepiej, jeśli teraz już wróćcie do Quito. Muszę być na służbie za mniej niż dziesięć minut, więc wyślę was z kierowcą. Czy zamierzacie zobaczyć się z Chambordem?

Brian skinął głową.

– Nie możemy tworzyć tej ogłupiającej historii bez jego udziału. To, że będzie musiał rznąć głupa, na pewno go nie ucieszy.

Brian podniósł się; Suworow przytrzymał jego rękę.

– Proszę o fotografię, panie Watchett. Nic, co dotyczy tej sprawy, nie może opuścić tego pomieszczenia.

Brian niechętnie oddał zdjęcie i powiedział:

– Pan wie, że im dłużej patrzę na tę fotografię, tym bardziej jestem przekonany, że nic z tego, co pan powiedział, nie może być prawdą.

– Jestem pewny, że byłaby to wielka pomoc przy przygotowywaniu tej historii kamuflującej – skomentował ironicznie Suworow. – Do rzeczy, ostatnia kwestia: musicie oczywiście pozwolić naszym ekspertom wnikać w to, co zamierzacie powiedzieć. Nawet teraz nie znacie całej historii, a więc istnieje ryzyko, że ujawnicie coś niebezpiecznie bliskiego prawdy. Przyślijcie więc tutaj to, co opracujecie, nawet przed zademonstrowaniem Chambordowi i nie kłopotcie się, że będzie to dzień czy środek nocy. Kompetentne autorytety muszą to zaakceptować. Mamy więcej naukowych znakomości w promieniu

trzech mil wokół tego obszaru niż kiedykolwiek zgromadzono w całej historii człowieka.

– A jeżeli nie spodoba się wam to, co zasugerujemy?

– Musiałem to powiedzieć, ale w chwilę później żałowałem tego.

Kiedy Suworow odwrócił się do mnie, jego twarz była twarzą człowieka nawiedzonego.

– Musi nam się to podobać, prawda? – powiedział cicho. – Albo to, albo ogólnoświatowa histeria. Zatem na razie do widzenia. Oczekuję od was wiadomości za kilka godzin.

Pomogłem wstać Carmen, która ciągle była śmiertelnie blada i razem wtopiliśmy się w noc.

Rozdział 10

Nasz nowy kierowca prowadził bardziej rozsądnie niż Suworow, gdy wiozł nas do portu, ale teraz nie byliśmy w nastroju, by to docenić. Mogliśmy spaść w przepaść i rozbić się, lecz nawet to byłoby lepsze niż spotkanie z nowym, strasznym Wszechświatem.

Nie robiłem nic, nie mówiłem ani słowa przez parę mil, obserwowałem jedynie skały, po których prześlizgiwały się światła samochodowych reflektorów. W końcu poruszyłem się i objąłem ramieniem Carmen; uczucie, ja-

kiego doznałem, przypominało dotknięcie woskowego manekina. Patrzyłem na nią, nie mogąc dostrzec jej twarzy. Gdy droga ponownie zaczęła wic się między skałami, odbite światło pozwoliło mi się jej przyjrzeć: miała szeroko rozwarte oczy, wpatrywała się nieruchomo przed siebie, a jej wargi poruszały się bezgłośnie.

– Carmen – powiedziałem.

Przez długą chwilę ignorowała mnie. Myślałem, że się modli i potrzebuje czasu, by skończyć; to było nowe dla mnie, nigdy nie myślałem, że jest religijna.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała to głosem tak martwym, jak księżycowe skały.

Usiłowałem się sprzeciwić. Odwróciła wolno głowę i znów mogłem dostrzec refleksy świetlne w jej oczach, a potem obnażyła zęby w czymś zbliżonym do warkotu.

– David, nie jestem twoją własnością powiedziała. – Zostaw mnie w spokoju.

Po raz kolejny wydawało mi się, że widzę ją po raz pierwszy. Cofnąłem rękę, czując nagle ukłucie cierpienia, tak ostre, jak wiadomość o śmierci starego przyjaciela. Wydawało mi się, że nigdy już nie spotkam mojej Carmen, śmiejącej się, przywiązanej, podekscytowanej mną i światem, ale siedzący obok kierowcy Brian mówił coś i musiałem skupić na nim uwagę.

– Przepraszam, nie słuchałem cię...

– Pytałem, czy przyjąłeś już może jakąś linię postępowania wobec Chamborda. Trudno będzie zapewnić sobie jego współpracę.

Potarłem dłonią czoło.

– Ach, nie... – powiedziałem w końcu. – Przepraszam, jestem jeszcze wstrząśnięty tym, co stało się z Leonem. Muszę polegać na twoich pomysłach, zanim nie dojdę do siebie.

– Według mnie jest tylko jedna możliwość. Zapal wyciągnął paczkę w moją stronę, a następnie podsunął ją Carmen; odepchnąłem jego dłoń z powrotem i wymamrotałem: – Ona chce, by dać jej spokój. Wal dalej.

Poszukał zapalniczki na desce rozdzielczej.

– Nie możemy udawać, że nie stało się nic złego – wypuścił z ust kłęb dymu. — A co myślisz o kwarantannie, której musi poddać się cała załoga? Jaka istnieje szansa, że mogą być zarażeni przez jakiś obcy mikroorganizm i z tego powodu nie mogą lądować, dopóki eksperci nie znajdą antidotum?

– Szansa? Jeden do miliona. To ostatnie, na co bym się powoływał – westchnąłem. – Kwarantanna zawsze śmierdzi. To byłoby jak przyznanie się, że cała załoga stoi u progu śmierci. Ich rodziny podniosą straszny krzyk, a – co gorsza – każdy biolog na Ziemi nadstawi uszy i zacznie skowyczeć o szczegóły, dotyczące tych cudownych, obcych mikroorganizmów. Coś z innej planety, zdolne żerować na ziemskiej protoplazmie mogłoby być naj-

większą sensacją tego wieku w biologii, biochemii czy paleobiologii... Nie, nie możemy lgać w ten sposób.

Brian uderzył otwartą dłonią w kolano.

– Cholerni głupcy! – wybuchnął. – Coś z tego jest prawdą, gdy mówią o naukowcach, że żyją w wieżach z kości słoniowej. Przecież od momentu wprowadzenia statku na orbitę, kiedy dowiedzieli się, co stało się z załogą, było wiadomo, że tego typu historyjka będzie niezbędna. Gdyby byli naprawdę mądrzy, przekazaliby od razu problem Chambordowi, a to uchroniłoby nas od tworzenia teraz bajki pełnej półprawd i kłamstw.

Potakująco skinąłem głową.

– Cóż, zobaczymy – Brian patrzył bardziej ponuro niż kiedykolwiek. – A co z nerwowym załamaniem? Nie mogli znieść stresu otaczającej ich, nieprzyjaznej hiperprzestrzeni?

– Och, Brian, na litość boską! – wymamrotałem.

– Musisz być bardzo zmęczony. Czy nie widzisz, co w tym jest złego? Niech to cholera, ludzie posiadają tę instynktowną barierę ochronną, która broni mózg przed szaleństwem. Nie możesz powiedzieć, że załoga stała się nie zrównoważona bez ryzyka podkopania wiary ludzi w sens lotów kosmicznych.

– A nie uważasz, że i tak może się to stać? – łagodnie zauważył Brian.

Usiłowałem nie przyznawać nawet w duchu, że ta przepowiednia może okazać się prawdziwa. Nie chodziło

o to, że miałem bardziej osobisty stosunek do lotów kosmicznych – nigdy nie byłem dalej niż na orbicie, ale Leon był. Leon robił rzeczy, które kiedyś miałem nadzieję robić ja, a życie zmusiło mnie tylko do ich relacjonowania.

Cóż, w każdym razie „Starventure” był postrzegany jako przedsięwzięcie typu „ponieważ jest tutaj”, pierwsze w historii, w którym cała populacja gatunku mogła częściowo uczestniczyć. Nie miało znaczenia, jak pomysłowe kłamstwo wymyślimy – rozczarowanie mogło być zatrwajające.

– Nie, nie myślę, by ten pomysł był dobry jeszcze z innego powodu – powiedziałem. Ludzie prawdopodobnie szybko zaczną pytać, dlaczego – jeśli hiperprzestrzeń jest tak niegościnna – załoga przetrwała bez szwanku podróży w tamtą stronę, gdy wysiłek był na pewno gorszy, ponieważ ruszali w nieznaną, a w drodze powrotnej poruszali się po już znanej trasie.

– A niech to, masz rację – przyznał Brian; jego brwi zetknęły się nad nosem. – Cóż, teraz twój ruch, wystrzelałeś moje sugestie. Zakładam, że przestaniesz grymasić i zaczniesz myśleć, chyba że odzwyczałeś się od tego, gdy ustawileś się we własnym interesie.

Gdy wróciliśmy do miasta, mieliśmy już gotowy szkielec całej naszej historii, która mogłaby być rozwinięta zgodnie z zaistniałymi okolicznościami na trzy sposoby: przygotować świat na prawdę, stać się trwałym kłam-

stwem z oddalonymi konsekwencjami, przeznaczonymi do przygnębienia ludzi zainteresowanych przyszłością lotów międzygwiazdnych i zniechęć do stawiania pytań o pierwszą wyprawę lub na miliard i jeden sposób zostać rozmyta i zapomniana w dniu poprzedzającym rozwiązanie problemu dzięki nowym odkryciom.

– Byłem tak pochłonięty ubieraniem tego szkieletu w ciało, że czułem coś w rodzaju perwersyjnej przyjemności z powrotu mojej własnej, nieoczekiwanej pomysłowości, że zapomniałem całkowicie o Carmen. Kiedy uświadomiłem sobie, jak długi czas minął od kiedy spojrzałem na nią, akurat skręcaliśmy z głównej drogi w kierunku domu Chamborda, gdzie Suworow polecił nas dostarczyć w pierwszej kolejności. Stuknąłem kierowcę w ramię i po hiszpańsku powiedziałem, by się zatrzymał, po czym odwróciłem się do Carmen i zapytałem, czy poszukać taksówki, która zawiezie ją do domu. Potaknęła głową, nic nie mówiąc. Kierowca zasugerował powrót na główną ulicę, gdzie jest prawdopodobnie więcej taksówek, ale ona otworzyła drzwi i wysiadła. Wskoczyłem za nią i usiłowałem złapać ją za ramię, ale umknęła mi.

– Carmen! – krzyknąłem. – Dlaczego traktujesz mnie luk, jakby to wszystko była moja wina?

– Myślisz, że cię okłamałam – powiedziała ciężko. – Widziałam mojego brata tak samo, jak ty widziałeś swojego. To nie było przywidzenie, nie potwór, ale mój Hermanos, żywy i mający się dobrze.

Waga jej słów zmiażdżyła mój umysł. Co, do diabła, robię? Wahalem się, czy posłać Briana, by zobaczył się Chambordem i zostawił mnie z Carmen, bym mógł odwiedzić ją do domu i pocieszyć – była jeszcze w szoku. Ale ona nagle wyczarowała na twarzy uśmiech i położyła dłoń na moim ramieniu.

– Drogi Davidzie – powiedziała. – Idź i zrób to, co możesz zrobić i nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie. Zobacz, tam jedzie taksówka!

Wskazała ręką na daleki punkt świetlny na dachu nadjeżdżającego pojazdu; oderwała się ode mnie i pobiegła ku jezdni, krzycząc i wymachując rękami. Kierowca taksówki zobaczył ją i zwolnił; spiesząc za nią nie zdołałem jej złapać, więc tylko zawołałem:

– Carmen! Jedź na noc do swojej rodziny! Nie siedź sama w domu!

Nie byłem pewny, czy mnie usłyszała; wślizgnęła się do taksówki, która ruszyła z rykiem silnika i szybko zniknęła z pola widzenia. Odwracając się, by dołączyć do Briana, zastanawiałem się, czy mój pomysł był dobry. Wizja Carmen, walczącej samotnie z własnymi diabłami w jej mieszkaniu podczas najciemniejszych godzin nocy zdecydowała o tym, że krzyknąłem, by jechała do rodziny. Teraz jednakże pomyślałem o tym, że może znaleźć się wśród rodziny, która – tak, jak i ona – przesycona jest mistycyzmem, łatwowienością, przesadami...

– Myślisz, że nic jej nie będzie? – zapytał Brian, gdy wróciłem do samochodu. Wyglądała na strasznie wstrząśniętą...

– Carmen jest najbardziej elastyczną osobą, jaką nam – odparłem; to była prawda, w normalnych okolicznościach posiadała dziką niezależność i determinację.

Szukaliśmy domu Chamborda przez kilka następnych minut – był to nowy, elegancki bungalow, usytuowany tyłem do ulicy i otoczony ogrodem z jaskrawymi kwiatami. W jednym z frontowych okien paliło się światło i – gdy zatrzasnęliśmy drzwi samochodu – na stopniach werandy pojawiła się przed nami ciemna postać.

– David? – głos Chamborda miał w sobie pewność. – Słyszałem od generała Suworowa, że przyjdiesz zobaczyć się ze mną...

Zobaczył Briana.

– Pan Watchett, jak sądzę. Zakładam, że osiągnęliście pewne rezultaty w bazie. Proszę, wejdźcie, tylko cicho, ponieważ moja żona śpi w tylnej części domu.

Idąc za nim przez hall mogliśmy zobaczyć jego podpuchnięte oczy i że był bardziej zmęczony niż parę godzin wcześniej, gdy widzieliśmy się z nim w jego biurze. W pokoju, do którego nas zaprowadził, paliło się światło; dał nam krzesła i przyniósł filiżanki kawy z koniakiem. Poczulem, że w głowie mi się przejaśnia, a dusza powraca do ciała.

– Ech, bien! – westchnął, biorąc krzesło i siadając twarzą do nas. – Wszystko, co wiem, to to, co powiedział mi Suworow. Aby wyprzedzić daleko idące spekulacje i plotki, zostanie przygotowany materiał o powodach, dla których uległ zmianie program lądowania załogi statku międzygwiazdowego, a wy dwaj i ja musimy przygotować ten materiał na dziś, na ósmą rano. Cóż, jestem gotów wysłuchać, co macie do powiedzenia, choć pewnie to, co usłyszę, nie będzie wesołe...

Złożył dłonie na kolanach i popatrzył na nas wyczekująco. Nadeszła pora na pierwszy test naszego wielkiego kłamstwa. Odetchnąłem: Brian i ja doszliśmy do wniosku, że moim atutem jest to, iż jestem pisarzem popularnonaukowym i jako taki mam większe szanse, by bardziej wiarygodnie przedstawić tę historię.

– Tak, cóż...– powiedziałem, myśląc równocześnie, że nasza przejażdżka do portu zmusza nas teraz do ukazania Chambordowi faktów w taki sposób, aby miał czyste ręce. – To było jasne dla każdego, że coś poszło źle. Weszliśmy tam i zagroziliśmy piekłem, jeżeli wszystkiego nie wyjaśnią i nie zgodzą się na współpracę z nami. Byli w kłopotcie, ponieważ nikt nie przewidział niektórych efektów przebywania w hiperprzestrzeni, którym uległa załoga, a oni nie mieli czasu, by pomyśleć o wyjaśnieniu zaistniałego stanu rzeczy ludziom...

– Jakiego rodzaju efekty? – zapytał Chambord.

– Częściowo fizyczne, częściowo psychiczne. Pamiętaj, że to pierwsi ludzie, którzy podróżowali w hiperprzestrzeni, gdzie panują zupełnie inne warunki niż w naszym Wszechświecie. Psychologiczne zmiany są tym, z czym jakoby można najłatwiej się uporać, ponieważ ludzki umysł posiada dużą odporność na stres. Głównym problemem psychologicznym jest ostra agorafobia. W układzie Alfy niewielu przebywało na zewnątrz podczas wypraw lądowniczych, reszta pozostawała przez dwa lata we wnętrzu statku. Nie są teraz istotami, które mogą od razu powrócić na Ziemię, na wielkie przestrzenie z niebem nad głową. Ale oczywiście tym zajmują się eksperci i nie powinno to przysporzyć wielu kłopotów w przeciwieństwie do efektów fizycznych... – musiałem oblizać wargi. – Widzisz, jako astronauta – pionierzy załoga „Starventure” została poddana wcześniej nie zauważonym konsekwencjom lotu jak zmiękczenie kości z powodu piezoelektrycznego efektu grawitacyjnego, oddziałującego na zawarty w szkielecie wapń, a ponadto odkryto zakłócenia metabolizmu na skutek przebywania w hiperprzestrzeni. Ucierpiały tkanki ich ciał, przede wszystkim układ trawienny. Tych uszkodzeń nie da się leczyć normalnie, jest jeszcze wiele skutków ubocznych, które sprawiają, że nie można sprowadzić ich na Ziemię bez poważnego ryzyka stałej niezdolności do normalnego życia...

Nastąpiła długa chwila ciszy, wreszcie Chambord skinął głową.

– Bardzo dobrze. Jeżeli tak to brzmi, muszę to przyjąć do wiadomości, ale ostrzegam was, nie wierzę w to – Brian i ja wymieniliśmy przerażone spojrzenia, a Henri zaczął tłumaczyć: – Powiem wam, dlaczego. Po pierwsze, Davidzie, jestem bardzo wprawiony w wykrywanie fałszu. Wiem, że pracujesz wyjątkowo dobrze. Dodam tylko, byś ponownie nie używał słowa „niezdolność”. Możesz to napisać, ponieważ to precyzyjne określenie, ale nie mów tego. Większość z lat mojej pracy spędziłem w serwisie prasowym ONZ, widziałem międzynarodowe kryzysy wszelkich rozmiarów – od drażniących, dyplomatycznych utarczek po rozpoczynające się wojny nuklearne – ale żaden z nich nie wywołał takiej paniki, jak obecny. Ładne, niewinne uszkodzenie metabolizmu pasuje do tego, co widziałem przez cały ostatni tydzień. Czy jestem uprawniony do prawdy, jeżeli mam być ojcem chrzestnym kłamstwa? – zakończył pytanie, popatrzył na nas i zapytał ponownie: – Cóż? Czy jutro nastąpi inwazja z gwiazd? Czy „Starventure” odnalazł niebo i rodzaj ludzki jest skończony? Co zatem?

Ani Brian, ani ja nawet nie drgnęliśmy.

– Jak wolicie – westchnął. – Teraz musimy popracować nad tą historią, którą mi opowiedzieliście i pokonspirować nad sposobem oszukania ludzi. Jest parę osób, które mogłyby mi to wyperswadować, ale jeśli ty przychodzisz do mnie – nawet do mnie – i sprzedajesz mi ten nonsens, to to, co naprawdę się stało, musi być okropne.

Prawdopodobnie powinienem być szczęśliwy, nie wiedząc o tym...

Rozdział 11

Trzecia wersja komunikatu była doprawdy mistrzowska. Było to grube i trudne, a jednocześnie ważyło tyle, ile słoń ukształtowany z mgły. Komunikat mówił o wszystkich przygnębiających rzeczach w tonie straszliwego optymizmu; zgodnie z nastrojem każdy mógł to odczytać jako zupełne epitafium dla podróży kosmicznych lub jako pean pochwalny dla dzielnych członków załogi, którzy otworzyli drzwi Wszechświata, lub też jako trzeźwe zarejestrowanie wszystkich faktów.

Około piątej trzydzieści z przekrwionymi oczyma, drżąc z wysiłku, koncentrując się na każdym słowie mieliśmy już zakończenie. Przeczytaliśmy ostateczną wersję Suworowowi, używając kodowanej linii telefonicznej Chamborda do bazy statków kosmicznych, przez którą Henri odbierał poufne supernowości. Suworow nagrał tekst i obiecał zadzwonić do wszystkich osiągalnych szefów departamentów, by to zaaprobowali i zostawił nas, czekających na werdykt. Zadzwonił o szóstej dziesięć: nie tylko zaakceptowali, ale i ciepło przyjęli, ponieważ komunikat pozostawiał wiele kwestii otwartych.

Chambord odebrał efekt naszego wspaniałego kłamstwa i włożył do kieszeni, spoglądając na nas ponuro.

– Dobrze, wezmę to do biura prasowego i roześlę faxem – powiedział. – O ósmej będzie konferencja.

– O której... Co? – zapytałem padając na krzesło, ponieważ moje nogi nagle nie chciały unieść ciała.

– Potem wydaje mi się, że złożę rezygnację – rzucił Chambord i wyszedł.

– Trzeba o tym pomyśleć – powiedział Brian, przemierzając pokój w kierunku telefonu. – Powinniśmy odwołać myśliwską sforę Hanka, oni ciągle wężą.

Przytaknąłem; miałem to samo na myśli, ale jakoś nie mogłem wykrzesać z siebie energii.

Ósma rano była odpowiednią porą na podanie ułożonej przez nas wiadomości. Reakcja była najsilniejsza na tej półkuli. Poranne gazety i popołudniówki (w zależności od strefy czasowej) szły jak woda, sącząc fakty do ludzkiej świadomości, ale nasze delikatne aluzje były przygotowane głównie dla ludzi, którzy po wyjściu z pracy obejrzą wiadomości w TV, w barze lub w domu. W Zachodniej . Europie i Wschodniej Rosji informacje były hitem wczesnego przedpołudnia i znakomicie przedstawiano je w ratach w TV. Reakcja w Chinach i Japonii zaniepokoiła mnie, ale po tamtej stronie świata zwyciężyła mimo wszystko długa tradycja uznawania autorytetu ekspertów, którego to autorytetu rażąco nadużyłem.

Zamknąłem oczy, ale nie odczuwałem potrzeby snu; poprzez pokój słyszałem Briana, pytającego nasze nowojorskie biuro (zadziwiające, jak szybko wróciłem do starych przyzwyczajzeń, myśląc „nasze”) i proszącego, by znaleźli Sandlera lub kogokolwiek, kto miał dyżur. Głos, który odpowiedział, nie był głosem Sandlera, ale nie próbowałem nawet patrzeć, kto to.

– Wiadomości o ósmej rano waszego czasu – usłyszałem. – Ale, do diabła, nasze poranne wydanie będzie wydrukowane i zapakowane wcześniej!

– Powiedz Hankowi, że musimy się tego trzymać – Brian powiedział to przekonująco przygnębionym tonem. – Otrzymaliśmy ten tekst w nocy wraz z ultimatum, że nie można tego opublikować przed ósmą rano.

– Mam ochotę namówić Hanka, by zamieścił tę wiadomość wcześniej. Wtedy moglibyśmy wstawić relację w ramce pod tekstem.

– Lepiej z tego zrezygnuj. Gdybyś opublikował to wcześniej, przywileje prasowe dla SOLAR PRESS zalałyby rzeka, a zająłby się tym Henri Chambord. Może słyszałeś o nim?

– Żartujesz? Obawiam się, że masz rację. Nie można tego zrobić, Chambord umieściłby SOLAR PRESS na czarnej liście. Ale czy możesz się upewnić, że Kaye otrzyma tekst? Może wtedy jutro rano dostarczymy naszą własną wersję na miejsce oficjalnej.

– Myślę, że moglibyśmy to zrobić – zgodził się Brian, pocierając jedną ręką twarz, a drugą przerywając połączenie.

Uderzyła mnie pewna myśl, którą nosiłem w sobie wcześniej, gdy nie byłem w kontakcie z agencją.

– Brian, czy to, co mówił ten facet, to żądanie szczegółów, dotyczących statku, tak?

– Tak, no i co z tego?

– Czyim nazwiskiem Hank zamierzał to firmować? Swoim własnym? Może być potrzebne nazwisko, zwykły kredyt agencyjny nie może wpasować tego w pustą przestrzeń.

– Od kiedy to szef biura SOLAR używa własnego nazwiska do firmowania historii? – krzywo zauważył Brian. I co by to znaczyło dla ludzi, gdyby to zrobił? Nie, pytanie jest czysto akademickie, naprawdę chciał użyć twojego nazwiska. Byłem zobowiązany pogadać z tobą, byś się zgodził. To poszłoby jako bezpośrednia relacja, niejako opracowanie dla SOLAR, licencjonowane na bezlimitowe przepisywanie w nadziei zainteresowania ludzi i zaognienia ogólnoświatowej reakcji.

Hank to cwany gnojek – stwierdziłem.

Ta sztuczka mogła pasować i nawet nie przyszła mi do głowy. Zmusiłem się do wstania z krzesła i przeciągnąłem się, a następnie skloniłem ku palcom u nóg.

– Co to jest? – ziewnąłem.

– Nic – zaprzeczył Brian, obracając się na stolku przy telefonie. – Podjąłem się pracy, pamiętasz? Proponu-

ję zacząć od zaraz. Chcę mieć wszystkie szczegóły, które pamiętasz ze spotkania twojego brata w dniu powrotu „Starventure”.

Powoli opadłem z powrotem na krzesło, z którego przed chwilą wstałem.

– Dzięki Bogu, że przypomniałeś mi tę historię. Mógłbym wtedy wziąć moje doświadczenia nieco bardziej poważnie.

– Od teraz bierzesz je poważnie – powiedział Brian; wziął swój dyktafon, sprawdził, czy w środku jest czysty kryształ i włączył urządzenie. – Kiedy już skończysz opowiadać o spotkaniu z twoim bratem, powiesz mi wszystko, co wiesz o swojej przyjaciółce Carmen i jej siostrzeńcu. Jestem zdecydowany dotrzeć do samej podszewki tej sprawy.

Była prawie ósma, gdy wróciłem do hotelu. Kupiłem gazety i poszedłem do pokoju; podczas gdy wanna napełniała się wodą, bym mógł odmoczyć zmęczenie, ja przebrnąłem przez prasę. Dwie wielkie historie dnia były ze sobą powiązane, byłem tego pewny, zastanawiałem się tylko, ile osób skojarzy je ze sobą.

Niektórzy amatorzy-radioastronomowie, wykonując dzienne pomiary odbić meteorytów, znaleźli dziwne, krótko-zakresowe sygnały, powracające z drugiej strony nieba, jakby było tam coś masywnego, na przykład potwór z nieba. Jedna z gazet skontaktowała się z Acostą, co – muszę przyznać – zdziwiło mnie i otrzymała od nie-

go potwierdzenie tego faktu oraz informację, że podobne fenomeny obserwowano już poprzednio.

W Dżakarcie rodzice jednego z inżynierów „Starventure” zostali sprowokowani do wniesienia oskarżenia o oszustwo przeciw kierownictwu bazy statków kosmicznych; zamieszczono czterokolumnowe zdjęcie bardzo pięknej kobiety w średnim wieku, płaczącej nad bukietem kwiatów. Patrząc ponuro, zakręciłem kurki wody w łazience i ruszyłem do telefonu; wykręciłem numer rodziców Carmen, który znałem jeszcze z moich poprzednich wizyt w Quito. Odezwała się jej matka. Nie mówiła po angielsku, a z moim brakiem płynności w hiszpańskim i jej meksykańskim akcentem nawet przy pomocy słownika, który miałem przed sobą, porozumienie się zajęło cholernie dużo czasu, ale ostatecznie dowiedziałem się, że Carmen spędziła noc u nich i kwadrans przed moim telefonem wyszła, prawdopodobnie do pracy. Podziękowałem pani Iglesias i usiłowałem dodzwonić się do biura, gdzie pracowała Carmen, ale nikt nie odpowiadał. Była dopiero ósma i personel, jak pomyślałem, jeszcze nie przyszedł. Zdecydowałem, że wezmę kąpiel i zadzwonię pół godziny później. Zastanawiałem się, kto złamał milczenie Acosty, sprawdziłem to raz jeszcze i miło było mi zobaczyć, że pod wiadomością figuruje nazwisko jednego z ludzi Manuela Segury. To oczywiście znaczyło, że SOLAR PRESS miała prawa północnoamerykańskie; śmieszne, jak szybko powróciły pewne przyzwyczajenia: raz

jeszcze byłem lojalnym pracownikiem SOLAR PRESS – na pewien czas.

Ale... Hmm, nie byłem wcale pewny, czy chciałem być pracownikiem jakiegokolwiek rodzaju. Odłożyłem gazety i tępo patrzyłem poprzez kłęby pary, przypominawszy sobie Manuela. Skojarzył mi się teraz z kamuflażem, który chciałem stworzyć, by ukryć mój wylot na orbitę. Zastanowiłem się, na ile teraz ta podróż może być realna i pomyślałem, ile Carmen wycierpiała ostatniej nocy; szeptałem bezdźwięcznie do siebie, usiłując ubrać fakty w słowa, by uczynić je bardziej realnymi.

– Słuchaj! Dziś, a może jutro zamierzają zabrać cię do portu kosmicznego, załadować na wahadłowiec i wysłać na „Starventure”. Zamierzają pokazać ci coś – potwora z wieloma mackami, z wielkimi, metalicznymi oczami i powiedzą ci, że to jest Leon. Jak to możliwe, żeby to był Leon?

Byłem wcześniej w Kosmosie, więc lot sam w sobie mnie nie przerażał, ale myśl o tym, co mi obiecano, wywołała wizje z przeszłości. Kiedy byłem wystarczająco dorosły zauważyłem, że loty na Marsa są sprawą rutyny i że są już stali koloniści na Księżycu; zdawałem sobie sprawę, że niektórzy ludzie obawiali się bardzo „racjonalnego” powodu, iż Mars może być zamieszkały przez niebezpieczne potwory, a inni traktowali niebiosa jak prywatną domenę Boga, a astronautów jako bezbożnych spacerowiczów. Cóż, jak dotąd Bóg siedział cicho, ale czy mamy za to potwory zemsty?

Zadzwonił telefon. Zakręciłem wodę – zapomniałem przełączyć rozmowy na aparat w łazience. Pozwoliłem mu tak dzwonić przez minutę, a potem uświadomiłem sobie, że może to być Carmen i szybko wyszedłem z łazienki i – owinięty ręcznikiem, zostawiając mokre ślady stóp na dywanie – włączyłem aparat. To nie była Carmen, na ekranie pojawił się człowiek w uniformie.

– Pan Drummond?

– Tak. O co chodzi?

– General Suworow do pana. Proszę czekać.

Ekran opustoszał, by po chwili ukazać Suworowa, który zmęczonym ruchem przyczesał włosy palcami.

– Dzień dobry, panie Drummond – powiedział. – Jesteśmy winni gratulacje panu i panu Watchettowi. Wasza historia jest dokładnie tym, czego wymaga aktualna sytuacja.

– Jak długo będzie potrzebna, nikt nie zgadnie – wzruszyłem ramionami. – Henri Chambord ją przejrzał.

– Mamy wreszcie przerwę na oddech. Spełnię teraz moją część umowy. Nie rzucam słów na wiatr, więc przedłożyłem ten pomysł naszym psychologom i oni orzekli, że byłoby bardzo pomocne i ciekawe przestudiowanie wzajemnych relacji pana i pańskiego brata w hmm... nowym kształcie.

Nic nie odpowiedziałem; woda, wysychająca na mojej skórze, przejmowała mnie dreszczem mimo ciepłoty powietrza.

– W orbitalnym grafiku wylotów mamy dziś prom o szesnastej pięćdziesiąt. Proszę się stawić w porcie około południa na test medyczny i po wyposażenie. Latał pan już kiedyś w Kosmos?

Musiałem ziewnąć, ale szczęśliwie Suworow tego nie dostrzegł; albo działał z zaskoczenia, albo był cały czas gotowy. Przelykając ślinę odpowiedziałem:

– Tak, kilka razy, choć tylko na orbitę.

– A więc właśnie tam, gdzie i teraz pan polecie. Do rzeczy: nie rezerwowałem miejsca dla panny Iglesias – osądziłem na podstawie przebiegu dzisiejszej nocy, że nie może z nami współpracować.

– Nie sądzę, by chciała polecieć – zgodziłem się.

Miałem na twarzy wyraz przygnębienia, gdyż nagle poczułem się bardzo nieszczęśliwy z powodu Carmen. Suworow zmarszczył nagle brwi i zapytał:

– Czy spał pan dzisiejszej nocy?

– Nie.

– Więc proszę przespać się przynajmniej godzinę, nim przyjedzie pan do portu, inaczej lekarze nie zgodzą się na pański lot. I jeszcze jedno: czy zaaranżował pan już swoją nieobecność, o co wcześniej prosiłem?

– Zamierzałem to zrobić zaraz po kąpieli, nie wiem tylko, jak długo mnie nie będzie.

– Nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

– W porządku. Do portu mam się dostać na własną rękę czy też przyśle pan po mnie samochód?

– Samochód będzie na pana czekał o jedenastej trzydzieści.

Po przerwaniu połączenia wydawało mi się, że nie warto już wracać do wanny; wysuszyłem się i założyłem czyste ubranie. Podeszedłem do telefonu i najpierw zamówiłem, śniadanie i poprosiłem, by przyniesiono mi z apteki środki nasenne, a potem zadzwoniłem do Manuela Segury. Po gratulacjach z powodu wkręcenia człowieka do Acosty jakby przypadkiem wspomniałem, że po porannych rewelacjach trudno przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja z potworami na niebie i, być może, pojedę sprawdzić pierwsze wiadomości o nim w Chile. Następnie skierowałem rozmowę na potwory na niebie i już bez żadnych uwag z mojej strony byłem przekonany, że Manuel będzie pamiętał, iż na dzień lub dwa pojedę do Chile, a Brian go jeszcze w tym upewni, byłem tego pewny.

Zatroszczyłem się o wszystko, a teraz Carmen, która powinna chyba przybyć już do pracy. Zadzwoniłem i tym razem ładna recepcjonistka odpowiedziała mi, że nie, panna Iglesias nie przyszła dziś do pracy. Nie, nie dzwoniła, że jest chora, po prostu nie pojawiła się. Dzwoniono do jej rodziców, by się czegoś dowiedzieć, ale jej matka była zaskoczona nieobecnością córki w pracy.

– Czy chce pan zostawić jakąś wiadomość?

Przerażony wymamrotałem coś i przerwałem połączenie.

Rozdział 12

Co ta szalona dziewczyna sobie teraz ubzdurzyła? Zawsze dostrzegałem Carmen jako jedną z najbardziej opanowanych osób, o niezwykle spokojnych reakcjach; wydawało mi się, że jej poglądy na życie są raczej cyniczne, choć nie był to cynizm w pełnym tego słowa znaczeniu, ale raczej tolerowanie ludzkich błędów i pozwalanie im żyć tak, jak chcą. Teraz złapałem się na tym, że zastanawiam się, czy część mojej opinii nie była zależna od socjologicznych sztuczek świata. Ameryka Łacińska była – mimo wszystkich zmian – nadal bardzo konserwatywna i możliwe, że część mojego wyobrażenia o Carmen dotyczyło istoty w jakiś sposób bardziej wyemancypowanej niż przeciętnie.

Nie byłem tego pewny. To, co było oczywiste, to to, że przypadek jej brata, to, co mu się stało, spowodowało odpadnięcie maski i pozostawiło obnażony starszy pierwowzór. Mówiła o posiadaniu „wewnętrznego” wzroku, ponieważ była siódmym dzieckiem siódmego dziecka, ale nigdy nie próbowałem na serio brać tego pod uwagę, składając to na karb pozy, przybranej *pour epater les scientistes* – jak ja, a jeżeli okoliczności były inne, musiałem to przemyśleć. Teraz, gdy mój własny, przyjemny i czysty obraz świata został rozdarty na strzępy, zacząłem

się nawet zastanawiać, ile z tego było żartem, gdy mówiła, że jej przodek był w jednej czwartej jaguarem.

Spędziłem kilka przerażających minut, myśląc o zmianach, jakie dokonały się w świecie, który znałem. Całe życie wierzyłem w postęp, uważałem, że pozbyliśmy się ciężaru starożytności, zmieniając przesady i dogmaty na przyczyny i fakty. Pamiętam te dźwięczne frazy, jakich użyłem do opisanie powrotu „Starventure” o „człowieku, który -sprostał wyzwaniu gwiazd” i zadrzałem. Wyglądało to tak, jakby gwiazdy nie zdołały rozpoznać naszego wezwania i z tego powodu mogłaby osłabnąć cała nasza duma, a przecież ja podzielałem tę dumę gdzieś w głębi swojego umysłu i wyobrażałem sobie, że w umysłach większości ludzi XXI wieku tkwiło marzenie, by człowiek opanował Wszechświat mocą swej inteligencji.

To była wizja, jaką podsuwał „Starventure”. Czyżbyśmy się nawzajem zwodzili? Czy naprawdę wprowadzaliśmy się w błąd, że skoro wydaje się, iż zrozumieliśmy nasz mały róg Kosmosu, to jesteśmy także na drodze do zrozumienia wszystkiego? Zaczynałem przypuszczać, że nasze „prawa natury” są czczymi anomaliami! Przypuszczałem, że Ziemia jest statystycznym odchyleniem, a reszta Wszechświata opiera się na zupełnie innych zasadach. Moja wyobraźnia łatwo wkraczała na takie ścieżki rozumowania, choć prowadziło to do zupełnie zatrważających wniosków.

Przerwałem rozważania, gdy pojawiło się moje zamówione śniadanie; obok nakrycia leżały pigułki nasenne. Tak mi to ulżyło, że z wdzięczności za przerwanie tych ponurych rozmyślań dałem obsługującej mnie dziewczynie absurdalnie wysoki napiwek. Nalałem pełną filizankę czarnej kawy, wypilem i nalałem następną – powoli szaleństwo moich myśli zaczęło się stabilizować. Powiedziałem sobie, że nie były to dobre spekulacje, dotyczące przyszłości, bowiem większość moich przypuszczeń sprowadziłem do absurdu. Dalej zajdę, doradzając sobie czekanie, dopóki nie usatysfakcjonuję się wiedząc, że Leon jest prawdziwy i rzeczywisty w tej potwornej formie, w której rzekomo istniał. Patrzyłem w przyszłość, ale przynajmniej to oferowało mi ucieczkę z tej otchłani niepewności. Tymczasem Carmen...

Było coś, co mogłem zrobić, a co jej dotyczyło.

Za dwie i pół godziny, nim przyjedzie służbowy samochód i zabierze mnie do portu, musiałem złapać przynajmniej pełną godzinę snu. Nie odważyłbym się stracić możliwości udania się na „Starventure”, nawet jeśli nie wolno mi będzie opisać tego, co tam zobaczę, a lekarze z serwisu kosmicznego na pewno nie dopuszczą mnie do lotu, jeśli będę wyraźnie zmęczony. Posiadałem podstawowe wiadomości na temat gruntownych badań, jakie przechodzą udający się na orbitę pasażerowie i wydawało mi się, że psychologowie na statku są w jakiś sposób zależni od wyników spotkania z Leonem, toteż nie byłoby

fair iść tam, nie będąc w szczytowej formie fizycznej. Ale jak mogłem położyć się spać, kiedy chciałem się pokręcić, sprzeczać ze sobą, przekonywać siebie, że muszę ufać tym ludziom, którzy wysunęli to śmieszne stwierdzenie, iż ta rzecz z wieloma mackami jest Leonem!..

Chciałem być także z Carmen. Gdzie ona mogła pójść? Rozwazałem, czy nie poprosić o pomoc Briana, by jej poszukał, wmawiając mu, że musi mieć dalsze szczegóły o jej spotkaniu z bratem, ale nie miałem pojęcia, jak się z nim skontaktować poza pozostawieniem mu nagranej wiadomości, którą mógłby otrzymać, gdybym spał zbyt głęboko, by osobiście z nim porozmawiać. Brian mógł być w porcie kosmicznym, biurze Chamborda lub gdziekolwiek indziej. W rzeczywistości mógł już zacząć dzwonić do ludzi, od których słyszał pogłoski o pojawieniu się załogi „Star-venture” w Quito. Pocieszałem się myśląc logicznie, że powinien odszukać Carmen przed innymi, a mogło być nawet lepiej, gdyby odnalazł ją bez mojej pomocy. Ostatniej nocy powiedziała: „Nie jestem twoją własnością”. Nagle stało się dla mnie jasne, czego chcę: następną rzeczą, jaką zamierzałem powiedzieć panie Carmen Iglesias, było pytanie: „Czy wyjdiesz za mnie?” W tym okropnym, nowym Wszechświecie jasno ujrzałem, że rozpaczliwie chcę być z kimś takim jak ona, z kimś, kto nie jest związany z fałszem starej „rzeczywistości”. Przypuszczam, że gdyby mrówka, ogromnie dumna z budowli swojego gatunku, mistrzostwa budow-

nictwa technicznego, sztuki owijania innych insektów zdała sobie nagle sprawę z istnienia człowieka, musiałaby poczuć się tak, jak ja w tej chwili.

Powoli jadłem śniadanie i rozmyślałem o tym. Nie spodziewanie nie mogłem dłużej tego znieść: odsunąłem talerz, wziąłem pigułki nasenne i przyniosłem szklanę wody, by je popić... Przynajmniej nie pamiętam, o czym śniłem.

Później, podczas opuszczania hotelu w pełnym świetle dnia, przyszło mi na myśl, że oenzetowskie emblematy na pojeździe są odpowiednie do tego, by zniszczyć moje szanse na wmówienie ludziom, że na dzień lub dwa wyjeżdżam do Chile. Na szczęście ten sam punkt widzenia przyjął Suworow: samochód nie miał emblematu, a kierowca nie miał na sobie uniformu. Był to małomówny tubylec, którego indiańscy przodkowie uwidaczniali się na jego długiej, uroczystej twarzy.

Tego ranka można już było odczuć efekt wiadomości o „Starventure”. Nad miastem unosiła się trudna do zdefiniowania, ponura atmosfera. Chorągwie miejskie ciągle były widoczne na ulicach, ale ludzie zdawali się ich nie zauważać. W miejscu, gdzie szosa do bazy oddzielała się od głównej drogi, było coś nowego: policyjny punkt kontrolny, przy którym stało pięć czy sześć samochodów. Mój kierowca błysnął autoryzowaną kartą i przejechaliśmy, stając się obiektem ciekawych spojrzeń; trzymałem głowę pochyloną w nadziei, że nikt mnie nie rozpozna.

Także Suworow nie mógł znaleźć potrzebnej na sen godziny lub przegonił personel; przekroczył punkt, w którym zaczyna to przynosić efekty. Podejrzywałem to drugie, ponieważ ostatniej nocy skarżył się Brandtowi na hałas, jaki czyniliśmy, gdy on usiłował odpocząć. Czwartego dnia powinien przespać dwanaście godzin, ale oczywiście nie miał czasu.

Nie zaprowadzono mnie do jego biura, ale do pokoju konferencyjnego w tym samym budynku; włączając Suworowa, było tam około tuzina osób. Twarz Suworowa była maską potwornego zmęczenia. Obok niego siedział generał Cassiano, tłusty, blady Włoch z małymi wąsami i cesarską bródką; Cassiano miał najwyższy stopień w dowództwie bazy kosmicznej i spotkałem go kilka razy podczas przygotowań do startu, dwa lata temu. Rozpoznałem także Lenistera oraz kobietę, która nazywa się Doris Quantrell – przeprowadzałem z nią wywiad w gdy pracowałem nad książką o najnowszych osiągnięciach psychologii. Była tu też kobieta, którą widziałem w nocy, mężczyzna w uniformie służby kosmicznej (na kołnierzu jego kurtki widniał kadyceusz służby medycznej) i kilka innych osób. Natychmiast odniosłem wrażenie, że trafiłem w sam środek zażartej dyskusji; słowa Cassiano to potwierdziły.

– Ach, pan Drummond! Spotkaliśmy się już wcześniej, nieprawdaż? Czy może pan zająć miejsce na końcu

stołu? Właśnie dyskutowaliśmy na temat tego... och... zaproszenia, które generał Suworow wystosował do pana.

Zająłem miejsce jak prosił, przeskakując spojrzeniem z twarzy na twarz dookoła podłużnego stołu, który zajmował całe pomieszczenie; mogłem spokojnie powiedzieć – tylko patrząc na nich – która z tych osób ma jakieś obiekcje.

– Poprawka – powiedziałem. – Pomysł był mój i jest to cena za współpracę przy ukryciu faktów na temat tego, co przytrafiło się „Starventure”.

Doris Quantrell zeszywniała i rzuciła na Suworowa spojrzenie pełne złości. Nie zauważył – wyobrażałem sobie, że musiał skoncentrować się wyłącznie na tym, by jasno myśleć.

– Generale Cassiano! – wrzasnęła. – Już się zgodziliśmy, że to wszystko będzie trzymane w tajemnicy. Nic z tego nie będzie przekazane rodzinom załogi, tym bardziej człowiekowi, który jest także reporterem.

– Doris, mówiłem ci wcześniej – odezwał się Lenister. – Tu nie można po prostu włożyć mordy w kubek. Ludzie robią się podejrzliwi i kto ma ich za to winić? Mieliliśmy cholerne szczęście, że Drummond był dostępny i chętny, by nam pomóc. On jest nie tylko bratem Leona Drummonda, nie tylko reporterem, ale otrzymał najwyższe nagrody za pisarstwo popularnonaukowe i posiada reputację, która przytłumi te dzikie plotki, wśród których musimy się poruszać.

– Myślę, że przy tym podejściu nie ma więcej miejsca na argumenty „przeciw” – powiedział Cassiano. – Jeżeli mi pozwolicie, zajmę się później pani obiekcjami natury technicznej, doktor Quantrell. Tymczasem, czy możemy wysłuchać majora Kamińskiego?

Mężczyzna z kadyceuszem na kołnierzu zwrócił się do mnie:

– Czy leciał pan wcześniej w przestrzeń kosmiczną, panie Drummond?

– Tak, kilka razy – odpowiedziałem. – Razem mam 'około stu godzin pobytu w Kosmosie. Pierwszy raz byłem na orbicie około pięciu lat temu, zaraz potem, gdy mój brat wszedł w skład załogi „Starventure”, drugi raz trzy lata temu podczas montażu kadłuba statku.

– Czy odczuwał pan jakieś zawroty głowy, nudności, bóle kości lub trudności w orientacji przestrzennej?

– Wcale.

– Czy od czasu pańskiego ostatniego lotu miał pan jakiś poważny wypadek lub przechodził pan choroby, które wymagały hospitalizacji?

– Nie, cieszę się doskonałym zdrowiem.

Kamiński spojrzał na Cassiano.

– Rezerwuję sobie prawo do zmiany zdania po tym, jak będę miał szansę gruntownego zbadania pana Drummonda, ale w zasadzie nie mam obiekcji co do jego udziału w locie.

– Dobrze, dziękuję panu – Cassiano poprawił się na krześle. – A teraz chciałbym posłuchać, co ma do powie-

dzenia doktor Lenister. Widzę, że mocno optuje pan za tą propozycją...

– Dokładnie tak – Lenister przygarbił się, ponownie przecierając okulary; wydawało mi się, że było to jego nerwowe przyzwyczajenie. – Nie wiem, co ma przeciw temu Doris. Gdybym nie był tak strasznie zajęty, znacznie wcześniej doszedłbym do wniosku, że potrzebujemy przekonującej historii dla ludzi. Jestem bardzo zadowolony z tego, co pan Drummond i jego kolega zrobili dla nas.

– Co ja mam do tego?! – wykrzyknęła Doris Quantrell. – Może być cholernie dobry, jeśli chodzi o dziennikarstwo, ale to nie powód, by wpuszczać go na „Starventure”! Suworow powinien skonsultować to z nami wcześniej!

Cassiano chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go Lenister:

– A więc właśnie teraz usłyszałaś, Doris, wszystko, co mam do powiedzenia. Chcę informacji i ty też powinnaś tego chcieć! Drummond jest bliskim krewnym jednego z członków załogi, ma wykształcenie naukowe, ma doświadczenie, jeśli chodzi o spotkania z obcymi ludźmi i szanowania ich, a informacje o swoich reakcjach rejestruje na taśmie lub pisze o nich. Chcę wiedzieć, co się dzieje, gdy któraś z osób twardo stąpających po ziemi zostanie skonfrontowana z jednym z członków załogi w jego obecnej postaci!

– Ty chcesz! Ty chcesz! – Quantrell powiedziała to pogardliwie. – A ja ci powiem, czego ja chcę! Chcę wyleczyć cię z tego absurdu, tkwiącego pod twoją czaszką, a dotyczącego „transferu osobowości w inną formę cielesną”. Chcę, żebyśmy zrobili coś konstruktywnego przeciw obcym potworom, które usiłują użyć takich głabów jak ty jako swoich koni trojańskich w ataku na tę planetę!

No, to był dopiero argument! Nie dotyczył w ogóle mnie czy wcześniej nie uzgodnionej akcji Suworowa, ale dreszcz grozy przebiegł mi po plecach.

Rozdział 13

Niespodziewanie Lenister stracił panowanie nad sobą: jego twarz poczerwieniała, zacisnął dłonie na krawędzi stołu tak gwałtownie, że wyobraziłem sobie, jak odłupuje drzazgi ze stołu i kruszy je w pył. Przez kilka sekund był zbyt zatkany furją, by coś powiedzieć, a po chwili milczenia zaczął wyrzucać słowa w stronę Cassiano jak kule z karabinu:

– Pozbądźmy się tej przeklętej kobiety! Odsuńcie ją od projektu, nim ukrećę tę jej arogancką szyję! Jest tak nabita fobiami, że nikt przy niej nie może mieć nadziei na wykonanie swojej pracy! Jak, do diabła, oczekuje pan, że dojdziemy do tego, czego chcemy od Drummonda, gdy ona rozmyślnie stawia sobie za zadanie wyrzucić nieod-

powiedni wpływ na jego umysł? Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej, wychodzę w cholerę!

Zerwał się tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, przechyliło się i wywróciło. Lenister ruszył w kierunku drzwi, ignorując usiłowania Kamieńskiego i innych, by go zatrzymać; szedł do drzwi, przeklinając strasznie i zadziwiająco monotennie.

Zapanowała głęboka cisza. Każdy patrzył na Cassiano, którego oliwkowo-błada twarz pokryła się potem.

– Przerwywam konferencję na godzinę – powiedział wreszcie. – Trudno mi nazwać zachowanie doktora Lenistera konstruktywnym, ale z drugiej strony, doktor Quantrell rozmyślnie usiłuje go sprowokować. Majorze Kamieński!

Lekarz spojrzał na niego.

– Zanim ponownie się tu spotkamy chcę, by doktor Lenister i doktor Quantrell uspokoili się – obydwójce. Czynię to warunkiem ich dołączenia do naszego zespołu. Proszę siedzieć cicho, doktor Quantrell! – dodał ostro, widząc jej próbę sprzeciwu. – Mam na myśli dokładnie to, co mówię: wróci pani spokojna albo wcale! Jestem już chory na skutek pani sporów z Lenisterem i przyprawia mnie o mdłości pani dziecinny upór w chodzeniu własnymi ścieżkami z powodu pani płci.

Te słowa spowodowały, że wstała i szybko wyszła; nikt nie próbował jej zatrzymać. Ponownie zapadła cisza. Spojrzałem na Suworowa: bujał się na krześle z za-

mkniętymi oczyma i sądziłem, że ostatecznie dopadło go wyczerpanie. Nie mogłem powiedzieć, że byłem bardzo zaskoczony sceną, której byłem świadkiem – tydzień solidnej presji tego rodzaju i można było spodziewać się pęknięć.

Kobieta, której swoim wtargnięciem w nocy przerwa-
liśmy pracę, siedziała po lewej stronie Kamieńskiego i –
jak dotąd – nie powiedziała ani słowa, teraz poruszyła się,
usiłując przechwycić wzrok Cassiana.

– Tak, panno Tobolkin?

W mojej pamięci automatycznie rozbłysły jej dane:
Tatiana Tobolkin, Instytut Aerobotaniki. Było to niewia-
rygodne miejsce na Syberii, gdzie czterdzieści mil kwa-
dratowych jest kopią powierzchni Marsa i tam właśnie
bada się marsjańskie rośliny i usiłuje zaadaptować ziem-
ską florę do wrogiego środowiska. Zawsze chciałem od-
wiedzić to miejsce, ale nigdy nie miałem na to czasu.

– Przeciwstawiam się jakiegokolwiek przerwie w pracy
– powiedziała Tobolkin; mówiła po angielsku z silnym
akcentem. – Doktor Quantrell zmarnowała pierwotny
pomysł. Tak, jak ja to rozumiem, intencją było sprawdzenie
spontanicznych reakcji pana Drummonda w relacji do
potwora, którego zidentyfikowaliśmy jako jego brata, po-
pierając punkt widzenia Lenistera, że był to transfer oso-
bowości w obce ciało lub wiarę doktor Quantrell w złą
wolę najeźdźców. Życzyłabym sobie ustalić to pomimo
tego, co stało się podczas tej konferencji. Mimo, że obec-

ność tych dwojga byłaby pożądana i użyteczna, musimy wiedzieć już teraz, czy pan Drummond uprzedził się, jeśli zaś tak, będziemy musieli zaprosić innego bliskiego krewnego kogoś z załogi z wystarczająco silną osobowością, by zniósł szok.

– Będziemy zatem głosować, ciągle stanowimy quorum – stwierdził Cassiano. – Kto się zgadza z doktor Tolbołkin?

Suworow poruszył się i, położywszy prawy łokieć na stole, uniósł rękę – drżała jak liść na wietrze. Po chwili wahania w jego ślady poszedł Kamieński i jeszcze dwie osoby.

– Czy moglibyśmy wysłuchać, co sądzi pan Drummond? – zasugerował Suworow ochryplym głosem. – Ma świeże podejście do sprawy od ostatniej nocy. My jesteśmy już nieco zużyci...

– Zgadzam się – skinął głową Cassiano. – Panie Drummond, czy to, co się stało, odkąd pan przyszedł, wymaga jakiegokolwiek wyjaśnienia, czy jest całkowicie jasne, co się dzieje?

Chrząknąłem; miałem ciągle gęsią skórkę i czułem się jak spacerujące zwłoki.

– Cóż, nie potrzebuje mi pan wyjaśniać, że ścierają się dwa poglądy – powiedziałem. – Doktor Lenister sądzi, że umysły, osobowości załogi egzystują w ich odmienionych ciałach. Borykam się z tym od nocy, a ponieważ nie widzę sposobu, w jaki można by się z tym

uporać, wydaje mi się uzasadnione poprzeć doktor Quantrell...

– Ach, ale to implikuje przypuszczenie, że tak odpowiedzialni obcy nie rozumieją głębiej ludzkiej psychologii, nie mogą przyswoić sobie indywidualnego wzoru osobowości.– wysunął kontrargument Suworow, wyciągając swój głos jak z dna przepaści.

– Nie można polegać na argumencie, że oni zechcą później pokazać własne, użytkowe ciała.

– To najsilniejszy zarzut Lenistera – odpowiedział. – Wydaje się logiczne, że łatwiej można dokonać imitowania fizycznych kształtów ludzi niż podrobienia ich osobowości, w dodatku, biorąc pod uwagę trudności w komunikowaniu się, psychologowie, którzy przygotowywali profile psychiczne załogi przed lotem, dochodzą do wniosku, że są to prawdziwe kontynuacje tożsamości.

Potrząsnąłem głową.

– To nie moja dziedzina – mruknąłem. – Więc, zanim sprawdzę swój pomysł, czy mogę zadać jedno lub dwa pytania więcej?

– Jedno lub dwa! – parsknął Cassiano. – Jest pan pełen względów dla innych. Gdybym był panem, chciałbym zadać tysiąc lub dwa pytań!

Usiadł wygodniej na krześle i skinął na mnie, bym zaczynał.

– Cóż, przyjmijmy, że ci obcy w istocie zamienili ciała, ale w jakim celu to zrobili?

Siedzący obok Kamieńskiego chudy mężczyzna zdecydował się na odpowiedź.

– Nazywam się Joost van Camp, panie Drummond, uniwersytet w Leyden. Nie sądzę, byśmy się spotkali. Ach... – westchnął. – Cóż, obecnie rozważamy, czy te historie o członkach załogi statku, widzianych na Ziemi, mają jakiegokolwiek podstawy. Jest pan, zresztą jednym z zainteresowanych, jak sądzę... W tym przypadku, jeżeli przyjąć, że ci obcy nigdy nas przedtem nie zauważyli, to robią to teraz, gdy mają ciała naszej załogi i oglądają naszą planetę z pierwszej ręki.

– Wystarczająco fair – skinąłem głową. Ale czy znaczy to, że są oni życzliwi czy raczej wrodzy?

Van Camp rozłożył ręce.

– Co mamy dotychczas? Jak dotąd, nie zrobili nam żadnej krzywdy, nie licząc psychologicznego szoku, jaki musiała znieść załoga. Ale my potrzebujemy pewności, że są oni do nas życzliwie usposobieni – to może być tylko ostrożność, powstrzymanie się z powodu niewiedzy o naszych zdolnościach, być może pokrewnych z ich zdolnościami.

– Czy załoga... – szukałem następnego słowa i nie mogłem go znaleźć, a inni czekali na mnie. – ...jest zadowolona z ciał, które zostały im ofiarowane?

Tatiana Tobołkin pochyliła się do przodu.

– To jest właśnie nadzwyczajne – powiedziała. – Wygląda na to, że tak. W rzeczywistości – biorąc pod

uwagę naszą ignorancję w biologii, wyjąwszy ziemską i marsjańską – byłabym gotowa powiedzieć, że ciała zostały specjalnie tak skonstruowane, by ich posiadacze byli w pełni zadowoleni.

– Skonstruowane... – powtórzyłem w zadumie. – Ma pani na myśli to, że nie są one organiczne?

– Oczywiście, że są organiczne – uczyniła niecierpliwy gest. – Ale są pewne szczegóły, które mogą sugerować, że są sztuczne.

– Na przykład?

– Wyobrażam sobie, że wie pan, iż te stwory na „Starventure” oddychają tlenem i wydychają dwutlenek węgla, mogą jeść normalną żywność z dodatkowymi elementami śladowymi i pić wodę w zdumiewających ilościach. Wszystkie elementy śladowe, które do tej pory wyśledziliśmy przez ich występowanie w metabolizmie, są potrzebne, by podnieść zdolności ciała, a w szczególności tkanki nerwowej, włączając w to oczy, które mogą widzieć w o wiele szerszym spektrum niż obejmuje to nasz wzrok. Oni potrzebują dziewięćdziesięciu niecodziennych substancji, listę których sporządziliśmy. Bez zagłębiania się w nadmierne szczegóły czuję, że mamy do czynienia z końcową modyfikacją produktu, mającego podstawy w biologii różnej od tej, z którą jesteśmy dobrze zaznajomieni.

– Zdecydowanie innej – dodał van Camp. – Brak systemu reprodukcji.

Tobolkin żywo kiwnęła głową na znak zgody.

– Doktorze van Camp, czy zakłada pan, że jeżeli umysły załogi są w ciałach obcych, to odpowiednio umysły obcych znajdują się w ciałach załogi i spacerują sobie po Ziemi?

– Jeżeli ma pan lepiej zbudowaną hipotezę, to z radością byśmy ją usłyszeli – powiedział nieszczęśliwym głosem.

– Czy te stwory mogły przybyć z systemu Alfa Centauri?

– Nie! – Tobolkin wypowiedziała to słowo z wielkim naciskiem. – Nie, chyba że każde nagranie na pokładzie statku zostało sfalszowane, co oczywiście nie jest niemożliwe. Lądowania odbyły się – tak, jak podaliśmy w komunikacie – na dwu małych planetach, kilku satelitach i asteroidach: wszystkie okazały się jałowe. Na jednej z tych planet prawdopodobnie za kilka milionów lat rozwinię się życie, gdyż występują na niej wielkie obszary węglowych, oleistych pokładów, ale oczywiście nie występuje tam wolny tlen i planeta znajduje się dalej od swego słońca niż Mars.

– No więc skąd oni, do cholery, przybyli? Z hiperprzestrzeni?

– Ciągłe na ten temat dyskutujemy – wzruszył ramionami van Camp. – Była taka sugestia. Nie pretenduję do wyrażania opinii, bo to nie moja działka, ale oczywiście może się okazać, że nasz Kosmos jest częścią Wielkiego Kosmosu i zezwalać na procesy energetyczne, od

których zależy życie, a może być nawet bardziej wydajny dla osiedlania się życia.

Bardziej wydajny – może... Ale dziwne! Powstrzymałem się od tego, by pozwolić umysłowi wędrować po ulicy spekulacji, co nie przyniosłoby żadnych korzyści i wróciłem do pytań.

– Kiedy ostatniej nocy pokazano mi zdjęcie... Cóż, mojego brata, na pierwszy rzut oka pomyślałem, że to fotografia potwora z nieba. Czy zakłada pan, że zjawiska na niebie wskazują na to, iż obcy szukają własnego Wszechświata poprzez nas?

– Cóż, istnieje godne uwagi podobieństwo w ogólnej strukturze ciał pomiędzy potworami z nieba a obecnymi kształtami załogi – zgodził się van Camp.

– Ale w tym przypadku te stwory są kolosalne! – ciarki przeszły mi po grzbiecie. – Jak duże są te na statku?

– Mają masę zbliżoną do masy człowieka – żywo wyjaśniła Tobolkin. – Ich przeciętna waga to sześćdziesiąt trzy kilogramy.

Podczas tej wymiany zdań Cassiano zaczął wykazywać oznaki zniecierpliwienia, a teraz uchwycił szansę, by nam przerwać i zwrócił się do mnie:

– Panie Drummond, proszę wybaczyć, że przerywam, ale właśnie teraz musimy podjąć decyzję. Zapytam pana wprost, na podstawie tego, co zostało powiedziane: czy dalej jest pan gotów dla nas pracować? Chodzi o konfron-

tację z tym stworem, którego podejrzewamy, że jest pańskim bratem?

– Tak – powiedziałem w sposób tak niewzruszony, jak tylko potrafiłem; nie polegałem na doświadczeniu, ale byłem zdecydowany iść.

– I czy uważa pan, że wysłuchał wystarczająco wiele argumentów obu stron, by zachować trzeźwy umysł do momentu spotkania?

– Nie mogę na to uczciwie odpowiedzieć – odpowiedziałem po chwili. – Ale spróbuję.

Cassiano rozejrzył się wokół.

– W chwili obecnej musimy polegać na własnej dyskrekcji – zaznaczył swoją obecność. – Jest możliwe, że ten stan rzeczy nie będzie trwały i niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy, musimy być zupełnie pewni siebie, zanim śledztwo zacznie prowadzić komisja ONZ. Chciałbym, byście to sobie rozważyli, nim zaczniecie głosować.

Po chwili jednomyślnie pozwolili mi lecieć na „Starventure”.

– Dobrze, dziękuję wam. Panie Drummond, czy może się pan udać z majorem Kamieńskim? Mamy dziś w grafiku tylko jeden lot, o szesnastej trzydzieści, a pański test medyczny i sprzęt muszą być gotowe o piętnastej.

Poza Suworowem, który ostatecznie przegrał walkę ze zmęczeniem i teraz chrapał na krześle, pozostali wstali z wyrazem ulgi na twarzach.

– I powodzenia – powiedział Cassiano. – Niech to znaczy: nigdy więcej.

Kiwnąłem głową i spojrzałem na stojącego koło drzwi Kamińskiego. Usiłowałem zdecydować, co gorsze: znalezienie mojego brata, uwięzionego w ciele potwora czy też potwora, udającego mojego brata.

Obydwie możliwości wydały mi się równie straszne.

Rozdział 14

I znów dostałem gęziej skórki podczas przedstartowych badań. Zastrzyk na spalanie cukru pozostawił na krótko uczucie starego stłuczenia – to było niemiłe, ale dostałem jeszcze *decelerine-cumantinausea*, domięśniowo, nie dożylnie – to było dość dokuczliwe. Czulem się tak, jakby ukąsił mnie wyrośnięty moskit. Zapytałem Kamińskiego, po co to wszystko i odparł, że lekom trzeba pozwolić na powolne rozprzestrzenianie się i że ma to związek z wprowadzeniem nowoczesnych, wolno spalających się paliw, które podtrzymują ciężenie w organizmie podczas pobytu na orbicie.

Pod innymi względami byłem dobrze zaznajomiony z procedurą startową, bowiem sam przechodziłem to już dwa razy, a obserwowałem podczas chyba tuzina okazji i byłem kiedyś bliski napisania o tym.

Personel Kamińskiego pracował bez zarzutu. Myślę, że przede wszystkim bardzo martwili się o mnie, a mieli problemy z ostatnio wprowadzonymi teoriami naukowy-

mi. Ci ludzie desperacko potrzebowali mojej podróży na orbitę, u musiałem być wystarczająco zdrowy, by przetrzymać wysiłek. Byłem w dobrej formie fizycznej i, kiedy wróciłem do biura Kamińskiego, by usłyszeć werdykt, zastałem go z uśmiechem na ustach.

– Chciałbym, żeby wszyscy nasi specjaliści pasażerowie mieli tyle problemów, ile pan, panie Drummond przeniósł wzrok na końcowy raport. – Pański poziom witaminy B12 jest trochę za niski, więc przepisałem ją panu doustnie. Po powrocie powinien pan przebadać się kompleksowo u swojego lekarza, ale pod każdym względem pasuje pan do standardu, który obowiązuje pilotów. Co z żywnością? Czy woli pan suchy prowiant, czy raczej glukozę, podawaną dożylnie, zanim nie znajdzie się pan na orbicie, gdzie będzie pan mógł jeść znowu?

– Nie, wolę suchy prowiant.

– Więcej niż mogę zaoszczędzić – podsumował Kamiński. – Mnie smakuje to jak zagęszczona trucizna i nie obchodzi mnie, jak bardzo jest to odżywcze. Ale oczywiście lepiej jest leżeć z pracującymi kiszki, więc może dołączyć panu coś z kantyny, gdy będzie pan wyposażony? Proszę nic nie pić przed startem, dobrze? Jeżeli będzie pan musiał zwilżyć usta po posiłku, proszę wziąć kostkę lodu możliwie jak najpóźniej. Oczywiście wie pan o wypróżnieniu się, zanim zapnie pan pasy? To tyle z najważniejszych rzeczy.

Podniósł się i podał mi dłoń przez biurko.

– Powtórzę to, co powiedział panu generał Cassiano – powodzenia, ale podzielam jego pogląd, że prawdopodobnie nie znaczy to więcej, niż tylko nigdy więcej.



Po badaniach medycznych, zjedzeniu czegoś i wyekwipowaniu przeszedłem do pomieszczenia przedstartowego. Po posiłku wziąłem kostkę lodu, ale dozwolony rozmiar tego kawałka był mniejszy od końca mojego małego palca i czułem się tak, jakbym wędrował przez Saharę. Pomieszczenie zdominowane było przez dwa planetaria, ukazujące Ziemię i Księżyc oraz wszystko na orbitach wokół tych dwóch ciał. Obecnie prezentowany był ustalony punkt przestrzeni i tylko chwilę zajęło mi odszukanie „Starventure”.

W sali przebywały trzy osoby, zajęte przyciszoną rozmową; pośrodku był Cassiano, a po jego prawej stronie stał dobrze zbudowany człowiek w kosmicznym ekwipunku – był to, jak się domyśliłem, pilot promu. Po lewej stronie generała dostrzegłem ponuro wyglądającego Lenistera. Słyszając moje kroki, cała trójka odwróciła się do mnie; twarz pilota widziałem po raz pierwszy, ale uznałem go za reprezentanta Środkowej Azji – miał rysy chińskie lub japońskie i duże, lśniące oczy, ale nie to mnie zaskoczyło – najbardziej uderzyła mnie czerwień warg pilota. Byłem świadom, że wielu pilotów to kobiety,

ale osobiście po raz pierwszy miałem do czynienia z tym zjawiskiem. Cassiano przywitał się ze mną i przedstawił pilotowi, której nazwisko brzmiało Koo, Becky Koo; gdy podałem jej dłoń, poczułem mocny uścisk.

– Miło mi pana poznać, panie Drummond – powiedziała doskonałym angielskim. – Znam pana książki, w istocie polegam na nich, by utrzymać się w temacie, gdy brak mi czasu na gruntowne studia.

Wykrztusiłem coś o pochlebstwach.

– Lepiej niech się pan wykwipuje, Lenister – stwierdził Cassiano. Już prawie piętnasta i powinien pan wchodzić na pokład.

– Na Boga! Więc to już czas! – wykrzyknął Lenister, spoglądając na zegarek. – W porządku, będę gotowy tak szybko, jak to możliwe!

– Gdy odszedł, zwróciłem się do Cassiano z niemym pytaniem w oczach, a on wzruszył ramionami.

– Cóż, jest zdrowy i może lecieć na orbitę, Kamieński zbadał to przedwczoraj. Musimy wysłać pilne zamówienie tym promem i postanowiliśmy, że on też polecą. Przecież bez przerwy skarży się, że dostaje informacje do badań z drugiej ręki, więc...

– Kto tam jeszcze jest? – zapytałem. – Znam mniej więcej nazwiska tych, którzy przybyli tu, do portu – to tak, jakbym czytał „Who is who” – ale wyobrażam sobie, że nie wszyscy przeszli testy medyczne.

– To jedna z naszych największych trudności. Mamy na zawołanie najświetniejsze umysły, ale nie możemy wysłać ich wymagających naprawy ciał – Cassiano przetarł czoło dużą, zieloną chustką i roześmiał się półgębkiem ze swego chorego żartu. – Doktor Tobolkin chciałaby polecieć i jestem przekonany, że byłaby tam przydatna, ale ma słabe serce, a van Camp ma ostre zawroty głowy i wpadłby w panikę w miejscu pozbawionym ciśnienia. Tym niemniej mamy na „Starventure” wszystkich ekspertów, których mogliśmy tam wysłać, z psychologami pod kierownictwem Graubmayera i Sico oraz z fizjologami pod kierownictwem Rokossowskiego.

To mógł być tylko Iwan Pawłowicz Rokossowski, laureat nagrody Nobla sprzed dwóch lat. Wiedziałem, że oni wszyscy znajdowali się w Quito – byli na samym szczycie listy naukowców, z którymi bezskutecznie usiłowalem się porozumieć.

Czy każdy, kto przybył tutaj od chwili powrotu „Starventure”, jest teraz w porcie albo na „Starventure”? – zapytałem.

– Przeważająca większość – odparł Cassiano. – Nie może pan powiedzieć, że brakuje nam tu talentów, bowiem mówiąc bardziej obrazowo, większej ilości jajo-głowych nie mógłby pan znaleźć nigdzie indziej.



Wydawało się, że natura postanowiła, by im szybciej podróżować, tym dłużej muszą trwać przygotowania do podróży. Dwadzieścia lat po tym, od kiedy stało się możliwe wejście prosto na pokład międzykontynentalnego samolotu bez jakichkolwiek formalności poza kupieniem biletu, my teraz bez problemów przygotowywaliśmy się do wejścia na prom.

Poszliśmy posłusznie – poszliśmy dlatego, bo ktoś zapomniał naładować akumulatory elektrycznej kolejki, która normalnie zawiozłaby nas z poczekalni do promu. W rzeczywistości, w moim obecnym stanie nie obchodziło mnie, czy jadę, czy idę. Becky Koo wyprzedziła nieco mnie i Lenistera; idąc nuciła chińską piosenkę z ciekawymi, niespodziewanymi interwałami.

– Jak się pan czuje, Drummond? – zapytał Lenister, gdy przebyliśmy niemal połowę drogi.

– Mam brzuch pełen motyli – odparłem. – A pan?

– Okropnie – nieprzyjemnie zachichotał. – Po prostu myślałem, że wywrócą mi się kiszki i wyjdą tyłem. Wie pan, ja jeszcze nigdy nie leciałem w Kosmos... Pan mówił, że ma za sobą prawie sto godzin?

Skinałem głową.

– Chciałbym już tam być! – westchnął. – Kamiński napelnił mnie galonami środków uspokajających, ale ciągle się trzęsę... A przecież nie doświadczam bycia „bliskim krewnym” tych... ach, odmiennych kształtów. Jak, do diabła, może pan być teraz tak spokojny?

To było dobre pytanie; pomyślałem chwilę, nim odpowiedziałem:

– Cóż, nie akceptuję tego pomysłu na poziomie emocjonalnym. Może podświadomie jestem pewny, że kiedy tam przybędę, zastanę. Leona wyglądającego i zachowującego się jak dawniej.

– Niestety, obawiam się, że nie... Przez cały tydzień słuchałem Graubmayera, jak opisuje swoje odkrycia i... Wie pan, jak on mówi, tym swoim głosem tak ciężkim, jak zimna owsianka?

– Słyszałem go na jakimś kongresie naukowym i wiem, o co panu chodzi.

– Cóż, nie są to obrazy, które nam przysłali, fotografie i napięto–radosne transmisje telewizyjne. Wyglądają po prostu tak samo wyraźnie, jak zdjęcia modeli. Ale słuchanie flegmatycznego, trzeźwo wymieniającego te krańcowo niewiarygodne rezultaty, które osiągnął – to jest coś, co naprawdę wstrząsa umysłem – znowu zachichotał, tym razem nerwowo. – Przy tej sposobności powinienem chyba pana przeprosić, nieprawdaż? Mam na myśli najechanie na Doris Quantrell dziś rano...

– Nie potrzebuje pan – odpowiedziałem. – Był pan w zeszłym tygodniu pod okropną presją i nie można tego pominąć.

– Tak, Doris była tą ostatnią kropelką ponad miarę! Czy spotkał pan ją wcześniej?

– Tak, przeprowadzałem z nią wywiad dla mojej kolumny naukowej.

– Ja spotkałem ją tutaj po raz pierwszy. Przez wiele lat pracowałem na Sorbonie i myślę, że kilka razy bywaliśmy na tych samych kongresach, ale właściwie nigdy z nią nie rozmawiałem. Wydaje mi się całkowicie nieznośna. Zwykle nie uprzedzam się do kobiet, ale po tym, co mi Doris zrobiła, nie jestem zbyt szczęśliwy nawet z lotu w Kosmos z kobietą.

– Czy ona próbowała dostać się na „Starventure”?

– Tak, ale dzięki Bogu Kamieński odrzucił jej kandydaturę. Nie zamierzał jej powiedzieć, dlaczego, ale uporczywie nalegała i w końcu zdenerwował się. Powiedział jej wprost, że jest histeryczką i on nie zamierza odpowiadać za konsekwencje, jeżeli ona dostanie się na statek. Oczywiście, kiedy Kamieński uznał mnie za zdrowego, jej niechęć do mnie przekształciła się w nienawiść i skutki tego widział pan dziś rano.

Pokiwałem głową, ale nie odpowiedziałem. Nagle przyszła mi do głowy okropna wizja, że wszyscy kłócą się z powodu osobistych waśni, które stają między nimi a racjonalnym rozwiązaniem tej tajemnicy.



Obsługa naziemna kończyła już ładowanie skrzyń z ekwipunkiem na pokład promu; teraz ich pojazdy na baloniastych kołach cofnęły się od gładkich kształtów skrzydeł promu i do służby przysunięto ruchome schody.

Byłem zawiedziony, że muszę tak stać przez kilka minut, ale poświęciłem ten czas na obserwację udoskonaleń, które wprowadzono od czasu, gdy dwa lata temu leciałem promem kosmicznym. Jak wszystkie promy, używane w Quito – i z pewnością dziewięćdziesiąt procent używanych na Ziemi – był on typu PRR. Dziób promu skierowany był teraz pod kątem siedemdziesięciu stopni ponad linię horyzontu; zza rufy wystawały dobrze znane, podobne do butelek po coli kształty dopalaczy – tryskający z nich płomień pozwalał przepchnąć prom przez gęste warstwy atmosfery. Na wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy stóp mógł osiągnąć pierwszą prędkość kosmiczną i wyrwać się ciężarowi ziemskiemu bądź spadać przez trzydzieści tysięcy stóp, aż spaliłaby się osłona termiczna i prom osiągnąłby powierzchnię planety wyłącznie jako pył, nim jednak do tego dojdzie, zacznie działać olbrzymi silnik odrzutowy, odrzucona zostanie osłona termiczna wraz z dopalaczem i – z piskiem zbyt wysokim, by mógł być słyszalny w silnie rozrzedzonych, górnych warstwach atmosfery – prom osiągnie prędkość orbitalną i podąży na spotkanie „Star-venture”.

– Nigdy nie myślałem, że to może być takie wielkie!
– wykrzyknął Lenister, gdy oczekiwaliśmy na sygnał od człowieka, który sterował schodami.

– To jest prom klasy „S” – powiedziałem. – Około siedemdziesięciu stóp długości, waga prawie tysiąc ton bez dopalaczy.

– Fantastyczne! – gapił się do góry w kierunku odległego dziobu.

Podalem mu tyle informacji, ile mógł przetrwać – to była część mojego majątku w zawodzie, by czuć się podniekscytowanym nowinkami technicznymi i potrafić przełożyć to na papier. Ale teraz...

– Jak oni lądują? Byłem tutaj tydzień i z braku czasu nigdy tego nie widziałem.

– Przepraszam, co?

Lenister powtórzył pytanie.

– Przednia część skrzydeł przyjmuje inną konfigurację, gdy prom szybuje w dół, wytracając prędkość czterysta mil na godzinę. Po otrzymaniu sygnału z Ziemi odpalane są rakiety hamujące, a skrzydła ustawiane są w odpowiedniej pozycji – zachodzi to automatycznie, bowiem wybuchy rakiet hamujących pokrywają cały prom. Proszę oglądać lądowanie w okularach przeciwsłonecznych, a wówczas zobaczy pan czerwoną, gorejącą kulę, opadającą na port. Prom schodzi z prędkością stu dwudziestu mil i hamuje przez prawie milę.

– Brzmi niewiarygodnie – usiłował się uśmiechnąć, ale wypadło to blado.

– Nie, odbywa się to dokładnie pod kontrolą z Ziemi. Proszę się nie martwić, prom opadnie na pas startowy tak gładko, jak samolot pasażerski.

– Cóż, niech mnie cholera – powiedział Lenister, spoglądając do tyłu, na dominującą masę promu. – Nie

wyobrażalem sobie, że doprowadzili podróże kosmiczne do takiej doskonałości.

Lenister przerwał mój strumień myśli. Zastanowiłem się: tam, gdzie zwykle byłem entuzjastą, jeśli chodziło o własną mądrość, teraz stanę twarzą w twarz ze stworami, które mogły „pożyczyć” ciała ludzkie, „użyczając” ludziom innych. I potrafiły przenieść ciała, których używały, na Ziemię delikatnie jak wiatr, nie korzystając ze statku czy portu kosmicznego.

Przypomniałem sobie wymyśloną mrówkę, która właśnie dowiedziała się o istotach ludzkich.

Rozdział 15

O jednej rzeczy nikt mnie nie uprzedził – o zapachu. Uderzył we mnie natychmiast, gdy tylko zdjąłem skafander w śluzie „Starventure”. Nie był to zapach podobny do tego, jakim przesycona jest atmosfera w łodziach podwodnych, gdzie powietrze krąży w obiegu zamkniętym i jest uzdatnianie po zużyciu, choć tutaj było podobnie. Był to obcy odór: amoniak, niekompletnie utleniony formaldehyd i jeszcze wiele innych składników, których moje powonienie nie mogło rozpoznać.

Lenister, bardzo blady i kurczowo trzymający się pasów, jakby bał się wykonać jakiś ruch w stanie nieważkości, zauważył to przede mną.

– Jak w ZOO! – wykrzyknął.

– Ale nie była to prawda – to nie my podjęliśmy decyzję o sprowadzeniu tych stworów i zamknięciu ich w ogrodzonym miejscu.

– Ma pan na myśli ten smród? – zapytała stojąca w służbie dziewczyna; wyglądała i mówiła jak mieszkanka Zachodniej Afryki, ale nie raczyła się przedstawić. – Och, przyzwyczajcie się do tego po godzinie lub dwóch. Który z panów jest doktorem Lenisterem?

– To ja – odpowiedział Lenister, w dalszym ciągu jedną ręką trzymając się kurczowo pasów; w drugiej trzymał swój hełm i szukał miejsca, w którym mógłby go położyć.

Dziewczyna rozwiązała problem, biorąc od niego hełm i wrzucając go z trzaskiem do magnetycznego panela.

– Profesor Graubmayer prosił, by bezpośrednio po przylocie zaprowadzić panów do niego – powiedziała. – Tędy, proszę.

Wężowym ruchem prześlizgnęła się przez wewnętrzne wrota służby, a my ruszyliśmy za nią najlepiej, jak potrafiliśmy, bowiem nigdy nie miałem czasu, by nauczyć się poruszania w stanie nieważkości, a Lenister nigdy nie miał okazji, by choć tego spróbować. „Starventure” zawsze przypominał mi orbitalne miasto – porównywać „Starventure” z jakimkolwiek innym statkiem, zbudowanym przez ludzi, to tak, jak porównywać transatlantyk do małego samochodu. W „Starventure” mieściły się swo-

bodnie dwa statki, latające na Marsa i było jeszcze miejsce na prom orbitalny. Studiowałem plany statku, gdy pisałem o jego locie ku gwiazdom, ale nie pomogło mi to zbytnio, gdyż nie wiedziałem nawet, gdzie jest dziób „Starventure”. Wydawało mi się, że kierujemy się ku centrum statku, ale byłem w błędzie: nasza przewodniczka przeszła przez drzwi i zatrzymała się, czekając na uruchomienie śluzy, oznaczonej napisem PRZEDNIE CUMY PROMU. Za śluzą powinien znajdować się olbrzymi przedział, w którym do olbrzymich uchwytów mocowano prom, ale promu nie było.

O tym, co z nim zrobiono, dowiedziałem się później. Prom pozostawiono w przestrzeni kosmicznej i połączono z jedną ze śluz – zyskano dzięki temu więcej przestrzeni wewnątrz statku. Ludzie jedli i spali we wnętrzu promu, zaś przedział cumujący podzielili lekkimi ekranami na małe pomieszczenia i w tych przypominających pudełka pokojach zainstalowano komputery, oprzyrządowanie, pudła mikrofilmów i stosy taśm magnetycznych.

Zobaczyliśmy Elliota Milliona, informatyka, zawieszzonego głową w dół i nie przytrzymującego się niczego, ale po prostu przywiązanego kablem zasilania, który wił się za jego plecami niczym pijany wąż. Usłyszałem, jak Lenister przelyka ślinę na widok mężczyzny przy komputerze, który również zwisał głową w dół – był to Graubmayer we własnej osobie i jego głos bez wątpienia kojarzył się z zimną, gęstą owsianką.

– Jestem zadowolony, że pan to zrobił, Lenister. Czy przyprowadził pan ze sobą Drummonda? Przesuń się tak, bym mógł do nich mówić...

To ostatnie skierowane było pod adresem naszej przewodniczki, która cofnęła się pod ścianę i wyszła, zamykając za sobą drzwi pomieszczenia. Przyjęliśmy takie same położenie jak Graubmayer i obaj doszliśmy do wniosku, że w tej pozycji wszystko wygląda nieco lepiej.

– Witamy w pierwotnym chaosie – zaczął Graubmayer z odcieniem goryczy w głosie. – Usiłuję wydrukować to, co do tej pory dowiedzieliśmy się o Leonie Drummondzie, ale jakiś idiota umieścił część informacji pod złym adresem i nie mogę jej odszukać w pamięci komputera.

– Siegfried! – przeraźliwy wrzask dobiegł do nas zza najbliższego przepierzenia. – Spróbuj przebić się przez kontynuację osobowości, powinieneś znaleźć możliwość pracy na dobrym adresie!

– Dzięki, właśnie to robię! – odwrzasnął Graubmayer. – Właśnie czekam, by to wydrukować!

Zauważyłem, że na szczelinę drukarki naklejono kawałek siatki, by powstrzymać papier przed unoszeniem się. Zapaliło się czerwone światelko pod napisem INFORMACJA PRZYGOTOWANA i ze szczeliny zaczęła wysuwać się papierowa taśma.

– Więc wreszcie mamy to, na co czekaliśmy, choć powinienem mieć to już godzinę temu – westchnął Graubmayer.

Uniósł taśmę i zaczął ją studiować.

– Jest pan bratem Leona Drummonda, czy tak?

Beztrósco kiwnąłem głową, w rezultacie czego zakolysałem się do tyłu i nieco przesunąłem.

– Wiadomość z portu mówi, że przybył pan tutaj jako ochotnik. Osobiście bardzo się z tego cieszę, bo ja na pańskim miejscu nie potrafiłbym przejść przez to z zimną krwią. Jest wystarczająco źle, gdy się nawet choć trochę zna kogoś z członków załogi... Ja, na przykład, znam Chandrę Dana – wykladał przez pewien czas na tym samym uniwersytecie. Oglądałem przedstartowe charakterystyki osobowości pańskiego brata i wydaje mi się, że pan i on byliście ze sobą bliżej niż to bywa w zwykłej rodzinie. To zapewne rezultat osierocenia...

– Gdzie... – głos mnie zawiódł, musiałem przelknąć ślinę i zacząć jeszcze raz. – Gdzie on jest?

– Och, pozostawiliśmy załogę w ich własnych kabinach. Nie chcemy naruszać tego, co wypracowali sobie podczas podróży, a ponadto stabilizacja otoczenia pomaga oczywiście normalizować ich zachowanie. Oczyszciliśmy jedynie dwa promy, których używamy do magazynowania nagrań z ich powrotnej drogi – prawdopodobnie widzieliście je, orbitujące obok...

– Nie – odpowiedział Lenister i usiłował się zaśmiać.

– Nie widzieliśmy żadnego cholerstwa!

– Jak szybko będę mógł zobaczyć Leona? – naciskałem; teraz, kiedy już byłem na „Starventure”, każda chwila oczekiwania wydawała mi się nieskończonością.

– Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe! – huknął Graubmayer, odkrywając niespodziewanie, że jest po prostu zmęczony, tak jak Suworow, Lenister czy każdy, kto brał w tym udział.

Lenister zakasłał.

– Myślę, że powinniśmy załatwić to jak najszybciej – zauważył. – Będziemy tutaj tylko przez dwadzieścia cztery godziny i, jeżeli to możliwe, mamy skonfrontować pana Drummonda z jego bratem dwa lub trzy razy.

Odwróciłem się tyłem i czekałem z taką cierpliwością, na jaką mogłem się jeszcze zdobyć i słuchając, jak Lenister i Graubmayer rozmawiają ze sobą i ludźmi, którzy pojawiali się, by prosić ich o radę lub dostarczyć informacje (dzięki temu uzupełniłem sobie to, o czym dowiedziałem się od Suworowa i innych).

Zmiana fizyczna – zakładając, że właśnie to zaszło – mogła zaistnieć wcześniej, niż powiedział Suworow. Załoga była przyzwyczajona do chodzenia nago, co zresztą nie było żadnym zaskoczeniem, bowiem załogi statków, latających na Marsa rzadko zakładały coś na siebie, gdyż na pokładzie statku kosmicznego łatwiej jest utrzymać w czystości własną skórę niż ubranie. Ów zwyczaj na „Starventure” mógł w konsekwencji nie zdradzić im tego, co się stało, do momentu, gdy zostali zmuszeni do świa-

domowej próby założenia skafandrów, co miało miejsce w momencie przybycia na pokład ludzi z holowników. Do tej pory o niczym nie mieli pojęcia – ciekawa forma ślepoty, która powstała w umyśle każdego z nich, była najbardziej spektakularnym efektem całej zamiany.

Suworow powiedział, że „nowe” ciała posiadały zdolność mowy. Nie było to dokładnie prawdą. Niektóre z ciał mogły generować oraz wykrywać dźwięki w zakresie wyższym, niż używanym przez ludzi, wyższe niż piski nietoperzy. Konwertery dźwięku dostarczono kilka dni temu, a jeszcze więcej przywiózł nasz prom, więc problem komunikowania się został na razie rozwiązany.

Skłaniało mnie to do zastanowienia się nad niekonsekwencją, która trapiła mnie już wcześniej: powiedziano mi, że niektórzy członkowie załogi próbowali powitać grupę z holowników, którzy odkryli ich w śluzie, co nie byłoby możliwe, gdyby nagle dostrzegli, że nie są w stanie mówić. Poza tym jeszcze jedno: jeżeli mogli mówić, to dlaczego kontynuowali transmisję kodu, zamiast użyć radiostacji, gdy znaleźli się w zasięgu holowników. Ta sprzeczność pozostawała na razie poza zasięgiem mojego zrozumienia.

Byłem na bieżąco w kilku dziedzinach nauki: w fizyce, chemii kosmicznej, ale w psychologii miałem poważne braki, co odkryłem podczas pracy nad książką, którą rozpocząłem rok temu i ciągle nie dostarczałem wściekłemu z tego powodu wydawcy. Tymczasem wszyscy tu-

taj operowali takimi pojęciami, jak czynnik Durmana, iloraz phi. zmiana krzywej wyznacznika badań, a ja miałem raczej słabe pojęcie o tym, co kryje się pod tymi terminami.

Jakaś młoda kobieta przybyła z torbą pełną naczyń z gorącą kawą. Dotarł do nas Rokossowski, który przybył z przycumowanego promu, gdzie pracował nad fizjologicznymi aspektami problemu, a teraz chciał przedyskutować kwestie sporne z Graubmayerem; powiedziano mu, kim jestem, uśmiechnął się i zapomniał o mnie w chwilę potem.

Alvarez Sico, szczupły, przystojny Meksykanin, który wyróżniał się swoimi włosami (widziałem go na jednym z międzynarodowych kongresów naukowych – był to sposób, dzięki któremu poznałem najwięcej naukowych notabli), został wezwany, by doradzić formę pewnych pytań podczas mojego spotkania z Leonem. Stopniowo luźne pomysły krystalizowały się w postaci konkretnego planu.

Wreszcie Graubmayer odezwał się bezpośrednio do mnie:

– Mamy pewien problem – zaczął. – Chcemy, by warunki spotkania z pańskim bratem były jak najbardziej normalne, ale jednocześnie chcielibyśmy wyciągnąć z tego maksimum informacji. Chcielibyśmy, oczywiście, aby poszedł pan do jego kabiny tak, jakby wszystko było normalne, po prostu zapukał do drzwi i wszedł, ale to niestety niemożliwe. Zamierzamy udostępnić na to spotkanie

jedno z dużych pomieszczeń, gdzie wystarczy miejsca na zainstalowanie naszego sprzętu. Sico chciałby ozdobić pana przewodami i terminalami, ale sprzeciwiłem się temu i zgodziliśmy się na kompromis: będzie pan obserwowany przez cztery kamery. Jeżeli nie wyrazi pan sprzeciwu, będę obecny razem z panem, a Lenister i Sico będą nas obserwowali, a następnie porównamy te materiały z nagraniami, które zarejestrowały ukryte kamery w kabinach załogi. Dzięki temu sprawdzimy, czy występują jakiegokolwiek rozbieżności w zachowaniu pańskiego... hmm... brata. Jest znikoma szansa – ale przecież jest – że badamy obcych, którzy udają, że posiadają ludzkie umysły. Jeżeli tak jest naprawdę, to od razu możemy zrezygnować, bowiem ich psychologia pozostawałaby całkowicie poza zasięgiem naszego pojmowania.

Odczuwałem straszliwą obawę.

– Jak szybko będziecie gotowi?

– Przygotujemy się od razu – Lenister wzruszył ramionami. – Graubmayer, jak myślisz, co będzie najbardziej odpowiednie?

– Powinien to być pokój do ćwiczeń – odpowiedział Graubmayer. – Jest całkowicie oprzyrządowany, używaliśmy go do ćwiczeń fizycznych i testów psychologicznych. Dzięki Bogu, jest tam wystarczająco wiele wejść, by można było podłączyć konwerter dźwięku i nasze kamery. Wydaje się panu, panie Drummond, że oczekujemy, iż pański brat będzie mógł mówić prosto do pana?

- Tak.
- Dobrze. Zatem proszę tędy.

Musiałem wytrzymać jeszcze chwilę i dotarliśmy do pokoju do ćwiczeń, czystego pomieszczenia ze ścianami wyprofilowanymi tak, by można było wykonywać opracowane do warunków nieważkości ćwiczenia. Przyrzędy do ćwiczeń, na których dla zachowania formy każdy członek załogi powinien spędzić co najmniej pół godziny dziennie, zostały usunięte. Technicy zajęci byli teraz montażem szerokokątnych kamer, konwertera dźwięku i innego sprzętu; zobaczywszy Graubmayera, jeden z techników odwołał go na bok i zaczęła się dyskusja na temat magnetofonów kasetowych, z których dochodzi hałas, podobny do stada kwilących świń. Naraz udało mi się rozpoznać wybitnie zniekształconą wersję „Mary miała małe jagnię” – potwierdziło to widocznie optymizm Graubmayera co do możliwości porozumiewania się z Leonem, zacierał bowiem ręce, gdy wrócił do mnie.

Jesteśmy gotowi, by posłać po pańskiego brata, panie Drummond – powiedział. – Nie podaję panu żadnych specjalnych sugestii co do tego, o czym pan chce z nim rozmawiać, nie mam nawet takiego zamiaru. Zakładam, że mogę sobie wyobrazić analogiczną sytuację: długa separacja i fizyczne przekształcenie, gdzie zmuszony jestem usatysfakcjonować siebie identyfikując kogoś, kto głosi, że jest moim bratem. Więc proszę tylko, że tak długo, jak długo będzie pan miał najmniejsze podejrzenia, że twier-

dzenie to jest fałszywe, proszę się kontrolować i zachować spokój. Przerwę zrobimy po godzinie, jeśli pan sam nie zrobi tego wcześniej.

Zaczynałem się trząść.

– Czy weźmie pan to pod uwagę, panie Drummond?

Jeden z techników podał mi słuchawkę douszną na długim, elastycznym przewodzie; wziąłem ją, spojrzałem, z czym jest podłączona i dostrzegłem, że przewód biegnie do konwertera dźwięku, po czym włożyłem słuchawkę do ucha.

– Proszę nie oczekiwać, że usłyszysz pan znany sobie głos — ostrzegł mnie Graubmayer. – Może nie być żadnego podobieństwa, gdy pasmo zostanie tak drastycznie obniżone, ale inżynierowie zapewnili mnie, że każdy dźwięk zostanie przetworzony tak wiernie, jak tylko będzie to możliwe.

– Tak, jestem wdzięczny.

– Dobrze. Lenister, czy ty i Sico idziecie już do monitorów? A reszta wynocha stąd tak szybko, jak tylko się da!

Sala opustoszała. Unosząc się w powietrzu, w ciszy przerywanej uderzeniami mego serca, czekałem na przybycie Leona-potwora-Drummonda.

Rozdział 16

Być może nie byłbym tak zdrtwiałą z przerażenia, gdybym uważniej przyjrzał się fotografii, którą pokazał mi Suworow (mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu czy to możliwe?). Ale fotografii nie przyglądałem się zbyt długo i pamiętałem z niej tylko wrażenie nieokreślonego horroru, na który nakładała się wizja potwora, patrzącego z góry na Quito.

Drzwi na końcu sali ćwiczeń otworzyły się. Zdziwił mnie wdzięk jego ruchów – nie mogłem sobie wyobrazić, jak taki stwór może się poruszać. Byłem tak zaskoczony, że zacząłem myśleć: „Dlaczego? To raczej przystojna bestia!” Czarny, okryty czymś w kolorze połyskującego, jasnego kobaltu, co kojarzyło mi się z pancerzem tropikalnego żuka, przepchnął się przez drzwi rytmicznym ruchem wielu... Nóg? Macek? Ilu? Dostrzegłem sześć i to znowu przywiodło mi na myśl żuka, ale reszta ciała nie była owadopodobna, więcej, była raczej podobna do księżycowego transportera, wspaniale skutecznej maszyny, skonstruowanej z myślą o transporcie ładunków na długich dystansach poprzez skaliste pustynie Księżyca. Tak, rzeczywiście, ten stwór kojarzył mi się z dobrze zaprojektowaną maszyną. Gdy ten zadziwiający kształt znalazł się w sali mogłem zobaczyć, jak już po sekundzie kończyny zostały ułożone na ciele, a mimo to ciało zachowało płynność ruchów; kończyny nawet przy braku grawitacji sugerowały znaczną siłę bez nadmiernej wielkości. Przez chwilę pomyślałem o tym, co sugerowała Tatiana Tobo-

kin, że mogą to być ciała sztuczne, ale jeżeli miała rację, to ten, kto je robił, był geniuszem.

Miał oczy, ale nie były umiejscowione dokładnie na głowie; to, do czego przymocowane były odnóża, także nie można było precyzyjnie nazwać ciałem. Można byłoby to nazwać *thorax*, środkowa część ciała owada, ale to znowu przenosiło nas w świat owadów, postanowiłem zatem nazywać to *torso*, czyli ciało bez kończyn i głowy. Oczy różnił się od oczu potwora znad Quito i ten fakt w jakiś dziwny sposób mnie zaskoczył; miały kolor niebiesko-zielony, a poza tym przypominały ludzkie oczy z czarnymi, ruchliwymi źrenicami. Dziwaczne frędzle wąsów, zwisających poniżej oczu i od przedniej krawędzi każdej kończyny ukrywały wiele szczegółów powierzchni; wąsy były miękkie i miały jaśniejszą barwę niż reszta ciała.

Ten podobny do owada stwór, poruszający się z precyzją maszyny, wpłynął do sali, chwytając się framugi drzwi tylnymi kończynami. Usłyszałem głos, który wcale nie przypominał głosu Leona pod względem barwy, ale poza tym był podobny, jeśli wziąć pod uwagę akcentowanie końcówek i intonację.

– Na miłość boską, Wielki Brat we własnej osobie!

Byłem tak zdenerwowany, iż obawiałem się, że głos mi się załamie; wziąłem się w garść, pamiętając instrukcje Graubmayera, bym zachowywał się tak naturalnie, jak tylko będzie to możliwe.

– Co ty, do diabła, ze sobą zrobiłeś? Nigdy nie widziałem cię w bardziej zawszonym kształcie!

Odepchnął się od framugi i podплыnął bliżej, kontrolując swój lot precyzyjnymi dotknięciami sprzętu, przy-mocowanymi do... cóż, do podłogi.

– Oczywiście ostrzegli cię, czego masz oczekiwać? – zauważył trzeźwo. – Mnie nic nie powiedzieli, nie wiedziałem nawet, kto na mnie czeka, dopóki nie przeszedłem przez drzwi... Czy pokazywali ci zdjęcia?

Kiwnąłem głową.

– To najbardziej niewiarygodna, niemożliwa, nadzwyczajna rzecz?

Podciągnął swoje przednie kończyny tak, że klasnęły o siebie końcówkami. W ludzkim ciele uderzyłby swoją prawą pięścią w lewą dłoń, stare przyzwyczajenie Leona – robił tak zawsze, gdy nad czymś pracował.

– Słyszalesz, że zrobiono to tak szybko, iż nie zauważyliśmy zamiany, dopóki nie przybyła na pokład grupa z holowników i mogliśmy się z nimi porównać?

– Powiedzieli mi o tym, ale trudno sobie wyobrazić, jak to możliwe. Oczywiście czujesz różnicę?

– Nie, wcale i to jest najbardziej szalona część tego wszystkiego – głos w mojej słuchawce był poważny, oficjalny. Spójrz, mam dodatkową parę kończyn, jestem świadomy tego faktu, patrzę na ciebie i Graubmayera, liczę i widzę różnicę. W dodatku nie mogę uchwycić braku ciągłości pomiędzy starym ciałem i obecnym! Te środ-

kowe kończyny – pomachał nimi – są zarówno rękami, jak i nogami, w zależności od potrzeby i mieszczą się w mojej pamięci tak gładko, że czasami jestem zmieszany, myśląc o przeszłości, pamiętając, że czasami wykonywałem prace, przy której korzystałem z dodatkowej pary rąk! Muszę sobie przypominać czasy, gdy ich nie było! David, mogę rozpoznać twoje uczucia: usiłujesz udawać, że nic nie wprawia cię w zakłopotanie. Cóż, niech to cholera! Twoje oczy mówią ci, że nie ma nic wspólnego między stojącym przed tobą obiektem a Leonem, do którego byłeś przyzwyczajony. Mam rację?

– Wiesz, że masz – odpowiedziałem.

Poruszył się bezradnie; nie mogło to być wzruszenie ramionami, bo jego kończyny nie pozwalały na to, ale niosło tę samą wiadomość.

Nie winię cię za ten sceptycyzm. Zaraz po tym, jak pokazali się faceci z holowników, kiedy po raz pierwszy zrozumieliśmy, co się stało, niektórzy z nas omal nie zwariowali mówiąc, że ludzie mogą... hmm... najpierw strzelać, a potem pytać... Cóż, w końcu daliście nam dobrodziejstwo powątpiewania. Płacz jest jedną z rzeczy, jakich te ciała nie potrafią, ale w przeciwnym razie utonęlibyśmy w potoku łez. Ale teraz tym, co doprowadza nas do szału, jest usiłowanie zmuszenia nas do myślenia w ten sposób, byście uwierzyli, że jesteśmy tymi, którymi jesteśmy.

Spojrzałem na Graubmayera – zachowywał odległość dziewięciu stóp, a jego twarz była jak wykuta w granicie.

– Czy spotkałeś lub widziałeś istoty, odpowiedzialne za twoją przemianę? – zaryzykowałem.

– Nie widzieliśmy do teraz – widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił: – Rodzaj sylwetki, wyrytej na tle czerni nieba. Czy są one widoczne z powierzchni Ziemi?

Nikt mi nie powiedział, że potwory z nieba można obserwować również z orbity; powiedziałem o tym Leonowi – roześmiał się. Ten dźwięk był zbliżony do ludzkiego, nawet po przetransponowaniu przez konwerter.

– Masz ten sam problem, co i my? Nie mówią ci wszystkiego! To najdziwniejsze uczucie, wiesz, obserwować jednego z nich i pamiętać, że to także twój obraz!

– No, cóż...

Kątem oka zauważyłem zdumienie na twarzy Graubmayera. Mój brat-potwór był szybszy.

– Mahi! – krzyknął.

– Maho! – aż podskoczyłem.

– *Ma-rumpsi pommadiddle mithat nithot heebo ibo wallahwallah sevnik!* – kontynuowaliśmy już chórem.

Przerwa, potem chichot.

– Dobry Boże, prawie o tym zapomniałem! Nie mogłem mieć więcej niż sześć lat, gdy nauczyłeś mnie recytować tę kupę bzdur!

– Coś koło tego – powiedziałem ostrożnie. – Czy to nie było na huśtawce w domu w Fairwood, pod jabłonią?

– Nie, na pewno nie! Nie mieliśmy huśtawki w Fairwood – mieliśmy jabłoń, ale bez huśtawki. To było w Posquahannet. Czy pamiętasz mewy, które przylatywały do ogrodu, kiedy wiał wiatr od morza?

Pamiętałem to doskonale i w istocie on też, skoro powiedział to wszystko tak, jakby czytał w moich myślach.

– Niezła próba, David, ale nieskuteczna – powiedział ze śladem goryczy w głosie. – Pamiętam wszystko, co pamiętałem w moim starym ciele, wszystko, co mogę odkryć ja i psychologowie. I do diabła z tym, czuję się teraz cholernie normalnie! Oczywiście, przez chwilę byłem nieźle skotłowany, ale kto by nie był, gdyby mu się coś takiego przytrafiło? Ale i tak nie trafiło mnie tak, jak Chandrę Dana. Powiedzieli ci o nim? Muszą przetwarzać komputerem wszystko, co do niego mówią, ponieważ on żyje według innego upływu czasu.

Kiwnąłem głową, nie mogąc ufać swojemu głosowi.

– Ale nawet on doszedł do siebie, rozmawiałem z nim przed chwilą.

Desperacko walczyłem, by wymyśleć jakiś bezsporny dowód jego tożsamości. Poprzednio nie przeszedłem w moich analizach problemu poza wspomnienia z dzieciństwa; przede wszystkim osobowość jest sumą świadomego i nieświadomego zapamiętywania doświadczeń.

– No, to powiedz mi coś o podróży – powiedziałem na chybił–trafił i poczułem załazek świeżej idei, co kaza-

ło mi wymówić te słowa. – Nie mam na myśli „pojechaliśmy, zobaczyliśmy, wróciliśmy”, to wszystko mogę mieć, ale jak się mają – na przykład – nasze przypuszczenia o subiektywnych efektach podróży powrotnej do rzeczywistości. Ekscytowało cię to, gdy wyruszyliście.

– Nawet w połowie nie tak, jak ty byleś podekscytowany siostrą Hermanosa Iglesiasa – podsumował mnie sucho.

Biedny Hermanos, jest jednym z najbardziej dotkniętych, gdyż jest silnie związany z rodziną i choruje na myśl o tym, że musi przebywać na statku, gdy podróż się już zakończyła. Czy mogę mu powiedzieć, że jego siostra jest cała i zdrowa? Jak ona miała na imię? Carmen, prawda?

– Cóż, tak... – odpowiedziałem. – Z tego, co wiem, to u niej wszystko w porządku.

– Czy ona wie... o nas?

Zawahałem się, ale nie miałem podstaw, by kłamać i przytaknąć.

– Biedna dziewczyna! Jeżeli jest podobna do Hermanosa, przeżywa to dużo mocniej niż ty, zimna rybo! Rozmawiałeś z nią później?

– Ostatniej nocy... Eee... To znaczy około dwudziestu czterech godzin temu... – ton mojego głosu zdradzał więcej uczuć niż zamierzałem ujawnić.

– Proszę, proszę, to brzmi tak, jakbyś nigdy jej nie zdominował! – zachichotał. – Samotny wilk Dave dograł się! Teraz powiesz mi, że myślisz tylko o małżeństwie!

– W istocie myślę – przytaknałem. – Chociaż jeszcze nie wiem, czy ona też...

– Cóż, mam nadzieję, że powie tak i będziesz bardzo szczęśliwy, tak szczęśliwy, jak to jest możliwe w tym nowym, szalonym Wszechświecie! Dla nas seks i małżeństwo nie ma teraz żadnego znaczenia. O czym rozmawialiśmy, zanim urocza panna Carmen weszła na scenę?

Pod maską swawolności wykryłem nutę tłumionej złości, która przedarła się nawet przez konwerter dźwięku, nutę, która pojawiła się w jego głosie, gdy mówił o seksie i małżeństwie jako o sprawie bez znaczenia. To był problem, który mogłem przekazać psychologom, ale teraz musiałem zmienić temat.

Ach, o subiektywnych efektach poruszania się w hiperprzestrzeni – posłał mi spojrzenie, które – gdyby było ludzkie – mogłoby być chmurne, podejrzliwe. – Nie będziesz cytował moich pomysłów każdemu, prawda? Nie umieścisz ich w jednej ze swoich błyskotliwych, ale powierzchownych książek? Miałoby to diabelne znaczenie, gdyby moje przypuszczenia podać społeczeństwu! Cóż, co do podróży... Statek pozostał statkiem, my pozostaliśmy sobą aż do ostatniej wizyty – dodał kwaśno. – Krótko, moje doświadczenia z hiperprzestrzeni mogą zostać podsumowane stwierdzeniem, że jest to zwykły Kosmos, tylko trochę inny. Trudno mi to wyjaśnić komuś, kto tam nie był, ale mogę podsunąć ci pomysł, jak paradoksalna była sytuacja, gdy mówiło się, że to wygląda

tak, jakbyśmy zamierzali rozpatrywać nasz wypracowany przez Einsteina obraz świata jako skomplikowany przypadek tradycyjnej przestrzeni euklidesowej! Niezły orzech do zgryzienia, jak przedstawić to ludziom. Zanim poleciliśmy, myśleliśmy o hiperprzestrzeni jako o szczególnym rodzaju fenomenie „gdzieś tam”. Od teraz skłonny jestem wierzyć, że mamy normalny Kosmos jako „gdzieś tam”. Cóż, teraz musimy się z tym pogodzić... Jeżeli odrabiałeś jakieś prace domowe z matematyki, gdy mnie nie było, może mogę pokazać ci, o co chodzi... David, czy coś się stało?

Musiałem być blady jak trup i z pewnością byłem mokry od potu, ręce mi się trzęsły. Nie potrafiłbym tego wyjaśnić, w jaki sposób doszedłem do tego wniosku, ale tak właśnie było i czułem się z tego powodu lekki i szczęśliwy.

– Do diabła, ty jesteś moim bratem! – powiedziałem.
– Nie wiem, jak to możliwe, ale nie jesteś nikim innym w tym zapłutym Wszechświecie, tylko Leonem Drummondem!

Rozdział 17

Po tym, co powiedziałem, musiałem bez przerwy udzielać wyjaśnień: Graubmayer, Sico i Lenister, wszyscy

pytali razem lub oddzielnie, a wszystko, co mogłem powiedzieć, to to, że byłem przekonany, że jest to mój brat. Ciągle wracałem do tego, co powiedział Graubmayer – że Leon i ja byliśmy o wiele bardziej zżyci niż większość rodzeństw. Bez przerwy oświadczałem, że mógłbym zamknąć oczy i zapomnieć o niebiesko–czarnym stworze, stojącym przede mną, by mieć pewność, że to Leon. To, co mogłem zdefiniować, co rozstrzygało sprawę, to było porównanie ze stylem autora. Tak, jak doświadczony krytyk może powiedzieć po usłyszeniu kilku wersów, że są dziełem takiego to a takiego pisarza, tak samo ja musiałem przyznać, iż ten stwór jest moim bratem, bowiem zmiana fraz, mała maniera podkreślania i wahania nie mogło należeć do kogoś innego. A oni ciągle mnie3 męczyli, aż w końcu nie mogłem znieść dłużej ich pytań i wybuchnąłem:

– Na litość boską! – krzyknąłem. Co oznacza to pytanie, czy jest to naprawdę mój brat? Jeżeli istnieje jakiś rodzaj superistoty, która może wystarczająco dobrze udawać go, by mnie przekonać, to porównując się ze światem zwierząt nie jesteśmy niczym lepszym od owadów i musimy nauczyć się żyć z tym faktem!

Zachmurzyli się.

Używałem podobnych argumentów, ale nie mogę znaleźć ludzi, którzy by się ze mną zgodzili – powiedział wreszcie Lenister. – Albo dumnie się buntują, albo dochodzą do wniosku, że te superistoty muszą być wrogie,

jak ta okropna baba Quantrell. Ja myślę, że oni są ciekawi... Być może, jesteśmy dla nich mrówkami, ale wątpię, by uważali, że warto wtrącać się do naszych spraw.

– Jeżeli nie staniemy się dla nich dokuczliwi... – Sico powiedział to martwym głosem pozwalając, by jego sugestia dojrzała w naszych umysłach.

– Tak. zatem porównanie nie może odnosić się do mrówek, ale na przykład do korników lub wołków zbożowych – Lenister przetarł okulary leniwym ruchem. – Skąd możemy wiedzieć, co jest uznawane za dokuczliwe przez umysły tego rodzaju?

Im więcej dowiadywałem się o tym nowym, zwariowanym Wszechświecie, tym mniej mi się to podobało.

– Ich moc mnie przeraża -mruknął Graubmayer. – Pomysł, że zaglądamy do naszego Wszechświata ze swojego – jeżeli to jest to, co robią – jest fantastyczny!

– Czy coś z tego ma dla pana jakiś sens, panie Drummond? – zapytał Lenister.

– Sens? – powtórzyłem. – Nie, ale widzę łańcuch przyczyn, który może wyjaśnić to, co się stało. Być może pierwszy, próbny lot w hiperprzestrzeni był powodem zwrócenia uwagi na nasz Wszechświat, tak jak dostrzeżenie myszy, przebiegającej po podłodze w kuchni. Kiedy „Star-venture” wtargnął do ich przestrzeni, zaczęli go obserwować. Może studiowali go podczas lotu do Alfa Centauri, zbierali informacje, a w drodze powrotnej, kie-

dy znajdował się już blisko Ziemi, mogli... Cóż, pożyczyć ich ciała.

– Tak, doszliśmy do mniej więcej takich samych wniosków – zagrzymiał Graubmayer.

– Zatem musimy zlokalizować ciała załogi na Ziemi!

Spocilem się na myśl, jak łatwo jest w przeciągu tygodnia rozsypać sześćdziesiąt osób po kontynentach Ziemi.

– Oczywiście! – krzyknął Sico. – Ale zdaje pan sobie sprawę, że nie zostaliśmy bezzwłocznie poinformowani o pojawieniu się członków załogi na Ziemi! Nie powiedziano nam nawet o tym, że widział pan swojego brata, zrobiono to dopiero po trzech lub czterech dniach!

– Ale ja nie robiłem z tego tajemnicy! – broniłem się.

– W rzeczywistości byłem tak przerażony, że poszedłem prosto do biura prasowego ONZ. Teraz podjęto już pewne działania, by sprawdzać te historie.

– Bogu dzięki! – ucieszył się Sico. – Kto się tym zajmuje?

– Mój kolega, Brian Watchett. Zaofiarował się ostatniej nocy i wziął na siebie odpowiedzialność za te poszukiwania... – zawahałem się, ponieważ wymówienie tego było tak niesamowite. – ...ciała załogi.

– Kiedy je wytropimy... – ponuro powiedział Graubmayer. – Nie, nie lubię myśleć o tym, co możemy znaleźć w środku.



Były jeszcze dwie konfrontacje z Leonem, trwające nieco dłużej niż pierwsza, a dla nas obydwu jeszcze trudniejsze do wytrzymania. Od kiedy stwierdziłem z całą pewnością, że to na pewno Leon, świadomość, iż jest schwytyany w pułapkę sztucznego, nieludzkiego ciała przez jakąś stojącą niewiarygodnie wysoko supernaukę, była nieznośna. A dla niego było niewypowiedziane frustrujące widzieć, że chociaż przekonał mnie co do swej tożsamości, to ja z kolei nie mogę przekonać psychologów.

Byłem tak wyczerpany po drugim spotkaniu, że poprosiłem o parę godzin snu i wyznaczono dla, mnie zapasową kabinę na pokładzie jednego z promów. Spałem już wcześniej w Kosmosie i nie dręczyły mnie sny o spadaniu, które często budzą nowicjuszy i powodują zmęczenie, ale zmusiłem się do zażycia pigułki nasennej, ponieważ za każdym razem, gdy tylko zamykałem oczy, widziałem Leona w jego ludzkiej postaci.

Przed trzecim spotkaniem Sico i Graubmayer zestawili listę pytań, które niepostrzeżenie miałem włączyć do rozmowy. Jak mogłem się zorientować, usiłowali dowiedzieć się, czy w nowym ciele Leona zmiany osobowości były subtelniejsze niż można było wykryć podczas zwykłej rozmowy. To miało sens, szczególnie od momentu, gdy Leon stwierdził podczas opowiadania o zamianie, że nie czuje żadnej różnicy w stosunku do dodatkowej pary kończyn.

Graubmayer uważał jednak za najbardziej znaczące słowa Leona o seksie. Aby zredukować ryzyko emocjonalnych tarć pomiędzy załogą „Starventure”, potrzeby seksualne zostały wytłumione przez środki uspokajające i hormonalne i w konsekwencji każdy członek załogi miał nadzwyczaj niski wskaźnik zainteresowania seksem. Ale przecież farmakologia likwidowała zjawisko tylko powierzchownie, głębiej musiało się coś dziać. Jeżeli oni byli kiedykolwiek członkami energicznego, biseksualnego gatunku, argumentował Graubmayer, to udawali, by to pomniejszyć... Zerowe zainteresowanie, przypomniałem sobie słowa Leona i wzdrygnąłem się.

Linia postępowania Sico była zbieżna z linią Graubmayera, ale dotyczyła zasadniczo obecności tendencji agresywnych. Wywnioskowałem, że przeanalizował portrety psychologiczne załogi i obliczył w przybliżeniu moment wybuchu. Załoga statku zamiast powitania w glorii bohaterów, była trzymana w charakterze efektywnych więźniów musiało to działać im na nerwy, a Sico miał nadzieję odkryć, czy ich punkt załamania odpowiada jego przewidywaniom, czy posiadli – być może – nie-ludzką cierpliwość poprzez wyłączenie ośrodków agresji, czy też przejawiali wrogi stosunek do tego, co się z nimi dzieje i w końcu wybuchną. Miałem nadzieję, że nie będzie mnie na pokładzie, gdy objawią się rezultaty jego przewidywań. Jak dotąd, przyznał, nie był w stanie odróżnić melancholijnej cierpliwości od apatii, zgodnej z

następstwami szoku. Większość załogi, tak jak Leon, była zbyt cierpliwa, by móc zdobyć się na definitywne wnioski.



Byłem osłabiony, gdy nadszedł czas odlotu promu, Lenister z kolei wychodził z siebie, by nie żebrać o pozwolenie na dłuższy pobyt. Były dwa powody, dla których niechętnie się powstrzymywał: ograniczone możliwości nie pozwalały na prowadzenie trzeciego tak wyszukanego programu, jak zakładały to plany Sico czy Graubmayera, a i oni potrzebowali wystarczająco dużo pomocy, by zająć prawie wszystkich obecnych na orbicie, a po drugie ktoś musiał analizować dane, gromadzone na „Starventure”, na lepszym komputerze niż ten, który mógł być przetransportowany na orbitę. Lenister stwierdził też, że już po jednym dniu pobytu na orbicie ma tyle materiału, że zapewni swojemu personelowi na dole pracę na tydzień.

Poszedłem do służby tak wcześnie, jak to było możliwe i włożyłem skafander. Zastanawiałem się, czy nie pożegnać się z Leonem, ale nasze trzecie spotkanie było tak męczące dla nas obydwu, że zdecydowałem się tego nie robić. Wisząc w korytarzu prowadzącym do służby, niecierpliwie czekałem na przybycie Lenistera, bowiem razem mieliśmy przejść na prom.

Nagle usłyszałem tumult i strumień ludzi wylał się z rękawa, łączącego prom ze statkiem i przetoczył przez korytarz; biegnący mieli pobladłe twarze. Cofnąłem się, by zejść im z drogi, gdy usłyszałem krzyki z przeciwnej strony korytarza, a sygnał alarmu spowodował, że ruszyłem wraz z innymi. Przebyłem korytarzem około pięćdziesięciu stóp i dotarłem do miejsca, gdzie połączyły się obie grupy – staliśmy przy rozgałęzieniu korytarza prowadzącego do śródkręcia przy jednym z iluminatorów. Patrząc za siebie, zobaczyłem następną, sześćoosobową grupę podekscytowanych ludzi z Rokossowskim na czele; odwróciłem się i zacząłem przepychać do iluminatora. Nie miałem okazji, by spytać, co się stało, ale gdy uzyskałem pole widzenia, już wiedziałem.

Pośród czerni Kosmosu, na tle konstelacji Argo widoczny był potwór, podobny do Leona, do potwora nad Quito, z Santadonny, ale jednocześnie różny od poprzednich. Pierwszą różnicą był kolor: był bardziej zielony i miał tylko kilka małych, czarnych i jakby pustych obszarów, które emanowały ultrafioletem. Poraziła mnie nagła myśl, że stwory te mogą łatwiej, niż nam się wydaje przybywać do naszego Wszechświata i zadrzałem na myśl, jak ogromne fale energii przebyły to fantastyczne okno, które otworzyli w Układzie Słonecznym. Zanim zobaczyłem coś więcej, iluminator przesłoniły sylwetki innych; rozpychając się w gmatwaniu rąk i nóg, klębią-

cych się w powietrzu, gdzie każdy walczył o pole widzenia, usiłowałem przedostać się bliżej.

Autorytatywny głos – nie wiem, czyj – zażądał wprost, by, każdy, kogo to nie dotyczy, odsunął się, a szum oznajmił włączenie automatycznych kamer (wszystkie iluminatory „Starventure” były wyposażone w aparaturę do rejestracji w całym zakresie spektrum promieniowania). Cicho i posłusznie ludzie odsunęli się, pozostawiając drogę dla grupy techników, nadpływających do obsługi urządzeń. W tej naglej ciszy wyraźnie i głośno usłyszeliśmy głos z systemu wewnętrznej łączności:

– Raport z Ziemi! Obserwacje optyczne nic nie dają, powtarzam – nic, we wskazanym obszarze niczego nie zaobserwowano. Czujniki podczerwieni i ultrafioletu oraz radioteleskopy uruchomiono i zostaną nakierowane na nas tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Wokół siebie dostrzegłem szeroko otwarte ze zdumienia oczy i usta, ale twarze miały zdecydowanie ponury wyraz. Cóż mogło tam być, niematerialne, jakby namalowane mydlanymi bańkami na tkaninie Kosmosu? Ten potwór, którego paszcza mogła się otworzyć i pochłonąć „Starventure” tak, jak ropucha pożera muchę, z upływem czasu zaczynał blednąć. Kiedy zniknął zupełnie, głos z wewnętrznej sieci zahuczał ponownie:

– Wszystkie raporty z naszej strony Ziemi negatywne. Powtarzam: negatywne. Z dołu niczego nie wykryto.

Ruszyłem w kierunku śluzy i, gdy tam wreszcie dotarłem, stanąłem twarzą w twarz z Lenisterem.

– Powinniśmy przejść na prom – powiedział. – Czas ruszać.

– Tak – powtórzyłem po nim. – Czas iść.

Rozdział 18

Powrotny lot przeminął jak sen; ani jęk powietrza wokół kadłuba promu w momencie wkroczenia w atmosferę, ani sposób, w jaki znikął świat w strumieniach ognia, wyrzucanych z dziobowych hamownic – nic nie mogło przerwać nastroju, w jakim się znajdowałem. Byłem samotny i wypalony. Dopiero po wylądowaniu, gdy bezmyślnie wsiadłem do elektrycznej kolejki, która tym razem na nas czekała, powróciłem do rzeczywistości. Moje ponure rozważania przerwał widok Briana Watchetta, stojącego przed kopułą planetarium.

– Brian! – zawołałem, biegnąc w jego kierunku. – Czy masz jakieś wiadomości od Carmen?

– Kogo? – zapytał, a mnie serce zamarło. – A, masz na myśli swoją dziewczynę! Nie, nie widziałem jej... David, posłuchaj! Znaleźliśmy twojego brata!

Teraz on mnie zaskoczył i przez kilka sekund słowa te nie miały dla mnie sensu – przecież Leon był na „Starventure”! Dopiero po chwili zareagowałem:

– Masz na myśli, że znowu go widziano? Kto go widział? Gdzie?

– Mamy doniesienie z Aten. Rozpoznano go kilka godzin temu. Prawie zwariowałem, czekając na ciebie – szturchnął palcem mój ekwipunek. „– Zostaw to szybko i spotkajmy się w biurze Cassiano. Bądź tam jak najszybciej i nie marnuj czasu na zadawanie pytań – będziemy mieć mnóstwo czasu, gdy wyruszymy.



Wszystko było zapięte na ostatni guzik: szybki samochód, którym pojechałem do hotelu po moje rzeczy, czekająca już poczta, następnie samolot ONZ, stratosferyczny odrzutowiec, przeznaczony specjalnie dla Briana jako pomoc w jego projekcie. Wszystko zaczęło działać z nieprawdopodobną szybkością od momentu, gdy znalazłem się na Ziemi.

Poprawka: nie z nieprawdopodobną. Determinacja Briana plus nastroje zagrożenia wśród osobistości politycznych Ziemi, tylko to mogło uruchomić taką maszynę.

Po okresie oszołomienia Brian zaczął działanie od prostego, ale skutecznego sposobu zapewnienia sobie pomocy społeczeństwa w swoich poszukiwaniach bez odsłaniania prawdy. Ogłosił mianowicie, że pojawili się oszuści, podszywający się pod członków załogi „Starventure” – sztuczki dla naiwniaków – ale byli przecież tacy, którzy planowali to od lat, poddając się operacjom pla-

stycznym i zmianie głosu w nadziei oszukania nawet prawdziwych rodzin załogi. Niektórzy z nich – tak głosiła oficjalna notatka, którą Brian pokazał mi w samochodzie – już próbowali żerować na ludzkiej łatwowności. Inni działali wolno, czekając na swoją szansę, by się wynurzyć. Każdy, kto zobaczył człowieka zbyt podobnego do członka załogi, by był to zbieg okoliczności, jest proszony o jak najszybsze powiadomienie władz. Notatka zawierała kompletny zestaw zdjęć paszportowych załogi plus odciski palców, listę nawyków i znaków szczególnych. To była godna uwagi, gruntowna robota, budziła podziw szybkość działania.

– Ale to tylko połowa – powiedział Brian. – Ostatniej nocy daliśmy fotki tych, którzy byli już widziani, tak jak Leon czy Hermanos, w ogólnowiatowej telewizji i prawie od razu dostaliśmy raport z Aten.

– Czy możesz coś do niego dodać? – zapytałem.

– Kiedy tam już będziemy, sprawdzimy to dokładnie.

Było w tym wystarczająco dużo prawdy. Zwróciłem uwagę na pocztę, którą otrzymałem w hotelu: był tam tylko jeden ważny list, wiadomość przesłana przez Hanka Sandlera. Otworzyłem kopertę i zacząłem czytać: „Byłeś jedynym, wyznaczonym przez SOLAR PRESS do obserwowania lądowania STARVENTURE, w związku z czym oczekiwaliśmy, że będziesz honorował nasz kontrakt ze względu na olbrzymie zainteresowanie opinii pu-

blicznej. Nie mieliśmy od ciebie wiadomości ponad dwadzieścia cztery godziny, a współpracujący z nami M. Segura z PRENSAM podał, że opuściłeś Quito w związku z inną historią, nie informując nas o tym. Dlatego doszliśmy do wniosku, że życzyłbyś sobie zerwania naszej umowy. Nasi oficjalni doradcy są zdania...”

– I tak dalej – Sandler musiał się gotować z wściekłości, bowiem tylko wtedy, gdy był doprowadzony do ostateczności, używał tak nienaturalnych zwrotów. Zmiałem list w kulkę i wrzuciłem do samochodowej popielniczki.

– Czy Hank cię wylał? – zapytał Brian.

Kiwnąłem głową i wzruszyłem ramionami.

– Przykro mi. Rozmawiałem z nim ostatniej nocy i próbowałem go uspokoić, ale był zbyt wściekły, by wysłuchać głosu rozsądku. Nie martw się tym, że zerwał kontrakt. Rozmawiałem z Kaye i Donem: zgodziliśmy się, że jeżeli będzie tak dalej prowadził sprawę, to zrezygnujemy *en bloc*.

– Dzięki – powiedziałem, ale nie mogłem ukryć gorczy w moim głosie.

Przez całe życie zawodowe dawałem z siebie wszystko, co najlepsze, aby światu powiedzieć prawdę. Po raz pierwszy, gdy zaangażowałem się w popieranie usprawiedliwionego kłamstwa, rezultat był natychmiastowy. Zaległa cisza, która trwała aż do momentu, gdy samochód dojechał do lotniska, a wtedy Brian powiedział:

– Mam nadzieję, że ten, którego odnajdziemy w Atenach, jest naprawdę twoim bratem.

– I w tym szkopuł – odparłem. – Nie będzie nim. To jest coś lub ktoś używający jego ciała.

Pobladły Brian spojrział na mnie.

– Co znalazłeś tam na górze?

– Powiem ci w samolocie – odpowiedziałem. – Ale nie uczyni cię to bardziej szczęśliwym ode mnie.



Jednak w samolocie zdecydowałem się złapać parę godzin snu i – gdy już dolecieliśmy do Aten – czułem się o niebo lepiej. Byliśmy oczywiście oczekiwani – czekali na nas policjanci, którzy doprowadzili nas do samochodów i z rykiem syren eskortowali przez całą drogę z lotniska. Ta krótka podróż podobna była do przejażdżki zwariowaną maszyną czasu. Droga biegła obok rozświetlonego słońcem Morza Śródziemnego, tak błękitnego i pięknego, że można było zapomnieć o tym, iż jest tak zanieczyszczone, że nie można się w nim kąpać bez piankowego kostiumu. Dzieci podbiegały do okien, by pomachać naszej kawalkadzie.

Następnie ostro skręciliśmy w prawo, w stronę centrum Aten. Z przodu i nieco z boku zauważyłem ostrożnie konserwowaną grupę ruin: blisko dwutysiącletni Łuk Hadriana. Niedaleko stał zaparkowany samochód policyj-

ny i nasz kierowca zwolnił, by zatrzymać się obok mężczyzny, stojącego koło wozu; człowiek ten podniósł kciuk do góry i znów ostro przyspieszyliśmy.

Policja ciągle ma go na oku – wyjaśnił Grek, który odbierał nas z lotniska.

– Gdzie on jest? — zapytałem.

W Odeion Herodon Attikon – to klasyczny teatr poniżej Akropolu. Trzęsąc się, dojechaliśmy wąskimi uliczkami do miejsca o nazwie Plaka, które najwidoczniej nie zmieniło się w ciągu ostatniego stulecia. Było nieco po południu, dlatego też znajdowało się tu zaledwie kilka osób.

– To już trzeci dzień, odkąd tu jest – wyjaśnił policjant.

– Oczywiście wiemy, co się stało, ale nie było powodów, by się tym interesować, zanim nie dowiedzieliśmy się z Quito o tych oszustach. Nie wiemy, jak się to wszystko zaczęło. Było tu dwieście osób, które zebrały się, by go wysłuchać, wczoraj było dwa razy tyle, a dzisiaj Odeion jest prawie pełny.

– Co on robi? – zapytałem.

– Mówi. Odpowiada na pytania tłumu. Niestety, oboście go nie słuchałem...

– Czy ma pan jakiś pomysł, kim on może być naprawdę? – zapytał Brian, przekonywująco podsumowując myśl, że jest to oszustwo.

– Żadnego, chociaż wiemy o nim różne rzeczy. Nie używał nazwiska Drummond, ale kiedy ludzie z tłumu

mówią do niego, nazywają go „Leon”. Przybył tutaj dwa tygodnie temu samolotem LISA. Zapamiętali go ludzie, którzy widzieli go w muzeum na Akropolu, dzień po jego przylocie. Kupił dużo książek w wielu językach, pytał wielu ludzi o naszych sławnych, starożytnych filozofów, odwiedził Stoa, odbudowywane blisko Akropolu, gdzie siedział na złamanym filarze i długo rozmyślał w słońcu. A teraz niespodziewanie zaczął udawać filozofa i ludzie go słuchają.

Samochód dojechał do parkingu obok skalistej ścieżki, opadającej w dół po stoku Akropolu. Byłem tutaj, gdy wiele lat temu relacjonowałem kongres naukowy; zapomniałem już, jak wspaniały jest architektoniczny kunszt Panteonu. Nasz kierowca i jego towarzysz poszli przodem, by porozmawiać ze starszym policjantem, siedzącym w drugim samochodzie; widząc, że już jesteśmy, wyszedł na zewnątrz i przywitał się w poprawnym angielskim.

– Człowiek, który udaje pańskiego brata, jest teraz w Odeionie – powiedział. – W słońcu jest tam bardzo gorąco, ale mimo to słucha go siedmiuset ludzi. Prawdopodobnie, jak to zostało zasugerowane, szykuje jakąś oszukańczą sztuczkę. Może zdradzi tajemnice gwiazd albo tym podobne bzdury...

Zwilżyłem wargi, spoglądając w stronę wejścia do amfiteatru; nie mogłem stąd dostrzec zebranego tłumu.

– Proszę iść z nami – powiedział policjant. – Podejmiemy do miejsca, gdzie można spojrzeć w dół. Jeżeli

rzeczywiście udaje pańskiego brata, powinniśmy go aresztować i zadać mu kilka pytań, a wtedy będzie musiał bardzo mądrze się tłumaczyć – sięgnął przez okno po leżącą na siedzeniu lornetkę. – Tędy.

Na szczycie stromej ścieżki, prowadzącej do Odeionu, zostałem dwukrotnie zaskoczony. Na pierwszą niespodziankę byłem przygotowany: nawet zanim jeszcze wziąłem lornetkę, by mu się bliżej przyjrzeć wiedziałem, że jest to fizyczna forma mojego brata. To było jak wybuch w żołądku, zobaczyć dobrze znaną twarz i usłyszeć znany sobie głos, unoszący się w powietrzu. Drugim zaskoczeniem było to, że mówił po rosyjsku. Nigdy nie opanowałem tego języka nawet w polowie, ale – jak pamiętam – Leon mówił płynnie po rosyjsku, w tym bowiem języku opublikowano wiele literatury naukowej.

– Dziś jest tam dużo rosyjskich turystów – wyszeptał policjant. – Grupa około stu osób przybyła wczoraj z Taszkientu.

Kiwnąłem głową, rozglądając się dokoła. Amfiteatr miał klasyczny kształt – przez ostatnie sto lat każdego lata lub nawet dłużej wystawiano tu starożytne tragedie. Na stromych rzędach kamiennych ławek, nieco szerszych niż jeden krok, siedziało około siedmiuset osób, o których mówił policjant: Ateńczycy przemieszani z turystami. Przy każdym przejściu między ławkami stali policjanci. Policjant szturchnął mnie w ramię.

– Panie Drummond, czy on udaje pańskiego brata?

– O... Tak – powiedziałem i aż zdziwiłem się, jak prawdziwe było to stwierdzenie. – Wygląda dokładnie jak mój brat.

Człowiek, stojący na niskiej scenie, zamilkł, ale gdy / tłum padło wykrzyczane do niego pytanie, zaczął odpowiadać na nie po rosyjsku.

– Zatem zaczynamy – powiedział policjant z ponurą satysfakcją. – Czy chce mi pan towarzyszyć przy aresztowaniu, panie Drummond?

– Raczej nie – odpowiedziałem.

– Jak pan chce.

Wyjął gwizdek z kieszeni munduru i chciał zagwizdać.

– Niech pan będzie ostrożny – wyszeptałem, myśląc o tym, co może kryć się za twarzą Leona. – On jest...

Nie dokończyłem, Brian trącił mnie łokciem ostrzegając, bym powściągnął język.

– Będziemy bardzo ostrożni – obiecał policjant. – Są ze mną moi najbardziej doświadczeni ludzie.

Zagwizdał. Na ten sygnał stojący przy każdym przejściu policjanci ruszyli w kierunku sceny; za tym, co było teraz w ciele Leona z wejścia dla aktorów również wyłonili się policjanci. Dźwięk gwizdka przyciągnął uwagę audytorium większość ludzi zaczęła obserwować policjantów i rzeka pytań urwała się. Policjanci obojętnie otoczyli mojego brata, ale on nie reagował na to, choć przerwał swoje przemówienie i obrzucił otaczających go funkcjonariuszy półkpiącym uśmiechem. Ten uśmiech

także należał do Leona i rozpoznanie tego łamało mi serce. Na krawędzi sceny oficer, który mi towarzyszył, odwrócił się i zaczął mówić do tłumu, najpierw po grecku, a potem po angielsku i przypuszczalnie użyłby jeszcze innych języków, które znał, ale nim zakończył angielską wersję mogłem wyczuć, że gniew tłumu narasta. Powiedział im, że ten człowiek używa nazwiska jednego z członków załogi „Starventure”, skopiował jego wygląd, a tymczasem prawdziwy Leon Drummond nadal przebywa na orbicie i w związku z tym zabiera oszusta na przesłuchanie.

– Ohi! Ohi! – zabrzmiały okrzyki tłumu. – Nie! Nie! Gdy sens tych słów dotarł do większości osób i gwar nasilił się w angielskim, włoskim, rosyjskim.

– Nie, puście go! Chcemy słuchać dalej!

W chwili, gdy pierwszy policjant położył rękę na „Leonie”, gniew eksplodował i scena została zalana pełnym furii tłumem. Pełne dziesięć minut zajęło przywrócenie ładu i nikt nie zauważył, jak stwór w ciele mojego brata zniknął.

Rozdział 19

Kiedy temperamenty opadły do poziomu, gdy stało się możliwe porozumienie, zaczęły się poszukiwania, chociaż byłem prawie pewny, że zakończą się niepowo-

dzeniem. Niektórzy policjanci rozpierzchli się, zbliżając się aż do Akropolu, podczas gdy inni zaalarmowali przez radio chyba całą ateńską policję. Zarządzono ustawienie zapór i punktów kontrolnych na rogach ulic. Tymczasem wściekły oficer, odpowiedzialny za akcję, zamierzał przesłuchać świadków spotkania i zatrzymać ich na podstawie zarzutu o utrudnianiu wypełniania obowiązków służbowych. Od razu stało się jasne, że nie należy pytać, gdzie zniknął „Leon” – przesłuchiwanie jednej rzeczy byli pewni i zaprzeczali, by ktokolwiek widział, dokąd uciekł. Zamieszanie było ogromne. Z drugiej strony nawet zwykły przestępca mógł bez trudu zniknąć w labiryncie Plaka i trzeba byłoby przeszukiwać dom po domu z małą armią, by istniała jakakolwiek szansa na odnalezienie go.

Usiłując uratować cokolwiek z tego kompletnego fiaska, Brian wypytywał tak wielu ludzi, którzy słuchali „Leona”, jak to było możliwe, mając nadzieję znalezienia klucza do natury obecnego rezydenta ciała. Od Rosjan, którzy zajmowali większość najbliższych miejsc w amfiteatrze, nie mogliśmy zbyt wiele się dowiedzieć – ponuro usiłowali pomijać szczegóły lub udawali, że nie rozumieją pytań.

Domyśliłem się, że są to ludzie uwarunkowani długą tradycją nieufności do policji. Z niektórymi Ateńczykami poszło nam lepiej, a szczególnie pomogła nam starsza, dobrze wychowana kobieta, Iris Argyros, nauczycielka języka i amatorka greckiej klasyki. Wydawało się, że pa-

nicznie boi się aresztowania, ale uparcie trzymała się zapewnienia, że wszystko jest nieporozumieniem i łatwo dała się przekonać, że my też tak myślimy.

– To było tak, jakbym znalazła się w Złotym Wieku! – stwierdziła z ogniem w oczach. – Całe życie marzyłam o siedzeniu u stóp następnego Sokratesa i słuchaniu jego wyjaśnień natury świata! Dziś moje marzenie spełniło się!

– Ale o czym on mówił? – naciskał Brian.

– Większość czasu mówił po rosyjsku, a ja nie rozumiem tego języka, ale, jak słyszycie, mówię po angielsku i w tym języku zwracał się do nas – przygryzła swoją małą wargę i wywróciła oczy, jakby szukając natchnienia. Jego argumenty są niemożliwe do streszczenia, ponieważ były tak rygorystyczne, jeden następował po drugim, jak w zapisie nutowym. W każdym razie to nie przedmiot tego, o czym mówił, tak mnie zafrapował, ale piękna logika oraz żywe metafory i analogie, które on...

– Tak, ale o czym mówił? – Brian zaczął tracić cierpliwość.

– Och! – wyglądała na zaskoczoną. – Natura prawdy, miejsce rodzaju ludzkiego we Wszechświecie, nasze przyzwyczajenie do formułowania nieugiętych opinii i trzymanie się ich, ponieważ krytyka mogłaby obalić naszą próżność i nasz samozachwyty. W szczególności demonstrował, jak naukowa ortodoksja może być w konflikcie z koncepcją prawdy obiektywnej.

Brian spojrział na mnie zaskoczony, odciągnął mnie na bok i zapytał cicho:

– David, czy ty możesz sobie wyobrazić, że on prowadził to spotkanie z takim starym pudłem?

– Bóg tylko wie – wymruczałem. – Spędziłem całe życie zawodowe na przepakowywaniu idei dla publiczności, ale nigdy nie brałem się za filozoficzne rozważania tego rodzaju – nie odważyłbym się na to.

Brian zacisnął pięści.

– Gdyby tylko te tłuki z policji pomyśleli o nagrywaniu tego, co on mówił! – wykrzyknął.

Niestety, policja tego nie uczyniła. Nie dowiedzieliśmy się też niczego konkretnego od następnych przesłuchiwanych – zostali jakby oczarowani, a kiedy przywrócono im świadomość spostrzegli, że słowa, które usłyszeli, zniknęły jak wytwór snu lub stwór, który nimi zawładnął.

Gdy nadzieje na pochwycenie naszego gagatka rozwiały się, zacząłem uświadamiać sobie, ile wydarzyło się od czasu mojego powrotu ze „Starventure”. Zaczynając od spotkania Leona w obcym kształcie... Wiadomości, które zrelacjonował mi Brian w drodze do Aten szybko się ulotniły, choć zrobił na mnie wielkie wrażenie schemat jego poszukiwań i umiejscawiania ciał członków załogi. Teraz stwierdziłem, że Brian ma priorytet A-1 w łączności z Quito, Nowym Jorkiem i Tokio oraz wydaje polecenia wysokim urzędnikom ONZ, by wytropić innych

członków załogi, o których krążyły plotki, podczas gdy ja w tym czasie wyczerpany wylądowałem na Ziemi. Zapytałem o szczegóły jego projektu i dowiedziałem się, że został przydzielony do specjalnego personelu Chamborda, by podtrzymywać oficjalne kłamstwa, które razem wymyśliliśmy, ale otrzymał także – na prośbę Cassiano – tymczasowe stanowisko ONZ asystenta Sekretarza Generalnego. Poza tym, że miał tropić członków załogi „Starventure”, pojawiających się na Ziemi, był także zobowiązany do tłumienia spekulacji, dotyczących potworów na niebie i – jak twierdził – był to najcięższy aspekt jego pracy.

Ku mojemu zdziwieniu, nie było jeszcze objawów paniki, jakiej podświadomie oczekiwałem; była, owszem, kontynuowana nerwowa dyskusja między naukowcami, a każda gazeta i biuletyn przykładały dużą wagę do stwierdzenia, że eksperci poświęcają temu problemowi największą uwagę. Przez lata usiłowałem jak najbardziej zniechęcić ludzi do pozostawiania spraw w rękach ekspertów, ale teraz byłem zadowolony, że nie udało mi się to. Jednakże sytuacja w dalszym ciągu była niejasna i prędzej czy później ludzkie nerwy zaczną puszczać.

Brian powiedział mi, że w Quito Sekretarz Generalny i Przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego naradzają się z naukowcami w porcie kosmicznym. Wiedząc o tym doszedłem do wniosku, że wszystko w wiadomościach jest interesująco powikłane. Była, na przykład informacja o

debacie na temat budżetu lotów kosmicznych na nadchodzący rok – pasowało to dokładnie do finansowania badań nad psychologicznymi i fizjologicznymi problemami, które pomagałem wynajdywać oraz uchwalenia funduszu na drugi lot „Starventure”, podczas którego można byłoby przetestować wszystkie możliwości podróży w hiperprzestrzeni. W istocie potrzebowali teraz funduszy na ogromny program badawczy, który mógłby być określony jako „rutynowy lot obsługi medycznej”.

Odczuwałem rodzaj irracjonalnej bezradności w stosunku do potworów na niebie. Właśnie one pomieszały wszelkie nasze pomysły, nie tylko samym pojawieniem się, ale przede wszystkim swoją realnością! A ludzie nie chcieli już być chyba ogłupiani przez oficjalne oszustwa i dlatego tak chętnie słuchali „Leona”. Podałem się narastającej we mnie fali rozpacz. Mieliśmy prawdopodobnie sześćdziesiąt ciał ludzkich z nieludzkimi umysłami, przebywających na wolności pomiędzy pięcioma miliardami populacji Ziemi. Co robić? Czy było to coś tak nieszkodliwego, jak filozofujący „Leon”, czy coś złowieszczonego, niepojętego, niebezpiecznego?

Późno w nocy Brian otrzymał więcej doniesień z kwatery głównej policji na ulicy Boubonlinas w Atenach oraz nadanych z Quito przez łącza satelitarne. W przeznaczonym dla nas pokoju na ostatnim piętrze zaczęliśmy przedzierać się przez raporty. Razem było ich ponad dwadzieścia, przy czym większość była raczej niejasna i

zabarwiona histerią; kilka było dokładniejszych i na nich się skupiliśmy. Duża liczba wiarygodnych świadków opisywała Chandrę Dana: widzieli go na festiwalu w świętym mieście Benares, gdzie przemawiał do tłumu, liczącego tysiące ludzi („Leon” zgromadził tylko setki). Jego sława rosła jak dziki ogień, a niektóre z gazet posunęły się do tego, by nazywać go awatarem Kriszny. Indyjska policja przezornie nie przedsięwzięła żadnych rozwiązań siłowych, poprzestając na dyskretnej obserwacji. Kolejny członek załogi „Starventure”, którego nigdy wcześniej nie poznałem osobiście, Yssuf bin Saleem, został zauważony w Mekce; on także przyciągał tłumy swoimi kazaniami. Na nieszczęście policja w Mekce usiłowała go przesłuchać i zniknął tak, jak „Leon”, pod osłoną niezadowolonego tłumu.

– Co z tym wszystkim robić? – naskoczył na mnie Brian.

Z trudnością zmusiłem do pracy swój obolały mózg.

– Mam niecodzienny pomysł – stwierdziłem po chwili. – Tylko taki przyszedł mi do głowy.

– Nie obchodzi mnie, jak dziwaczny jest ten pomysł, chcę go usłyszeć.

Pochyliłem się na krześle, spoglądając w podłogę.

– To tylko przypuszczenie... Ale, jak dotąd, mamy Ateny, Benares, Mekkę. Czy nie jest to aluzja do pewnego wzoru? Wszystkie te miasta są centrami religijnymi. Myślę, że powinniśmy uważać na to, co dzieje się w

Rzymie, Jerozolimie i w innych miastach, skąd pochodzili wielcy ludzie lub wpływowe szkoły myślenia.

Brian popatrzył na mnie, jakbym powiedział jakąś wielką bzdurę.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Dlaczego, do cholery, nie może tak być? – stwierdziłem i zebrałem moje dowody, aby go przekonać. – Być może to pani Argyros i jej zamilowanie do Sokratesa doprowadziło mnie na tę myśl, ale nie bacząc na to, skąd się to wzięło, jest w tym sens. Zastanawialiśmy się, dlaczego obcy działają w taki, a nie w inny sposób: transfer umysłów załogi do nowych ciał i pożyczanie ich własnych ciał do zwiedzania Ziemi. Myślę, że wyjaśnienie jest tak proste, że je przeoczyliśmy.

– Ja... – zawahał się Brian. – Tak, dokończ to, co chciałeś powiedzieć. Myślę, że cię rozumiem i cholernie chcę wierzyć, że masz rację.

– Spójrzmy na to pod tym kątem – zacząłem. – Pracowaliśmy nad teorią, że obcy nie wiedzieli o nas, dopóki nie zaczęliśmy latać w hiperprzestrzeni. Teraz zakładam, że nagle zostaliśmy skonfrontowani z innym gatunkiem wyraźnie inteligentnych i wyraźnie zdolnych do wysokich osiągnięć technicznych istot. Jaka byłaby następna rzecz, której chcielibyśmy się o nich dowiedzieć? – ich psychologia – od razu odpowiedział Brian. – Przede wszystkim ich nastawienie do siebie, z czego moglibyśmy wywnioskować, jakie będzie ich nastawienie do nas.

– Dokładnie tak. To mogłoby pokazać nam całą różnicę, jak odnoszą się do siebie samych, jak do rywali, przyjaciół i równych sobie. Ale czy bezpiecznie byłoby wyciągać ogólne wnioski w stosunku do pięciomiliardowej populacji na podstawie sześćdziesięciosobowej próbki?

– Oczywiście, że nie. Przecież załoga „Starventure” składa się z ludzi raczej nietypowych, wybrany ze względu na zdolności, jakimi nie jest obdarzony przeciętny człowiek.

Racja. Ale nie możesz wiedzieć, którzy są gorsi, a którzy lepsi. Musiałbyś zatem skontaktować się z nimi jako gatunkiem. Chciałbyś przecież poznać ich ideały i standardy życiowe, a gdyby te wzorce wydawałyby ci się niezbyt przekonujące jako podłoże przyjacielskiego kontaktu, mógłbyś – przed osobistym spotkaniem – spróbować wpłynąć na nich.

– Czy myślisz, że właśnie to dzieje się teraz? – zasugerował Brian. – Rodzaj udoskonalonej ankiety personalnej?

– Nie mam pojęcia – westchnąłem. – Przez chwilę myślałem o swoim pomysle jak o natchnieniu, ale teraz wygląda to tak, że parę faktów pozwoliło się dopasować i stworzyć zarys dziko optymistycznej, ale raczej niepoważnej hipotezy.

Brian wyglądał na oszołomionego.

– Za szybko poszedłem do przodu – mruknął. – Moim jedynym usprawiedliwieniem jest fakt, że przez tydzień nic się nie działo. Jak, do diabła, mam prowadzić tę sprawę, polecając policji, by pozostawiła „oszustów” w zupełnym spokoju? Sznur może się zacisnąć... Cóż, może to oznaczać, że stanęliśmy twarzą w twarz z istotami o mocy, z którą nie jesteśmy w stanie się mierzyć. Im mniej ich urazimy, tym lepiej, ale skąd możemy wiedzieć, gdzie w obcym umyśle przebiega granica pomiędzy ostrożnością a otwartą wrogością?

– A skąd mam wiedzieć? – powiedział zmęczonym głosem. – Nie jestem nawet pewny, czy ten pomysł można traktować poważnie.

– Cóż, ja zamierzam – w głosie Briana slychać było stanowczość. – Serio, istotnie zamierzam wysłać fax do Rzymu i Jerozolimy, by ich ostrzec o możliwości pojawienia się tam członków załogi. Na pokładzie był Włoch, jak on się nazywa?.. Ugo Martinelli, o ile sobie przypominam... I jest też inżynier z Izraela. Gdzie jest kopia tej notatki, którą ci pokazywałem?

Odwrócił się i zaczął buszować wśród swoich papierów, po chwili wyjmując poszukiwaną wiadomość i uśmiechając się współczująco.

– Przepraszam, Davidzie, na statku musiałeś przejść piekło. Nie powinienem był wyciągać cię z Quito bez chwili wypoczynku.

– Tak, ale to byłaby pogoń za dziką kaczką, nieprawdaż? I oczywiście nie będziesz czekać tutaj spokojnie na dalszy rozwój wypadków. Wiesz, widziałem, jak się sypiesz, gdy lecieliśmy samolotem... Wiem, że nie spałeś od przedwczoraj i nie sędzę, byś wyspał się na pokładzie „Starventure”, żyjesz samymi nerwami. Dlaczego nie pójdziesz do pokoju i nie prześpisz całej doby? Będę z tobą w kontakcie, a jeśli nadejdą jakieś wiadomości, obudzę cię.

Wstałem.

– Niezły pomysł – stwierdziłem. – Ale nie zamierzam 'spać tutaj, w hotelu. Zarezerwowałem sobie miejsce do spania w ekspresie transatlantyckim i wracam do Quito.

– Żeby być bliżej centrum wydarzeń? – zapytał Brian. – Czy może jest bardziej osobisty powód?

– Bardziej osobisty.

– Masz zupełną rację – Brian pokiwał głową. – Mężczyzna nie powinien być sam na świecie, a to, co się przytrafiło twojemu bratu... Cóż, nie przejmuj się ,moimi radami, ty już wszystko wiesz, jestem tego pewny. Ona jest bardzo atrakcyjna, ta twoja Carmen... Czy chcesz się z nią ożenić?

– Chcę – odpowiedziałem. – Ale nie wiem nawet, czy ją teraz znajdę, a jeżeli ją znajdę, to nie jestem pewny, czy będzie to ta sama Carmen...

Rozdział 20

Rzeczą, za którą mogłem być wdzięczny, było to, że rośniemy z przyzwyczajeniem zachowania *status quo*. O tym właśnie myślałem, gdy moja taksówka jechała z lotniska ku centrum Quito. Tylko naukowcy musieli znosić efekty, jakie wynikały ze zmiany obrazu świata, zwykli ludzie przywykli opierać się na tych, którzy postawa była bardziej empiryczna, na tych, którzy usiłowali zachować normalny porządek rzeczy. Tak było prawdopodobnie od czasu odkryć Galileusza. Zatem wielka trwoga istniała tylko w umysłach Lenisterów, Graubmayerów i takich, jak Sico, inni ludzie troszczyli się o własny interes z przypadkowymi tylko przerwami na niepokój. Na przykład na Calle Carpenta, jednej z najszykowniejszych i najmodniejszych ulic sklepowych w Quito, tłumy były gęste jak zwykle i jedynie krótkie, dziwne spojrzenia na niebo zdradzały, że...

– Stop! – krzyknąłem do kierowcy.

Zahamował gwałtownie.; zapłaciłem i kazałem mu czekać, a potem wyskoczyłem z taksówki i jak szalony rzuciłem się w stronę najbliższych ruchomych schodów, przenoszących ludzi na poziom dziesięciu stóp ponad ziemią. Rozpaczliwie przepychałem się przez wolno poruszających się kupujących, wrzeszcząc z całej siły:

– Carmen! Carmen!

Roztrącani przeze mnie ludzie zaczęli się skarżyć, ale ja byłem już dalej. Zobaczyłem ją znowu dwadzieścia metrów przede mną, nie słysząc mnie oddalała się, idąc prosto przed siebie. Przyspieszywszy, co nieomal zważyło mnie z nóg pomimo dodatkowych porcji tlenu w samolocie, dogoniłem ją wreszcie i chwyciłem za ramię. Odwróciła się przerażona. Była ubrana na czarno; to, co rzuciło mi się w oczy, to brudne buty, czarne obwódki pod paznokciami i włosy skołtunione na karku, jakby zabrakło jej cierpliwości, by je wyszczotkować. Nie miała makijażu, a jej oczy błyszczały jaśniej niż zwykle.

– David! – zawołała i przez chwilę moje serce prawie stanęło; uśmiechnęła się. – Wszędzie cię szukałam! Dzwoniłam wczoraj do twojego hotelu, gdy znalazłam Hermanosa, ale powiedzieli, że wyjechałeś do Grecji.

– Znalazłaś Hermanosa? – zapytałem, a mój umysł pogrążył się w zamęcie.

– Wczoraj rano. Byłam pewna, że jeżeli użyję mego wewnętrznego spojrzenia, to mi się uda. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do niego, a przekonasz się, że wszystko jest w porządku i przestanieś martwić się o Leona!

– Widziałem ciało Leona – oświadczyłem. – Widziałem je w Atenach.

– Jego... ciało? – jej smukła dłoń z zupełnie niepodobnymi do Carmen brudnymi paznokciami powędrowała do ust. – Och, Davidzie! Czy to znaczy, że on nie żyje?

– Jest gorzej, niż gdyby był martwy – stwierdziłem zwięźle. – Ciało porusza się i mówi, ale wewnątrz nie ma umysłu Leona, tak jak nie ma umysłu Hermanosa w jego ciele.

Jej wargi rozchyliły się lekko, spojrzenie spoczęło na mojej twarzy; potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem, Davidzie. Kto mógłby lepiej znać Hermanosa niż jego rodzina, lepiej ode mnie?

– Mówisz, że go widziałaś. Czy rozmawiałaś z nim?

– Tak, tak, oczywiście!

– Czy od razu cię rozpoznał? Czy jego zachowanie wydawało ci się normalne? Czy mówił jak twój brat?

– Mówił cudowne rzeczy! Musisz go posłuchać!

– Odpowiedz na pytanie – zażądałem. – Czy on cię rozpoznał?

Przez jej twarz przemknął cień obawy.

– To już dwa lata... – zaczęła się bronić.

– Tak myślałem. Nie poznał własnej siostry, ponieważ jego ciało jest manipulowane jak marionetka. To nie jest Hermanos, słyszysz mnie?

Byłem przerażony swoją nieudolnością w przekonywaniu jej, nagle zacząłem się obawiać, czy mogę ufać swojej pamięci wobec tego, co stało się na „Starventure”.

– Twój brat znajduje się na statku, schwytyany w pułapkę obcego ciała, tak samo, jak mój. Czy nie wierzysz w to, co powiedział nam Suworow? Czy nie czytasz gazet, nie oglądasz TV? Są oszuści, usiłujący...

Jak przesłona aparatu fotograficznego, odmierzająca koniec czasu naświetlania, czarna niewiara zagościła na jej twarzy. Wszystko, co mogłem jej powiedzieć, nie przekonałoby jej. To było coś więcej niż obcy w dobrze znanym ciele jak „Leon” czy „Hermanos”.

– Chodź ze mną, Davidzie – powiedziała. – Pokażę ci prawdę.

– Gdzie? – rzuciłem. – Gdzie on jest?

– Chodź ze mną – powiedziała. – Jeżeli nie zobaczysz tego na własne oczy, nigdy mi nie uwierzysz. Nie chcę mówić, gdzie cię zabieram, bo nie chcę, by pojawili się tam inni ludzie, którzy mogliby nam przerwać i policja.

– Zatem... – mój mózg pracował gorączkowo. – Zostawiłem tu niedaleko taksówkę, kierowca czeka. Może...

– W taksówkach są radiotelefony – przerwała mi. – Kierowca może powiedzieć, gdzie pojechaliśmy. Pójdziemy tam. Ruszyłam pieszo do centrum dziś rano i tak samo wrócę. To, czy pójdiesz ze mną, czy nie, zależy tylko od ciebie.

Chciała się odwrócić z mocnym postanowieniem: idziesz lub zostajesz, ale w ostatniej chwili zawahała się i spojrzała na mnie ze śladem nadziei, a blask w jej oczach przelamał moją rozpacz. Myliłem się, nie była inna, to była ta sama Carmen. Moim błędem było wyobrażenie sobie, że znam ją doskonale, a teraz przekonałem się, że Carmen jest kobietą, która zaskakiwałaby mnie przez całe życie i to nie dlatego, że mogłaby się zmienić, ale dlatego,

że jest złożoną osobowością. Zdeterminowana, ale nie uparta, przesądna, ale nie zabobonna – prawdziwa na wiele sposobów. Jak kiedykolwiek mogłem winić ją za twierdzenie, że widziała swojego brata? Czy nie bardziej uzasadnione było twierdzenie, że umysł mógł zostać zmieniony przez unikalne doświadczenie niż myśleć, że został całkowicie usunięty z ciała? Nie miała tej szansy, którą ja otrzymałem – porównania osobowości i „koper-ty” fizycznej. W jej sytuacji również uchwyciłbym się tego, co nakazuje „zdrowy rozsądek”.

– W porządku – stwierdziłem. – Idę z tobą.

Uradowana, ujęła moją dłoń i przez chwilę zapomniałem, jak cholernym byłem głupcem. Szedłem obok niej tak posłusznie, jak dobrze wytresowany pies. Prowadziła mnie z Calle Carpenta wzdłuż Calle Titor, od lśnią- cych witryn sklepowych do dzielnicy raczej zastępczych bloków, gdzie mieściły się kiedyś mieszkania rzemieślni- ków, które zostały porzucone, kiedy port kosmiczny za- częł przynosić sławę i obroty tej górskiej stolicy. Były tu wciąż targowiska wieśniaków, gdzie mężczyźni i kobiety z rysami wyraźnie indiańskimi, mając zezwolenie miej- scowych władz, oferowali na swoich straganach tradycyj- ne wyroby i żywność. Tłumy były tak gęste, jak te na Cal- le Carpenta, ale bardziej zajęte sobą. W powietrzu wy- czuwało się pośpiech.

– Ludzie wydają się podążać naszym śladem – szepnąłem, gdy wreszcie przedarliśmy się poprzez gwar targowiska.

– Tak. Ostatniej nocy na niebie pojawił się kolejny anioł – powiedziała to nieobecny tonem tak, jakby jej umysł borykał się z innym problemem.

– Anioł? — powtórzyłem.

Zatrzymała się i odwróciła ku mnie roześmianą twarz.

– Cóż, trzeba im nadać jakieś imię!

– Masz na myśli potwora, takiego, jakiego widzieliśmy razem z twojego mieszkania?

– Ach... – zawahała się. – Nie wydaje mi się... To znaczy, nazywanie ich potworami nie wygląda dobrze. Olbrzymie, lśniące istoty, które poruszają się w niebiosach można nazwać aniołami bądź inaczej, nieprawdaż?

Wydawało mi się, że nie ma sensu spierać się o to. Spróbowałem podejść z innej strony.

– Czy ci wszyscy ludzie idą tam, gdzie my, dlatego, że coś pojawiło się wczorajszej nocy na niebie?

– Oczywiście, że tak. Oni się boją. Idą wysłuchać Hermanosa, a on doda im odwagi.

– Co on tu, na Ziemi, robi dla nich?

– Mówi do ludzi, Davidzie. Dlaczego chcesz, bym to opisywała? Za chwilę będziesz sam mógł go wysłuchać.

To był rodzaj pielgrzymki. Zwariowana maszyna czasu, którą wyobraziłem sobie jeszcze w Atenach, ciągle na mnie działała. Szliśmy pomiędzy ludźmi o kamien-

nych twarzach, przypominających azteckich bogów; niektórzy byli ubrani wspólnie, inni w serape lub reboso zarzucone na ciało, jak świadomy ukłon w stronę przeszłości. Nie dawało się dostrzec początku tej procesji – widzieliśmy wiele osób na drodze przed nami, a inni dołączali pojedynczo lub grupami. Ze względu na kolor mojej skóry czułem się tu jak trędowaty; twarz Carmen ginęła w tłumie Latynosów, a ja byłem jedynym białym Amerykaninem i jedynym, jak dotąd, okazem rasy kaukaskiej. Czuję się wyobcowany, odcięty od podstawowej wiedzy, którą ludzie zaakceptowali i nigdy nie zadawali pytań.

– Droga zwęzła się, gdy minęliśmy stojące na uboczu domy i przeszła w żwirową ścieżkę, wspinającą się na wzgórze. Przeszliśmy obok ludzi, którzy wyruszyli wcześniej i teraz – wyczerpani – zbierali energię, by kontynuować marsz. Moje własne stopy, odzwyczajone od długich wędrówek, zaczynały mnie już boleć i podejrzewałem, że będę miał otartą prawą piętę. Dokąd idziemy? – zapytałem. – Do wioski?

– Tak, do wioski. To niedaleko, tylko osiem kilometrów od Quito.

Pięć mil. Przypuszczałem, że jesteśmy już półtorej mili od granic miasta. Rozejrzałem się po tej niegościnniej krainie: ta ziemia wyglądała jak niedokończona przez naturę, a wieżowce Quito, dostrzegalne jeszcze za nami, by-

ły tak niematerialne jak miraż i łatwo było uwierzyć, że wiatr może go zdmuchnąć.

Tę wiarę ci ludzie mieli od dzieciństwa. Kości ich przodków były częścią tej ziemi, ich wiara oparta była na tych skałach i ciężącym nad nimi niebie. Carmen także do nich należała. Ale było to również dziedzictwo ludzkości, a błędy i nieporządek świata były nam bliższe niż nasze sterylne, czyste maszyny. Chaos gór, gmatwanina lasów były bardziej znajome niż całkowita czerń poza atmosferą, gdzie wędrował „Starventure”. Łudziliśmy się, że możemy wywalczyć coś tam w górze, wyobraziliśmy sobie, że możemy zredukować Kosmos do prostych reguł. Myślałem, że najwybitniejsze umysły naszej rasy walczyły z zagadką nie do rozwiązania; myślałem o Leonie, zmienionym, ale dającym się tolerować w ciele przetransformowanym przez... och, w porządku, przez cud. Cud jest dziejącym się przeciwieństwem natury. Wszystkie nasze prawa zakazywały tego wyjątku. Nazywają ich aniołami, zatem dlaczego nie?

Droga wiała się, stroma, kamienista i wąska, masa ludzi przechodziła dalej, powiększając wciąż swą objętość, jakby przybywali nowi ludzie. Idąc ramię w ramię, doszliśmy do wioski, która była naszym celem.

Nie było tu nic specjalnego: plac, do którego prowadziła droga ze starym kościołem 'po jednej stronie i nowoczesnym, krzykliwym budynkiem ze znakiem informującym, że to biblioteka, po drugiej; była tu jeszcze be-

tonowa, ale nieco starsza szkoła i miejscowy urząd. Za placem stały domy, niektóre kryte strzechą z trzciny lub szuwarów, ale z nowoczesnymi, metalowymi framugami okien w bladobrazowych ścianach; jeszcze dalej pola kukurydzy i łąki, z których zbierano trawę dla kilku krów. Był tam jeszcze jeden rodzaj zboża, którego nie mogłem rozpoznać – najwyraźniej była to jedna z tych szczęśliwych wiosek, dotkniętych postępem (szczególnie hodowla trawy była częścią pomocy ONZ), ale wydawało się, że mieszkańcom nie robi to żadnej różnicy.

Większość przybyłych poruszała się, jakby wypełniając jakiś tradycyjny rytuał, po czym siadała na pełnym pyłu placu, wykorzystując skrawki cienia lub rozpościerając serapes jak markizy. Ci, którzy przybyli tu wcześniej, znaleźli miejsce na dwóch zaparkowanych na placu samochodach i na jedynej, ale za to starej i brudnej ciężarówce, reszta musiała zadowolić się ziemią.

Carmen, trzymając mnie za rękę, przeszła przez tłum i plac, kierując się obok lśniących ścian nowej biblioteki w stronę kościoła. Na jego werandzie, w fotelu na biegunach, siedział pełen godności ksiądz, rozmawiając ze szczupłym mężczyzną, bardzo podobnym do Carmen. Był on ubrany w białą koszulę i luźne, białe spodnie, podtrzymywane jaskrawoczerwonym paskiem. Spojrzał w naszą stronę i skinął głową; jego twarz była spokojna i przyjazna. Rozpoznałem tę twarz: należała do Hermanosa Iglesiasa.

Po chwili wahania, która wydawała mi się prawie wiecznością, ruszyłem w jego kierunku chcąc dowiedzieć się, jaki obcy umysł ukrył się w tym ciele.

Rozdział 21

Zatrważające było, że on także mnie poznał. Nie miałem co do tego wątpliwości, gdy spojrzał na mnie ponad ramieniem tęgiego księdza. Ciemne oczy w jego ziemistej twarzy, dokładnie jak u Carmen, napotkały moje spojrzenie i było to jak uderzenie prądu elektrycznego, przez chwilę wydawało mi się, że ulatuję w inny świat. Zacząłem obawiać się, że utracić wewnętrzną kontrolę i stać się nie lepszym od łatwowiernego wieśniaka. Jednakże on nie rozpoznał mnie jako Davida Drummonda, brata Leona, rozpoznał mnie jako kogoś, kto wie, kim on jest naprawdę.

Moje szalone wysiłki, by się opanować, zaowocowały nagłą potrzebą mówienia. Głosem tak szorstkim, że ledwie przypominającym mój własny, powiedziałem:

– Cóż, potworze, czego chcesz?

Powiedziałem to po angielsku, w swoim ojczystym języku, nie mając pojęcia, czy ten lub prawdziwy Hermanos może mnie zrozumieć. Carmen westchnęła z przerażenia i odsunęła ode mnie o pół kroku, a jej oczy biegały

we wszystkie strony. Ksiądz nie zrozumiał moich słów, ale pojął ton mego głosu i wyglądał na równie przerażonego.

– Złe pytanie – odpowiedział obcy z zupełnie ludzką intonacją głosu. – Problem wygląda tak: czego wy, ludzie Ziemi, chcecie się dowiedzieć. Mam mnóstwo roboty z ustaleniem tego.

Oczekiwałem wszystkiego: awantury, ucieczki, cegokolwiek, ale nie spokojnej akceptacji mojego zarzutu. Byłem kompletnie zaskoczony i – podczas gdy stałem oniemiały – „Hermanos” przeprosił księdza, który uniósł nieco swoją prawą dłoń i zszedł z werandy.

Obcy zlustrował mnie uważnym spojrzeniem,.

– Wyglądasz na osobiście obrażonego – stwierdził. –
– Czy jesteś może Davidem Drummondem?

Obliziałem wargi i zerknąłem na Carmen: w dalszym ciągu trzymała się nieco z boku i wpatrywała się w brata. W końcu przytaknąłem.

– Dobrze – powiedział „Hermanos”. – Słyszeliśmy o tobie od twojego brata, Leona. Czy widziałeś go po powrocie?

Nieomal dusiłem się z wściekłości. Widząc to, położył mi dłoń na ramieniu.

– Czy coś jest nie w porządku? Nie powinien cierpieć mimo tego, co z nim zrobiliśmy. Bardzo uważaliśmy!

Potrząsnął moim ramieniem. Pozwoliło mi to zdusić gniew do poziomu, na którym znów mogłem mówić w miarę spokojnie.

– Tak, widziałem go! Widziałem także jego skradzione ciało!

– Ponieważ nie rozumiesz, obawiasz się, a że wstyd ci okazać strach, więc jesteś zły. Rozumiem – głos „Hermanosa” brzmiał rzeczowo, jak głos psychiatry, przeglądającego zestaw ciekawych symptomów. – Jesteś w dodatku pisarzem popularnonaukowym, dokładnie zaznajomionym z całą współczesną wiedzą ludzkości. Jak dużo zapomniałeś, co za niewiarygodny stan rzeczy!

Nie mogłem pojąć sensu tych słów, a poza tym nie byłem w nastroju, by choćby spróbować. Odwróciłem się do księdza, używając mojej całej znajomości hiszpańskiego.

– Ty tam! – wrzasnąłem do niego. – Co robicie z tym... tym stworem, który mówi jak człowiek? To nie jest człowiek! To istota opętana przez diabła! Dlaczego siedzisz na tej werandzie, kiedy tam, na placu, twoja trzódka bluźni przeciw świętym aniołom, nazywając ich imieniem pojawiające się na niebie potwory!

Zdziwiony ksiądz popatrzył na „Hermanosa”, potem ponownie na mnie.

– Czy panu może zaszkodziło słońce? To dobry człowiek o wielkiej mądrości. Nie jest opętany przez żadnego diabła! T dlaczego mam powstrzymać swoich ludzi przed rozmową z aniołem? To, co pokazuje się na niebie w ten czy w inny sposób jest stworzeniem bożym!

Uśmiechnął się, pokazując zęby i wrócił do bujania się w fotelu jakby to, co powiedział, nie podlegało dyskusji.

– Hermanos – nerwowo powiedziała Carmen. – Wybacz, proszę, Davidowi. Nie jest sobą, jest wyprowadzony z równowagi, jest w szoku... – głos jej się załamał.

– Do diabła z tym! – powiedziałem po angielsku. – Świat oszalał i chce mi się rzygać z tego powodu! Potwory mówią ustami ludzi, ludzie są przekształceni w potwory, niebo jest pełne aniołów, do cholery z tym wszystkim!

Zakołysałem się na piętach, oczy mnie szczypały, mój umysł wirował.

– To więcej niż to – stwierdził „Hermanos”. – Jestem zadowolony, że użył pan słowa „anioły”, gdyż jest to dokładnie to, czym one są.

Oszupiałem i przyłożyłem zaciśnięte pięści do głowy; czułem, że za chwilę pęknie mi czaszka.

– Panie Drummond, proszę tu wrócić – powiedział „Hermanos”. – Chcę z panem porozmawiać. Chcę panu przedstawić pewną hipotezę. Być może inni mogą bardzo potrzebować pańskiej pomocy.

– Pomocy – powtórzyłem i usiłowałem się roześmiać, ale z gardła wydobyło mi się tylko coś przypominającego, gdakanie.

– Właśnie to powiedziałem – jego głos był ciągle spokojny. – Ponieważ pan tu przybył, może i pan skorzy-

sta na tej wizycie. Czy zaplanował pan sobie zmuszenie mnie do ujawnienia mej tożsamości?

– Nie. Czy byłaby możliwa próba zmuszenia cię do czegokolwiek? Możesz przecież uciec w taki sposób, w jaki tu przybyłeś. Dowiedziałem się tego od kogoś, kto udaje mojego brata.

– Teraz pan myśli. Podejrzewam, że ten zamiar tkwił w głębi pańskiego umysłu. Ale, jak pan widzi, niczego nie udaję. Czy jest jakiegokolwiek kłamstwo, które mógłbym wypowiedzieć, a pan by je przyjął?

– Czy powinienem zostać i wysłuchiwać kłamstw, które – jak masz nadzieję – będę przyjmował? – zapytałem.

– „Czym jest prawda” zażartował Piłat i nie czekał na odpowiedź! – „Hermanos” zatarł ręce. – Czy pochodzisz z rasy Piłata, rodzaju ludzki? Czy jesteś tak opętany swoim małym skarbem empirycznych faktów, że w ogóle nie troszczysz się o wielkie prawdy? Czy jest to szczytem waszych ambicji, by grzebać w bruzdzie i nigdy nie odwrócić twarzy do Słońca?

Zbladł od wzbierających w nim emocji; pod koniec wypowiedzi mięśnie jego policzków napięły się, a szczęka zatrzasnęła jak pułapka na niedźwiedzie.

– David! – powiedziała Carmen. – Dlaczego go nie wysłuchasz? Boisz się, że możesz uwierzyć w to, co on mówi?

W jej głosie dźwięczała pogardliwa aluzja, jakby spodziewała się czegoś lepszego od Davida Drummonda. Ustąpiłem i ruszyłem na werandę. Ksiądz, który obserwował naszą gorącą, niespokojną wymianę zdań, westchnął z ulgą i kurtuazyjnie wskazał mi stojące pod ścianą krzesło.

– Dziękuję – powiedział „Hermanos”; wskoczył na werandę i przez chwilę balansował na wysokim progu, szukając oparcia dla pięt. – Jestem trochę zaskoczony, że nie dowiedział się pan tego wszystkiego, co powiedziałem pańskiemu bratu. Czy on nie mówił panu o swoich odczuciach w hiperprzestrzeni, jak wy ją nazywacie?

Zacisnąłem wargi i spojrzałem na Carmen, opierającą się teraz o jeden z filarów werandy. Śmieszne wydało mi się dyskusowanie o tym z kimś, kogo nie uważa się za człowieka, odparłem więc:

– Powiedział mi niewiele... Mówił, że jest to jak zwykły Kosmos, tylko trochę inny i dodał, że moglibyśmy traktować nasz einsteinowski Wszechświat jako specjalny przypadek euklidesowego, ale nie zrozumiałem go do końca.

„Hermanos” poważnie skinął głową.

— Oczekiwaliśmy, że matematycy, jak twój brat, mogą rzucić nieco prawdy innym ludziom, ale widocznie potrzebny jest czas na przetrwanie tego. Cóż, proszę teraz uważać, panie Drummond, chciałbym wiedzieć, czy jest pan zaznajomiony z kilkoma pojęciami, które pode-

prą moje późniejsze argumenty. Jest pan wykształconym człowiekiem, więc rozpozna je pan wszystkie. Teoria ideału Platona?

Bojowo kiwnąłem głową.

– Teoria archetypów Junga? Legendy Złotego Wieku, Wyspy Błogosławionych, Ogrody Edenu?

– Oczywiście, ale nie widzę...

– Cierpliwości, proszę – uniósł rękę i rozbijając wyszczerzył zęby.

Musiałem to sobie przypomnieć.

– Czy w trakcie codziennego życia człowiek podąża takimi drogami, jak linia zupełnie prosta, kąt zupełnie prosty, zupełna połowa czegokolwiek?

– O, nie – poprawiłem się na krześle; pocilem się nieprzyjemnie, jakby moje życie zależało od odpowiedzi na te pytania. – To na pewno wpływa na formułowanie teorii ideału, ale jest chyba cholernie daleko od aniołów!

– Nie tak daleko, jak możesz sobie wyobrazić. To było to, co wprawiało starego Platona w zakłopotanie. I powinno dziwić was, że ludzie, którzy nigdy nie widzieli dokładnej prostej lub dokładnej połowy są zdolni do formułowania swoich myśli tak jasno, dokładnie i przejrzysto. Przez ostatnie dwa stulecia tak byliście zajęci swoją techniką, że przestaliście prawie zupełnie zgłębiać tamte sprawy.

Miałem zamiar zaprotestować, ale zmieniłem zamiar. Z pewnością nie mógłbym myśleć o pojedynczym, dwu-

dziestojednowiecznym filozofie, który poważnie zaatakowałby problem ideałów – to było niemodne i musiałem to przyznać.

– Tak, to prawda – powiedział „Hermanos”. – I to wstyd, ponieważ gdyby tak nie było, nie mam wątpliwości, że ktoś mógłby popełnić błąd na powikłaniach egzystencji hiperprzestrzeni na długo przed tym, nim wasz bezzałogowy, eksperymentalny statek przez nią przeleciał. Teraz poszukaj w umyśle tego, co powiedziałem o Złotym Wieku, Ogrodach Edenu i tym podobnych, i proszę, rozważ swoją odpowiedź...

Pochylił się do przodu, bardzo przejęty.

– To, co nazywacie „normalną przestrzenią”, jest z pewnością bardzo specjalnym przypadkiem hiperprzestrzeni, sztucznym jej przekręceniem. Ludzka świadomość nie jest zrodzona do takiego continuum i włącza myśli, które tutaj nie mają prawdziwych odniesień. W konsekwencji patrzysz „przez przyciemnione szkła”. W dniach, kiedy wstrząs był świeży, próby przeprowadzone z przesyłaniem nieokreślonych wspomnień do waszej oryginalnej rzeczywistości można znaleźć w waszych mitach i legendach.

Nie mogłem się zdecydować, czy mam być bardziej zaskoczony tą sugestią, czy zacząć polemizować z wyzwaniem obcego – rozstrzygnąłem to na korzyść pierwszego odczucia.

– Nie jest zrodzona do takiego continuum? – powtórzyłem. – Co to ma znaczyć? Dla mnie to zwykły bełkot!

– Tak, to nieuniknione... – westchnął.

Usiłowałem wymyśleć jakieś przykłady, które by to nieco rozjaśniły. Fundujesz sobie okropną przejażdżkę drogą powrotną do prostoty hiperprzestrzeni przez wszystkie rodzaje matematycznych wymiarów – precyzyjnie, chociaż nasza świadomość została zniekształcona obecnym otoczeniem. Ale wyobraźmy sobie pociąg, pędzący po idealnie równoległych torach – będzie jechał gładko, bez marnowania energii. Ale teraz wyobraźmy sobie, że jedna z szyn jest nieco nierówna, więc trze o koła jak hamulec i pociąg zacznie poruszać się wolniej, a energia będzie się marnować. Odnieśmy to do czterowymiarowego continuum czasoprzestrzeni i obraz jednego z wymiarów jest fałszywy. Rozpatrzmy niektóre aspekty... Próbowałem się skoncentrować.

– Przesunięcie ku podczerwieni? – zapytałem w końcu.

– Tak, doskonały przykład, ale nie jest to oczywiste. Powyżej dystansów międzygwiazdnych szybkość światła maleje, chronom – kwant czasu – rośnie, a procesy umysłowe oraz transfery energii są jakby zgrubiałe i robią się szorstkie.

Mimo mojej niechęci zacząłem precyzować argumenty na poparcie fantastycznej teorii „Hermanosa”. Pamiętam, co powiedziano mi o Chandrze – w swoim nowym ciele reagował tak szybko, że musiano porozumiewać się z nim poprzez komputer, ponieważ żadna ludzka

istota nie mogła dać sobie rady z jego czasowymi reakcjami.

„Hermanos” uśmiechnął się kpiąco.

– Więc twoja skóra nie jest taka opancerzona, jak to sobie wyobrażałeś, prawda? Jesteś szczęśliwy-z posiadania informacji, dających się opublikować. Mnóstwo ludzi, którzy nie mają tego komfortu, czeka na mnie tam, na placu. Proszę mi wybaczyć, oni czekają, bym wyszedł i przemówił do nich...

– Po co? – zapytałem.

– Och... Myślę, że po to, by ich uspokoić. Są przerażeni... Nie są przyzwyczajeni do tego, że niebo jest pełne aniołów. Ponieważ nie wydaje się, abym ja był tym zaniepokojony, słuchają mnie lub raczej nas, powinienem powiedzieć. Mówiłeś, że spotkałeś ciało „Leona” w Atenach... Czy poza rozmowami z ludźmi i uspokajaniem ich moi koledzy robią coś szkodliwego?

Zwilżyłem wargi.

– Powiedz mi jedno, zanim pójdziesz – powiedziałem. – Twierdzisz, że tkwimy w rogu czasoprzestrzeni, która została sztucznie zniekształcona. Usiłujesz mi wyjaśnić, że my w jakiś sposób przybyliśmy z „twojego” Wszechświata do „naszego”, ale co powoduje, że zakładasz, iż tak właśnie się stało?

– Nie mogę ci odpowiedzieć – odparł stanowczo „Hermanos”. – Odniesienia są tak różne i nawet proste stwierdzenia, dotyczące „do” i „z” nie są dokładne. Mogę

odnieść się do bardzo dobrze znanego mitu, dotyczącego upadku grupy zbuntowanych aniołów. W wyższym continuum istnieje wiele ras, a twoja jest tam jedną z nich.

Posłał mi czarujący uśmiech i przerzucił nogi przez poręcz werandy.

– Zostań tutaj i przemyśl to – poprosił. – Wrócę za parę godzin.

Rozdział 22

Carmen poszła wraz z nim. Ksiądz, dźwignąwszy się z fotela na biegunach, oddalał się z nimi. Zostałem sam z niezliczonymi pytaniami, wirującymi wściekle pod moją czaszką.

Moim pierwszym zamysłem było odrzucić wszystko to, co usłyszałem, ale byłoby to głupie. Stojąc twarzą w twarz z niewytłumaczalnymi wypadkami mądrzej byłoby zająć się wyjaśnianiem ich, nawet jeżeli trzeba było je nieco zmodyfikować, a nie generalnie odrzucić. Usiłowałem uspokoić mój wzburzony umysł i pomyśleć nad następstwami przyjęcia idei „Hermanosa”.

Zatem po pierwsze: wyższe continuum, które nazywamy hiperprzestrzenią, jest podobne do naszego, tylko – używając określenia Leona – „trochę inne”. Czy to oznacza, że jest nieskończone? Myślę, że nie, to raczej okre-

ślenia takie, jak odległość mogą być innego rodzaju. Określenia typu doskonała połowa i idealnie prosta linia, które dla nas są matematyczną abstrakcją, tam mogą stać się nie intuicyjnymi, ale literalnymi prawdami. Ale chwilę... Marszczyłem czoło, jakbym walczył z wewnętrznym chaosem. Aby osiągnąć ten rodzaj doskonałości, czy nie należałoby używać obecnej nieskończoności, zwróconej ku górze i dołowi ludzkiej skali...

Nie, oczywiście, że nie! Strzeliłem palcami, podeksytowany.

Dlaczego „Hermanos” nie wstawił matematyki Cantora na listę przykładów, tej serii rygorystycznych argumentów logicznych, które dawno temu udowodniły, że pewne rodzaje nieskończoności mogą być bardziej „nieskończone” niż inne.

Może chciał zostawić dla mnie coś do ułożenia. Wiedziałem od Leona, że pomysły Cantora dostarczyły podstawowych narzędzi do projektowania „Starventure”. Matematyka einsteinowska tkwi w martwym punkcie przy szybkości światła... To pasowało do idei continuum, gdzie nasze pomysły powiększały się bez konieczności dokonywania w nich większych zmian; prędkość, odległość czy cokolwiek, w czym miał udział czynnik czasu, musiało przybrać nowy wymiar i odgadywanie ich nowych znaczeń było ponad moje siły. Być może, kiedy twój umysł został uwarunkowany, masz doświadczenie z tym rodzajem rzeczywistości i możesz ją pojąć. Leon zrobił,

co mógł, by opisać mi swoje odczucia, ale dla mnie było to wciąż niejasne.

Ustalenie miejsca, separacja... Nie było końca tym pochodzącym ze zdrowego rozsądku pomysłem, które mogły wyprowadzić z równowagi za pomocą przeniesienia w przestrzeń wyższego rodzaju! Odsunąłem myśli ze ścieżki, która wiodła mnie spiralnie z oszalamiającą prędkością w stronę chaosu i usiłowałem znaleźć alternatywne podejście. Było jasne, że nie jest użyteczne tworzenie obrazu ich Wszechświata z punktu widzenia obcych, ale mogło mieć sens spekulowanie na temat ich wrażeń, dotyczących naszego. Teraz przyjęliśmy, że nasze continuum jest ograniczone, ale nieskończone, jak powierzchnia kuli ziemskiej, przeniesiona do czterech wymiarów. Jeżeli tak było, to możliwe byłoby dla całego continuum zawarcie się w tych wymiarach, byłyby jednak niezdolne do oddziaływania na siebie. Było to więc zupełnie samozamknięcie, dopóki „Starventure” nie wdarł się do tego wnętrza. Ale w tym przypadku prawdziwe wymiary Kosmosu muszą być niepoliczalnymi centylinami czasu, rozleglejszymi niż kiedykolwiek się tego spodziewaliśmy! Mój umysł odrzucił nawet próbę zmagania się z omyłką na taką skalę. Na szczęście, znalazłem skromniejsze pole rozważań o sprawach skoncentrowanych na ludzkości. Po jakiejś niepojętej katastrofie, prowadzącej do czegoś, co „Hermanos” porównał do upadku aniołów, zostaliśmy dla istot super-Wszechświata strące-

ni, odcięci, odizolowani, ignorowani. Jakiego słowa szukałem? Oczywiście: niekomunikatywni. Być może byli szczęśliwi, widząc nas przybywających do nich. Cokolwiek zrobiliśmy, nie zostanie to szybko zapomniane. Teraz, choć upłynęły już tysiąclecia, wyzwoliliśmy się z tej izolacji i przypomnieliśmy im o naszym istnieniu. Logicznie rzecz biorąc, oni mogli zajrzeć do naszego Kosmosu i przeegzaminować Układ Słoneczny...

Tak, to była prawda! Pamiętałem zatroskany głos, który usłyszałem w głośnikach komunikacji wewnętrznej na „Starventure”, gdy tłoczyliśmy się, by przez iluminator zobaczyć potwora w Kosmosie. Uderzył mnie wtedy jego intensywny, zielony kolor, jakby promieniowanie długich fal nawiedziło nasz rodzaj przestrzeni, ale to promieniowanie musiałoby być emitowane z punktu, w którym stykały się ich Wszechświat i nasz... Nie ma więc nic dziwnego w tym, że potwór nie był widziany z Ziemi i nie może dziwić, że potwór z Santadonny, dokładnie przecież badany, nie miał faktycznie masy! Dla nich obraz, w którym byliśmy widziani, musi być czymś mniej niż dwuwymiarowym rysunkiem.

Płaska kraina. Palec, przez który płaska powierzchnia mogła pojawić się dla mieszkańców dwuwymiarowego wszechświata jako okrągła przeszkoda o zwariowanej, zmiennej średnicy. Po trochu moja zdolność do ustalania faktów i analogii wyprowadzała mnie z depresji. Usado-

wilem się wygodniej na krześle, będąc w zdecydowanie lepszym nastroju niż w ostatnich dniach.

Jeżeli „Hermanos” i jego „koledzy” byli przygotowani do rozmów z nami, do ujawnienia swej prawdziwej tożsamości, to być może żywili do nas pewien rodzaj szacunku?

A ich biegłość w posługiwaniu się ludzkimi językami wskazywała na to, że ich i nasze doświadczenia nie muszą być zupełnie obce. Mogli ukrywać nie tolerancyjną frustrację z powodu konieczności używania tak niezgrabnego sposobu komunikowania się, jakim jest mowa, ale – jeżeli tak było – ukrywali to starannie. Być może postrzegali oni swój Wszechświat z większą świadomością, ale przecież mógł on zawierać podobne obiekty: materię, energię, gwiazdy, planety, księżycy...

Kiedyś, znacznie dawniej niż wiek temu, Haldane spekulował o subiektywnych rzeczywistościach doświadczanych przez inne gatunki, nie tylko te zbliżone do nas, jak na przykład psy, których świat zdominowany jest przez węch, ale także te, z którymi mamy tyle wspólnego, że dzielimy jedną planetę, na przykład pszczoły. Dla pszczoły, argumentował, pojęcie „obowiązku” może być tak konkretne, jak nasze pojęcie, powiedzmy, trwałości.

Gdzieś wzdłuż tych linii rozumowania można w dochodzeniu do prawdy popełnić błąd. I – przyznając to – można było zrozumieć, dlaczego „Hermanos” nie udzielał wykrętnych odpowiedzi. Czegóż oni mogą bać się u nas,

uwięzionych w niższym Wszechświecie i krępowanych poruszaniem się po zakrzywionych liniach w błędnej wierze, że są one proste? Nie robili nic wrogiego, być może poza przeniesieniem kruchej pajęczyny osobowości z jednego ciała do drugiego, by móc nas bezpośrednio obserwować. Tak, ale... Studiując nas, co zamierzają zrobić?



Zbliżał się zachód Słońca, gdy ocknąłem się z tych rozmyślań i – zmęczony czekaniem – obszedłem tył kościoła i skierowałem się w stronę placu. Ludzie przygotowywali się już do odejścia, niektórzy dalekowzroczni handlarze sprzedawali przyniesione przez siebie na drogę woskowe pochodnie (oczywiście tutaj, na równiku, ciemność opadała jak kurtyna w teatrze); inny przedsiębiorczy człowiek sprzedawał tortillas, rodzaj enchilada tym, którzy zapomnieli zabrać ze sobą żywność – jednym słowem na placu odbywał się ożywiony handel.

„Hermanos” stał przy ostatnim straganie, jedząc i rozmawiając z ludźmi. Carmen i ksiądz słuchali uważnie. Stałem kilka kroków od nich, dopóki nie nastąpiła przerwa w rozmowie; „Hermanos” przeprosił innych i odwrócił się do mnie z błyskiem w oczach.

– Cóż? – zapytał., – Czy dzisiejszego popołudnia doszedłeś do jakichś wniosków?

Opowiedziałem mu o swoich przemyśleniach tak szczegółowo, jak potrafiłem.

– Bardzo dobrze – zaaprobował. – Jeżeli pozwolisz mi coś zasugerować... Zrób z tego swoją następną książkę. Będziesz sławy, ale to nie ma aż takiego znaczenia – prawda sama w sobie jest tym, co ważne.

– Tak, oczywiście, ale...

– Ale co? – „Hermanos” podniósł głowę.

– Ale ja ciągle nie wiem, co wy zamierzacie robić?

Wyglądał na zaskoczonego.

– A czego ty oczekujesz? Co takiego mamy zrobić? Odejdziemy, oczywiście. Zwrócimy te pożyczone ciała prawowitym właścicielom.

Carmen wydała zduszony okrzyk, a on odwrócił się w jej kierunku.

– Tak, to, co powiedział ci David, to prawda – stwierdził łagodnie. – W rzeczy samej nie jestem twoim bratem, ale nie martw się! Następnym razem, gdy zobaczysz tę twarz, będzie to już prawdziwy Hermanos Iglesias...

Roześmiał się przyjemnie, co złagodziło gorzki posmak jego słów.

– Ale co masz na myśli mówiąc, że po prostu zamierzacie odejść? – chciałem się dowiedzieć. – Nie zamierzacie utrzymywać z nami kontaktów?

– Co się teraz stanie, nie zależy od nas – stwierdził; nagle był poważny jak sędzia i nie wydawał się już tylko

młodym, szczupłym człowiekiem o cichym głosie. – Obawiamy się, że reszta jest już waszą sprawą. Dzisiejszej nocy nie będzie na niebie potworów. Nie będzie już więcej ludzi, którzy wyglądają jak ludzie, ale nimi nie są. Poczekamy. Wy musicie działać – jeżeli chcecie. Możecie nie chcieć, możecie być zadowoleni ze swojej małej kałuży i wtedy nie będzie wypraw do gwiazd, bowiem zbyt będziecie się bali.

– Działać! – wykrzyknąłem. – Jak? Powiedz nam, jak!

– A dlaczego miałbym to zrobić? Pracujcie nad tym. Musicie sami dojść do tego.

– Co my zrobiliśmy?

– Tego nigdy nie powiemy wam – istotom ludzkim. Szczęśliwie wygląda na to, że zostało to zapomniane, a jeżeli nie, to zapobiegniemy waszemu powrotowi do nas przez zamknięcie tej jedynej drogi. Zdajesz sobie sprawę z tego, że ja lub ktokolwiek z mojego gatunku mógłby zmiażdżyć jeden z waszych kruchych statków łatwiej niż ty możesz rozgnieść muchę? Ale niech tak będzie, to nie jest ważne. My jesteśmy tymi, którzy sprawili, że zachowacie nas w pamięci, więc może szczęśliwie unikniecie pokusy, by spróbować kiedyś raz jeszcze.

Zapanowała cisza. Ksiądz odszedł, by krzątać się wśród tłumu odchodzących. „Hermanos” klepnął mnie po ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

– Nawet jeśli wam nie pomożemy, możecie być pewni, że nie będziemy przeszkadzać. Poprawiliście się, odkąd widzieliśmy was ostatni raz. Mam nadzieję powitać cię któregoś dnia w naszym świecie...

– Nie masz chyba mnie na myśli? – powiedziałem.

– Nie, nie ciebie miałem na myśli – westchnął. – To zajmie wam prawdopodobnie dwadzieścia tysięcy lat...

Podczas gdy ja byłem zatopiony w rozmyślaniach o stuleciach, które nadejdą, on odszedł. Wyrwałem się z zamyślenia i ze zdziwieniem rozejrzałem wokół – zapadła ciemność i cztery światła, każde w jednym rogu placu.

Ukazywały Carmen i kilku maruderów, idących w stronę Quito..

– Gdzie on poszedł? – zapytałem Carmen.

– Nie wiem – szepnęła. – Davidzie, boję się! On nie był moim bratem, mimo wszystko miałeś rację... Ale ja nie wiem, jak i nie rozumiem tego...

Błagalnie chwyciła mnie za rękę i zaczęła uporczywie wpatrywać się w moją twarz, jakby chciała wyczytać z niej odpowiedź. Nie miałem nic do powiedzenia. Objąłem ją ramieniem czując, jak dygocze i ruszyliśmy w kierunku miasta. Nad naszymi głowami lśniły gwiazdy i – jak gwiazdy na Ziemi – przed nami błyszczały tuziny chwiejnych płomieni pochodni, które wyznaczały zakręty drogi.

Ludzie zadzierali głowy do góry, by obserwować niebo, ale dzisiejszej nocy nie było na nim aniołów. Był

tam tylko lśniący diament, „Starventure”, krążący na stacjonarnej orbicie. Symbol przeszłości, symbol złej przeszłości... Uświadomiłem sobie, że Carmen płacze cicho, jak przerażone dziecko, samotne w ciemności. Przytuliłem ją do siebie myśląc, że dałbym wiele, by także móc płakać – po naszej straconej chwale i utraconych iluzjach. Otworzyliśmy puszkę Pandory i wszystkie diabły uciekły w świat. Nie pozostało nam nic oprócz nadziei.

Nieregularna procesja szła przez chłodną noc, a ja myślałem o rozmowach z Leonem w jego prawdziwym kształcie, o argumentach i wyjaśnieniach, o pracy do wykonania.

Iskierka nadziei zabłyśnie przed nami jak pochodnia, me wracając do mroku przeszłości, a prowadząc nas drogą przed siebie, w przyszłość.

KONIEC